DZIĘKUJEMY NASZYM CZYTELNIKOM! TO JUŻ 600. WYDANIE „DO RZECZY”

ILE ZNACZĄ „CZERWONE LINIE”

Moskwa zmienia swą doktrynę użycia broni atomowej

Dlaczego lekcje religii tracą tak wielu uczniów?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 42/600 14–20 PAŹDZIERNIKA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

40. ROCZNICA ZAMORDOWANIA KS. JERZEGO POPIEŁUSZKI – CO W 1984 R. PISAŁA O ZBRODNI ZACHODNIA PRASA?

Volkswagen ofiarą Zielonego Ładu

Kto chce zniszczyć imperium Solorza?

PIOTR SEMKA: POLSAT NA CELOWNIKU GAZETY MICHNIKA

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 42>

Nakład: 46 500 egzemplarzy

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL: „SKRADZIONA TOŻSAMOŚĆ. POLSKIE DZIECI W RĘKACH NAZISTÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~869~~ ZŁ

401,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 468ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 031a5817fa

W RZECZY SAMEJ

Ignorancja gorsza niż chamstwo

PAWEŁ LISICKI

Nie jestem, przyznaję, wyjątkowo wiernym widzem telewizji informacyjnych, a w szczególności TVN24, jednak to, co pokazała (może lepszym słowem byłoby odstawiła) jej gwiazda, zapraszając do studia sędziego Sądu Najwyższego Zbigniewa Kapińskiego, przechodzi ludzkie wyobrażenie (to taki zwrot retoryczny, bo ostatnie miesiące powinny nas przyzwyczaić do tego, że ludzkie wyobrażenie jest wielkością nieokreśloną).

Zaczęło się od przedstawienia gościa. Kolenda-Zaleska zrobiła to w ten sposób: „Były sędzia sądu apelacyjnego, powołany do Sądu Najwyższego przez neo-KRS w procedurze zakwestionowanej przez europejskie trybunały". Doprawdy, nazwać to szczytem chamstwa to mało. Prowadząca program „Fakty po Faktach" już w tych pierwszych słowach postanowiła bowiem, zamiast pytać i dyskutować, zaproszonego gościa poniżać i delegitymizować. Swoją drogą nie bardzo wiadomo, z kim rozmawiała pani Kolenda-Zaleska: z byłym sędzią czy z obecnym? A jeśli obecnym, to sędzią jakiej instytucji?

Tyle że nie bezczelność i hucpiarstwo prowadzącej jeden z najważniejszych programów TVN szokują najbardziej. Gorzej, że uprawiając ten rodzaj dziennikarstwa, publicystka może cieszyć się uznaniem znaczącej części (mam nadzieję, że nie całej) widowni oraz, z pewnością, swojego szefostwa. Kolenda-Zaleska myli chamstwo z dociekliwością i propagandę ze śmiałością. Atakując bezpardonowo zaproszonego sędziego, wie, że ma za sobą rządzących Polską polityków. Występuje zatem w roli typowego pałkarza. Dokłada słabszemu, wskazując na to, że nie jest on tym, za kogo się uważa. Tym samym prowadząca realizuje w 100 proc. politykę rządu. Premier Donald Tusk i minister Adam Bodnar musieli patrzeć na jej wyczyny z ukontentowaniem. Tak ich zdaniem powinna wyglądać debata: reprezentanci drugiej strony od razu powinni zostać napiętnowani i opieczętowani, najlepiej zmuszeni do „czynnego żalu". Można ich słuchać tylko jako „pseudo", jako „neo". Swoją drogą, żałuję, że po takim przywitaniu sędzia Kapiński nie wstał i nie wyszedł. Cóż, zdecydował się pozostać, bo może naiwnie wierzył, że został zaproszony po to, by coś wyjaśnić i przedstawić swoje racje.

Jednak w całej sprawie jest coś jeszcze gorszego. Tak, najsmutniejsze w tym wszystkim nie są zapalczywość i zła wola dziennikarki, ale jej ignorancja. Kolenda-Zaleska jest wprawdzie usprawiedliwiona, bo kwestionując to, że sędzia Kapiński jest sędzią SN, co wyraża stwierdzenie, iż został „powołany do Sądu Najwyższego przez neo-KRS w procedurze zakwestionowanej przez europejskie trybunały", powtarza bezmyślnie (na tym polega działanie tub propagandowych) opinie światłych profesorów prawa, ekspertów i analityków anty-PiS. O ile zatem dziennikarce można wybaczyć brak wiedzy – w końcu nie każdy musi być prawnikiem – o tyle nie da się tego powiedzieć o tej całej zgrai profesorów prawa, którzy to właśnie wykreowali pojęcie „neosędziego", „neo-KRS", skutecznie infekując cały polski wymiar sprawiedliwości domniemaniem nielegalności.

Tak, nie domagam się od Kolendy-Zaleskiej, by wiedziała, że przepisów prawa międzynarodowego – a w oparciu o nie rozstrzygają trybunały europejskie – dotyczących kwestii instytucjonalnych, a więc trybu wyboru sędziów czy struktury Sądu Najwyższego lub zakresu orzekania Trybunału Konstytucyjnego, nie stosuje się bezpośrednio. Rozumiem, że dziennikarka TVN może nie wiedzieć, iż Polska nie jest jeszcze prowincją unijną i cieszy się wciąż suwerennością państwową, co oznacza, że rozstrzygnięcia trybunałów europejskich, jeśli kwestionują tryb działania organów władzy, muszą zostać wprowadzone w życie w sposób legalny i prawowity przez odpowiednie instancje państwowe. Krótko: tylko nowa ustawa o KRS może zmienić przepisy poprzedniej ustawy o KRS. I to ustawa, która zostaje właściwie przyjęta przez Sejm, Senat oraz podpisana przez prezydenta. Dopóki to się nie stanie, dopóty opowieści o „neosędziach" są zwyczajnym, propagandowym „biciem piany". Są formą rokoszu i anarchizacji państwa, w czym radośnie i głupkowato uczestniczą wspomniane przeze mnie tuzy prawa. Muszą przecież odróżniać publicystyczną i prywatną ocenę od legalności!

Z tego, że może im się nie podobać nowy tryb wyboru sędziów, wprowadzony przez Sejm za czasów, gdy większość w nim miał PiS, nie wynika, iż tamte przepisy nie są legalne. Z tego, że panu ministrowi Bodnarowi nie podoba się uchwała Sądu Najwyższego, która stwierdzała prawomocność powołania na prokuratora krajowego Dariusza Barskiego, nie wynika, jakby chciał tego minister, że takiej uchwały nie ma lub że jest nieważna, bo zasiadający w Izbie Karnej sędziowie byli nominowani zgodnie ze zreformowanym trybem. To jest absolutny elementarz: przyjęte w Polsce ustawy cieszą się domniemaniem legalności, a nie nielegalności. Jest tak niezależnie od tego, kto ma większość w Sejmie. Nic nie pokazuje lepiej upadku poziomu życia publicznego niż to, że takie oczywiste oczywistości trzeba tłumaczyć. ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

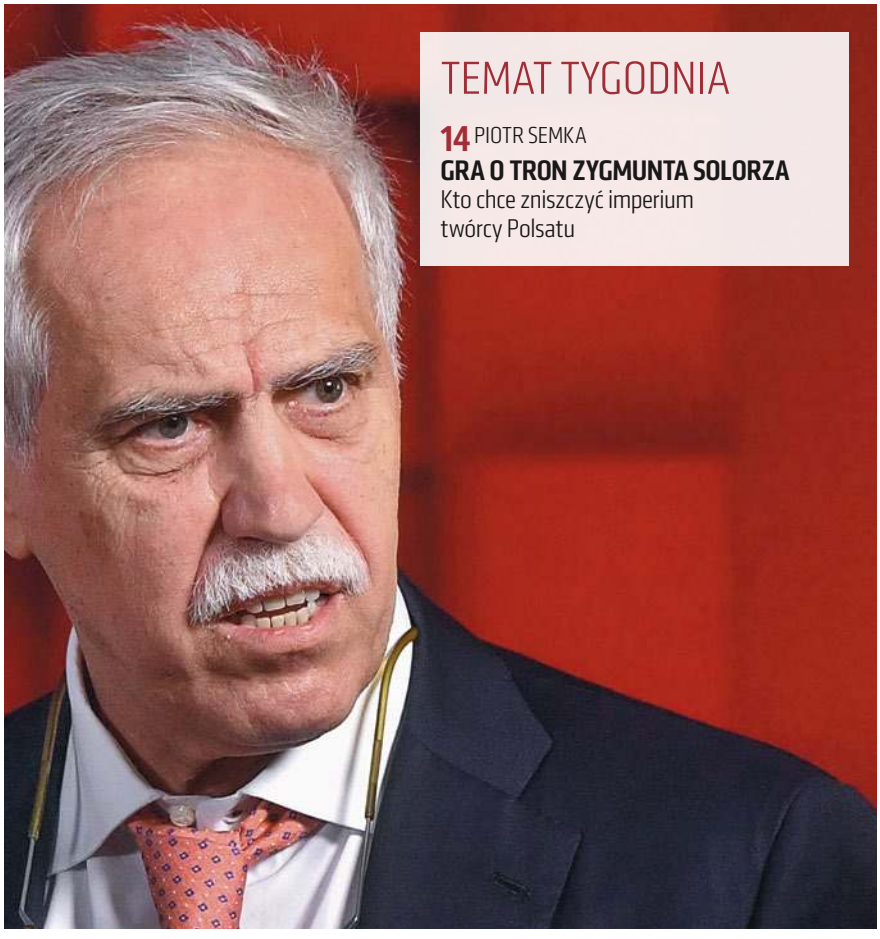

TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA
GRA O TRON ZYGMUNTA SOLORZA
Kto chce zniszczyć imperium twórcy Polsatu

KRAJ

20 ŁUKASZ WARZECHA
SIKORSKI NA PREZYDENTA?
Pomijany kandydat

23 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KINGA I ARKADIUSZ: TELENOWELA KOALICYJNA

26 ROZMOWA Z GEN. LEONEM KOMORNICKIM
TO NIE CZAS NA POBRZĘKIWANIE SZABELKĄ

29 RADOSŁAW WOJTAS
POLETKA PANA P.

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
PRACE DOMOWE NIE ZNIKNĘŁY

34 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
ZAGRYWKA Z NOBLISTKĄ

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
OCZY VIVIENNE
Autorskie kino Viggo Mortensena

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 JERZY KWAŚNIEWSKI
SPOSÓB NA IMPAS
Jak wyjść z kryzysu konstytucyjnego

47 LECH MAŻEWSKI
POLSKA A ROSJA PO WOJNIE NA UKRAINIE

50 WOJCIECH GOLONKA
KUKLIŃSKI I ZIMNA WOJNA, GŁUPCZE!

53 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
DLA ŻOŁNIERZA ASTMA JAK KATAR

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
DO CZEGO NAM RELIGIA W SZKOLE?

HISTORIA

56 GRZEGORZ MAJCHRZAK
POPIEŁUSZKO NA USTACH ŚWIATA
40. rocznica zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki

ŚWIAT

62 WITOLD REPETOWICZ
IZRAEL, OJCIEC CHRZESTNY HEZBOLLAHU
„Zachodni" kraj na Bliskim Wschodzie?

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
KTO ZASTĄPI ZEŁENSKIEGO

EKONOMIA

68 ROBERT BOGDAŃSKI
EUROPA KROCZY KU POSTĘPOWI
Cele klimatyczne wciąż święte

70 ROZMOWA Z MICHAŁEM KĘDZIERSKIM
CENA UZDROWIENIA VOLKSWAGENA

72 JACEK PRZYBYLSKI
ŻABKA WSKAKUJE NA PARKIET

ŻYCIE I NAUKA

74 ADAM ZUBEK
POMRUKI WŁOSKICH WULKANÓW
Najniebezpieczniejsze wulkany na Ziemi

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (60), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (65), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 031a5817fa

TYGODNIK POLSKI DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Marcin Gadomski/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Tak nas rujnuje UE", Tomasz Cukiernik, „DRz" 40/2024

W swoim długim życiu przeżyłam już tyle głupoty, więc sądziłam, że nic mnie już nie zaskoczy. Myliłam się. W artykule Tomasza Cukiernika „Tak nas rujnuje UE" przeczytałam, że w roku 2025 wchodzi w życie VAT od wypieków domowych. Jak będzie szacowana wartość wypieków? Czy będzie podział na babki, mazurki, serniki i szarlotki? Puściłam wodze wyobraźni i zobaczyłam armię urzędników (najlepiej przy Urzędzie Skarbowym), których trzeba będzie zamawiać do pieczenia w domu. Taki urzędnik sprawdzi, czy nie zaniżamy wartości wypieku, pisząc, że używamy margaryny i jaj z chowu klatkowego (a pieczemy na maśle, dodając jaja z wolnego wybiegu). Skrupulatnie sprawdzi recepturę, wyliczy wartość placka i podatku do zapłacenia. Nieprawdopodobne? W ileż nieprawdopodobnych rzeczy musiałam w ostatnich dniach uwierzyć.

Oto w Poznaniu na UAM zainaugurowano nowy kierunek podyplomowych studiów pod nazwą „Prosty język w instytucjach publicznych". Roczne studia mają „kształcić specjalistów, którzy będą umieli tworzyć teksty zgodne z regułami prostej polszczyzny". (Pisanie prostą polszczyzną wymaga podyplomowych studiów???). Patronat nad studiami objął prezydent Poznania, Jacek Jaśkowiak.

Głupota ostatnio wdarła się także do mojego domu. Siódma klasa mojego wnuka organizuje wycieczkę do muzeum. Moja synowa, a jego mama, zadeklarowała udział w wycieczce, by pomóc wychowawczyni. Musiała spełnić warunek (nałożony przez ustawę LEX Kamilek) – dostarczyć z sądu zaświadczenie o niekaralności. Zajęło jej to pół dnia i kosztowało 30 zł (kosztów dojazdu do sądu nie liczę).

To są wiadomości z ostatnich dni. Trudno się oprzeć wrażeniu, że żyję w domu wariatów.

Pozdrowienia dla Redakcji
Barbara Kęcińska-Lempka

Wyjaśnienie

W felietonie „(Nie)szczęśliwi prezydenci" „Do Rzeczy" nr 40/2024 zrobiłem błąd. Lech Wałęsa, kandydując ponownie na urząd prezydenta, zdobył zaledwie 1 proc. poparcia, ale było to nie w 1995 r. w starciu z A. Kwaśniewskim, ale w wyborach następnych – w 2000 r. Za błąd przepraszam.

Leszek Żebrowski

eprasa.pl 031a5817fa

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Do łóżek nie zaglądać! Konfesjonały? To co innego

Skończmy z wyrządzaniem dzieciom krzywdy, zakażmy w końcu księżom spowiadania nieletnich" – zaapelowała Maria Kubisa, lekarka ze Szczecina i radna sejmiku zachodniopomorskiego wybrana z listy Koalicji Obywatelskiej. „Jak można pozwalać na sytuację, że dziewięciolatek idzie do obcego mężczyzny, klęczy przed konfesjonałem i musi wyrecytować swoje grzechy? To nie jest dla niego sytuacja bezpieczna" – mówi radna. Dodaje, że spowiednicy nie mają przygotowania psychologicznego i wypytując nieletnich o grzechy, mogą posuwać się do nadużyć. Postuluje: spowiedź do 18. roku życia powinna być zakazana. Żąda, by jej apel usłyszała rzeczniczka praw dziecka, Monika Horna-Cieślak, i posłowie.

W czerwcu ubiegłego roku do Sejmu trafiła podpisana przez ponad 10 tys. osób petycja do posłów o wprowadzenie prawnego zakazu spowiedzi dzieci poniżej 16. roku życia. Akcję zainicjował performer i pisarz Rafał Betlejewski. Akcję tę bagatelizowano jako prowokację obyczajową happenera. Teraz postulat wysuwa jednak radna wybrana z listy partii, która rządzi całą Polską.

W Szczecinie wiadomo, że Maria Kubisa ma kłopoty z prawem. Jest ona ginekolożką – pracuje w Polsce i w Niemczech. 17 października przed Sądem Okręgowym w Szczecinie rozpocznie się proces lekarki. Kubisa jest oskarżona o nielegalne pomocnictwo w przerywaniu ciąży. Gdy w styczniu 2023 r. w związku z podejrzeniami o ułatwianie aborcji weszli do jej gabinetu agenci CBA, rozpętano medialną histerię. Wykreowano ją na „ofiarę PiS-owskiego reżimu". Ułatwiło to lekarce znalezienie się na liście do sejmiku z listy KO i zdobycie mandatu. W grudniu 2023 r. platformerski marszałek województwa Olgierd Geblewicz nagrodził ją statuetką Obrończyni Praw Człowieka za „wierność swoim ideałom i profesji, za odwagę i głęboki humanitaryzm".

Maria Kubisa to typowa bohaterka akcji feministek z lat 2015–2023. Wszelkie łamanie obowiązującego prawa aborcyjnego uświęcały one w imię „walki o prawa kobiet". Mimo dojścia PO do władzy zarzuty jej stawiane są na tyle poważne, że dochodzi teraz do rozprawy sadowej.

Czy podejmuje nową akcję, aby potem twierdzić, że „ciągana jest po sądach" za rzucenie kolejnego wyzwania księżom?

Jedno jest pewne. Jej specyficzna kariera to przykład, jak Koalicja Obywatelska konsekwentnie żyruje nawet najbardziej radyklane działania wojujących feministek. I jak krok po kroku uwiarygadnia osoby gotowe do walki z prawami ludzi wierzących. Wszystko po to, by wchodzić z butami w wychowanie religijne dzieci katolików. ©℗

FOT. WOJCIECH PACEWICZ/PAP

NIE ŻYJE LESZEK MOCZULSKI

10 października zmarł historyk, prawnik, działacz opozycji antykomunistycznej, więzień polityczny oraz poseł na Sejm I i II kadencji. Leszek Moczulski urodził się 7 czerwca 1930 r. w inteligenckiej rodzinie o silnych tradycjach patriotycznych. W latach 50. pracował jako dziennikarz m.in. w „Trybunie Ludu", „Życiu Warszawy" i „Dookoła Świata". W 1979 r. założył Konfederację Polski Niepodległej. W 2015 r. został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Miał 94 lata. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

dwaj panowie g

Jak może pamiętacie, w ubiegłym tygodniu informowaliśmy, że po mieście lata taśma, na której prominentny polityk Platformy w rozmowie z najdłuższym mecenasem w Polsce identyfikuje się jako Niemiec. W nasze brudne łapska wpadł fragment stenogramu tej taśmy. Brzmi on tak:

Mecenas: „Noga mu się podwinęła”.

Polityk PO: „Powinęła!!! Żebym, ja Niemiec, musiał Cię poprawiać!”.

Od razu informujemy służby: nie jesteśmy jeszcze w posiadaniu tej taśmy ani całości jej stenogramu. Ale jak już będziemy, to się o tym dowiecie. Z okładki „Do Rzeczy”.

Nieunikniony ciąg dalszy powyższych rozważań. Z naszych informacji wynika, że w rozmowie brała udział jeszcze jedna osoba. Cały czas zachodzimy w głowę, kto nagrywał. Nasze wiewiórki pytane o tę kwestię stwierdziły jedynie enigmatycznie – cieć to móc.

Gościliśmy w minionym tygodniu na pokazie filmu „Reagan” w Pałacu Prezydenckim. Była okazja zwrócić uwagę na to, co tabloidy: palce prawej dłoni osoby głowy państwa. Serdeczny i środkowy. Postanowiliśmy uciąć raz na zawsze spekulacje wokół kontuzji, więc zapytaliśmy, skąd się wzięła. Prezydent RP tylko westchnął i odparł: – Jak mawia moja żona: Sport ist Mord. Jak wiadomo, Agata Kornhauser-Duda jest germanistką. Jednak nie trzeba znać mowy Goethego, Schillera i Hitlera, by zrozumieć tę maksymę.

Jeśli już jesteśmy przy Niemcach, to – jak wiadomo – obiecali oni wzmocnić wschodnią flankę NATO na Litwie i utworzyć tam brygadę. Problem polega na tym, że tworzenie jednostki idzie opornie i dotrzymanie terminu gotowości bojowej na 2027 r. robi się właściwie niewykonalne. W tej sytuacji Niemcy zaczęli sondować, czy nie dałoby się stworzyć niemieckiej brygady z polskich żołnierzy. Oczywiście pod niemieckim dowództwem. Niemcom dano jednak do zrozumienia, że nie będzie to możliwe. A przynajmniej nie przed wyborami prezydenckimi.

À propos wyborów prezydenckich. Uwaga! Sensacja! Chwalimy Misia Kamińskiego! Legendarny filar ZChN, PiS, EKR i PJN, ostatnio w Senacie z ramienia Trzeciej Drogi, ogłosił, że jego zdaniem kandydatem PiS na prezydenta będzie Mariusz Błaszczak. Otóż wiewiórki opowiadają, że taki scenariusz znów jest aktualny. Wszystko dlatego, że w rozmaitych badaniach kandydatów młodego pokolenia okazują się oni wyjątkowo mało rozpoznawalni przez kogokolwiek. Pojawia się więc myśl: To może ktoś sprawdzony? Z grona sprawdzonych Naczelnik definitywnie usunął już Bełatę Szydło, więc pozostanie mu wybór między Mateuszem a Mariuszem.

À propos potencjalnych kandydatów PiS na prezydenta młodszego pokolenia. Po tym, jak ujawniliśmy, że Karol Nawrocki posiada liczne dziary, napłynęły do nas zapytania, jakie dokładnie są to tatuaże: patriotyczne, rockowe czy może inne. Wyjaśniamy: głównie kibicowskie. Rockowe, i to imponujące, ma pewien były szef jednej ze służb. Ale o nim innym razem.

Zmiasta płyną też zapytania, czy skomentujemy jakoś spór o sukcesję w Polsacie, czyli w rodzinie Solorzów. Chętnie. Otóż naszym komentarzem jest nasz ulubiony cytat z serialu „Sukcesja” (sezon czwarty, epizod drugi), kiedy to Logan Roy mówi do swoich dzieci: „I love you, but you’re not serious people”.

Wracając do PiS. Jesteśmy tak starzy, że pamiętamy kongres Porozumienia Centrum z marca 1991 r. Młodszym czytelnikom tłumaczymy: PC to był taki PiS, tylko jeszcze bez Morawieckiego. Otóż ówczesny kongres też był zjednoczeniowy. A przesłanie finalne brzmiało: przekształcić się w nowoczesną partię chrześcijańsko-demokratyczną i wygrać wybory. Na realizację dobrych pomysłów nigdy nie jest za późno.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem w Strasburgu. Sesja europarlamentu została ubarwiona ciekawym wydarzeniem – otóż specjalny pociąg podstawiany do Brukseli, by ułatwić uczestnikom sesji przyjazdy i wyjazdy, zaczął się po drodze palić. Zdarza się. Ciekawsze było polecenie, by jako pierwszych ewakuować dzieci i europosłów. W imieniu kobiet niebędących europosłami – protestujemy.

Powyższa przygoda blednie jednak w obliczu pysznej historii z przeszłości. Otóż zdarzyło się pewnego razu, że pracownikom Eurostar (który podstawia pociągi) coś się kompletnie pomieszało i specjalny pociąg pełen europosłów zamiast do Brukseli pojechał do Disneylandu. Nie dość, że historia prawdziwa, to jeszcze jakże symboliczna.

Jeszcze dwa słowa o samej sesji w Strasburgu – dziennikarze przepytywali tam diabła wcielonego, największe zagrożenie dla demokracji, 11. plagę egipską, czyli Viktora Orbána. Bohaterscy wysłannicy TVP się nie ulękli i ośmielili zadać pytanie, czy Orbán wyobraża sobie na Węgrzech taką zmianę polityczną jak w Polsce – w domyśle: wygraną tzw. obozu demokratycznego. Orbán odrzekł, że nie wyobraża sobie takiej zmiany, w wyniku której zamykane będą instytuty współpracy międzynarodowej. Tak, chodziło mu o Instytut Felczaka.

À propos rządów w Polsce „obozu demokratycznego” czy też „demokracji walczącej”, czy „sił demokratycznych”, czy jak to się tam teraz nazywa. Jesteśmy bardzo starzy, więc pamiętamy czasy sprzed III RP. Mamy więc pytanie do młodszych, którzy nie pamiętają: Czy po roku rządów koalicji 13 grudnia rozumieją już, że w haśle „obóz demokratyczny” najważniejsze jest słowo „obóz”, a w haśle „siły demokratyczne” – „siła”? ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Och, Masza!

Dawno minęły czasy, kiedy Nagroda Literacka „Nike" stanowiła skuteczne narzędzie „dystrybucji szacunku". Dziś to nisza, ale warto do tej niszy zajrzeć, kiedy odbywa się uroczyste wręczanie. Zawsze jest śmiesznie.

W tym roku bohaterką imprezy stała się wcale nie laureatka – którą zresztą potraktowano dziwnie, nie zapraszając jej na scenę i dosłownie zabierając w pewnym momencie mikrofon, gdy jeszcze chciała coś powiedzieć – ale nieznana szerzej Anna Maria Potocka, w środowisku zwana „Maszą". Stało się tak za sprawą Adama Michnika, który swą przemowę – notabene dłuższą niż samej laureatki, bo Michnikowi odebrać mikrofonu wciąż jeszcze nikt tam nie ma odwagi – poświęcił kreowaniu „Maszy" na męczennicę. Warto wiedzieć, że Michnik stał się na tę okoliczność wrogiem „kultury wykluczania" (!). A konkretnie wykluczenia „Maszy" właśnie, którą ustawił w panteonie prześladowanych wielkich Polaków obok Marii Janion, Zygmunta Baumana i Jana Błońskiego (!).

Skąd wykluczono „Maszę"? Z jury nagrody „Nike". Mówiąc ściśle, poproszono ją uprzejmie, by sama złożyła rezygnację, i tak zrobiła. Przyczyną było skazanie pani Potockiej przez sąd za mobbowanie pracowników krakowskiego Muzeum Sztuki Współczesnej i usunięcie jej z dyrektorowania tej instytucji.

Emfaza i absurd obrony „Maszy" – w takim tonie, jakby została zesłana przez sąd stalinowski za obronę wolności słowa – zniesmaczył nawet bywalców niszy. Była przewodnicząca jury Inga Iwasiów pozwoliła sobie na przekąs, że Janion czy Błoński mieli jednak jakiś dorobek, w przeciwieństwie do znanej tylko z dyrektorowania „Maszy", a dziennikarka Onetu zauważyła, że postawę Michnika cechuje daleko idący relatywizm moralny: przez wszystkie przypadki odmieniał słowa wolność, honor etc., a teraz stoi po stronie zarządzających i uprzywilejowanych, zapominając o trosce o tych, których oni niszczą i depczą! Michnik obłudnikiem? Doprawdy? Trzeba było „Maszy" i wielu lat wam, żeby bywalcy jego kościółka dokonali tego odkrycia. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Statyści historii

W celu pacyfikacji prawicowej krytyki swych działań przywódcy Prawa i Sprawiedliwości lubili posługiwać się hasłem „etyki odpowiedzialności". Powtórzę – hasłem, bo trudno to nazwać teorią. Teorię się dyskutuje, a PiS dyskusji nie lubi, nawet we własnym gronie, tym bardziej – z krytykami.

Hasło „etyki odpowiedzialności" zakładało, że wszystko jest dobre, co służy wygraniu wyborów przez PiS, wszelkie obiekcje, zastrzeżenia, skrupuły – to jedynie ekspozycje „nieodpowiedzialnych" z zasady „przekonań". W imię tej „etyki odpowiedzialności" zgodzili się więc na łamanie traktatowych praw Polski w ramach tzw. mechanizmu (rezygnacji z europejskiej) „praworządności za pieniądze". Zgodzili się również na mechanizm kolektywnego zadłużenia, czyli spłacania przez Polskę długów Unii Europejskiej. Pieniędzy nie dostali, długi zostały, władza przepadła. Jedynie armię europejską popierali w imię „etyki przekonań". Dekonstrukcja demagogii jest konieczna, ale (będę to powtarzał uparcie) nie zastąpi samej prawdy. Bez niej narody i ludzie nie mogą podejmować dobrych decyzji. Rzeczywista odpowiedzialność zakłada niezbywalny obowiązek myślenia o przyszłości narodu, nie tylko o nadchodzących wyborach. Każe reagować na wyzwania, a nie fatalistycznie poddawać się dominującym trendom. I przede wszystkim odpowiedzialność ma charakter indywidualny.

Niestety, naszą politykę zdominowała dziś autentyczna etyka nieodpowiedzialności. Oparta na założeniach, że można jedynie dryfować z prądem nastrojów, że przekonywanie opinii publicznej to naiwność i przede wszystkim – że odpowiedzialność indywidualna dezorganizuje „sprofesjonalizowaną działalność nowoczesnej partii".

Każdy przywódca chce, by jego poglądy były przyjmowane, to zupełnie normalne. Nienormalne jednak jest bezmyślne przyjmowanie przez (!) polityków dowolnych dyspozycji partyjnej centrali. I to jest najgłębsze źródło sytuacji, w której się dziś znaleźliśmy. ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Horrendum ciąg dalszy

Po Mediolanie przyszła kolej na propalestyńską manifestację w Rzymie. Wyznawcy jaskiniowego komunizmu, anarchiści ze squatów, organizacje palestyńskie, kolektywy studenckie i gówniarzerii licealnej, a nawet neofaszyszyści z Forza Nuova chcieli godnie uczcić rocznicę mordu brodaczy Hamasu na izraelskich cywilach, więc postanowili urządzić wiec na rozległym placu Ostiense 5 października. Kwestor nie zgodził się, bo uznał, że to za blisko tragicznej rocznicy. Proponował inny termin. Na próżno.

Intelektualne tuzy włoskiej lewicy i jej media ogłosiły, że decyzja prefekta to czysty faszyzm i cios w demokrację, czyli w wolność słowa i poglądów. W końcu prefekt ogłosił, że demonstracja jest nielegalna, ale jeśli odbędzie się tylko na placu, bez pochodu przez miasto, to będzie tolerowana.

Organizatorzy na placu urządzili centrum prasowe, gdzie opowiadali rzeczy jeżące włos na głowie. Masowy mord sprzed roku nazwali początkiem wielkiej rewolucji i aktem sprawiedliwości dziejowej. Oddali hołd Hamasowi, Hezbollahowi i Nasrallahowi. Ubolewali, że Hitlerowi nie udało się wymordować wszystkich Żydów. Ogłosili, że Izrael ma być wymazany z mapy świata. Głosili również, że wszystkim nieszczęściom tego świata winni są Żydzi. Wymienili Rothschilda, Zełenskiego i Sorosa. Paradoks chce, że Soros finansuje lewaków. Naturalnie oskarżali rząd włoski, szczególnie premier Meloni, o faszyzm i syjonizm.

Potem bojówkarze ruszyli na kordony policji. Poszły w ruch kamienie brukowe. Trzydziestu policjantów wylądowało w szpitalu (było tylko trzech poszkodowanych manifestantów). Pobici zostali również reporterzy jako „sługusy faszystowskiego reżimu medialnego".

Wywodzący się z lewicy prezydent Sergio Mattarella wyraził solidarność z pobitymi policjantami, ale kwiat włoskiego obozu postępu w mediach ogłosił, że policja jest sama sobie winna, bo wpuściła na plac Ostiense również chuliganów, a ponadto starcia z policją sprowokowała garstka anarchistów, więc nie ma o czym mówić. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 031a5817fa

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

KULTURA OSOBISTA W LIKWIDACJI

Jeśli jedna osoba twierdzi, że coś jest z tobą nie tak, to można się nie przejmować. Jeśli dwie, to warto się zastanowić. Ale jeśli uwagę zwraca niemalże mały tłum, to coś musi w tym być. Mowa o Kindze Dobrzyńskiej, szefowej „Pytania na śniadanie" w „TVP w likwidacji" (ha, ha). Robert Rozmus opowiedział o tym, jak wyglądało jego rozstanie z Telewizją Polską. To kolejny były prowadzący, który skarży się na Dobrzyńską. – Szczerze mówiąc, wydarzyło się to w nie do końca elegancki sposób. Nikt mnie o niczym nie poinformował. Robiłem swoje, jeździłem po Polsce z koncertami i spektaklami, a jednocześnie czekałem na informację z TVP, które terminy mam sobie zarezerwować. Po trzech tygodniach postanowiłem zadzwonić do nowej szefowej „Pytania na śniadanie". Przedstawiłem jej się i zapytałem, co dalej z naszą współpracą. Na co usłyszałem, że, jak się pewnie domyślam, nie będzie ona kontynuowana. Pani próbowała wytłumaczyć mi, że skoro zdecydowałem się występować w TVP za poprzednich rządów, to powinienem się liczyć z konsekwencjami. Brzmiało to jak pouczanie i nie do końca mi się to podobało – opowiedział Rozmus w rozmowie z Plejadą. – Przyznałem, że współpracowałem z Telewizją Polską już w latach 90. Brałem udział w różnych galach biesiadnych, związany byłem z Kabaretem Olgi Lipińskiej. Nie pojawiłem się znikąd i nie zacząłem robić nagle kariery. Miałem jej udowadniać, że nie jestem wielbłądem? To niedorzeczne – podkreślił oburzony aktor. – W pewnym momencie wypowiedzi tej pani przybrały taki ton, że postanowiłem zwrócić jej uwagę. A przecież to ja do niej dzwoniłem, a nie ona do mnie. Zakładam, że gdybym wtedy nie wykonał tego telefonu, do dziś nikt by się do mnie nie odezwał. Może przeczytałbym jedynie jakiś złośliwy komentarz na swój temat na Facebooku, jak inni prowadzący. Rozumiem, że można kogoś nie lubić, ale uważam, że osobom, które przez lata tworzyły ten program, szacunek się należy – podsumował. Racja panie Robercie. Najwidoczniej jednak w likwidatorskim szale zlikwidowano przy okazji kulturę osobistą.

FOT. FOTON/PAP

POLIZANE

Pozostając przy TVP – medialny konflikt między jurorami Kubą Badachem i Michałem Szpakiem w „The Voice of Poland" podbija oglądalność. Niemal w każdym odcinku panowie dogryzają sobie nawzajem, nie szczędząc złośliwości. W przerwie między przesłuchaniami w ciemno Kuba Badach wyznał, że na nagrania programu zabiera ze sobą ściereczkę z mikrofibry, którą czyści swój fotel i stolik. Wskazał, że porządek pomaga mu w sytuacjach pełnych stresu, ponieważ bałagan rozprasza myśli, a porządek pozwala je poukładać. Na wizji pokazano, jak Badach czyści swój pulpit tylko po to, by Szpak wkroczył i go... polizał. – Jak mi Michał wjeżdża tutaj ze swoimi pazurkami, potem z językiem swoim, to oprócz tego, że mnie bierze obrzydzenie, to czuję brak schludności – opowiedział wokalista. Tymczasem Szpak nie zdawał się tym przejmować, obserwując zdziwiony zachowanie kolegi z jury. Badach skomentował całą sytuację, mówiąc, że „kierowca autobusu też nie lubi, gdy pasażerowie plują tuż po wejściu do środka". Wspominałam już o likwidacji kultury osobistej?

SPOKÓJ I POKÓJ

Na 2026 r. zaplanowano premierę filmu „Transatlantyk 2010". Fabuła ma się kręcić wokół wątku rzekomo zmyślonej przez Jarosława Kaczyńskiego historii o rejsie z Brazylii do Polski, w którym miała uczestniczyć delegacja wysłana wcześniej do Smoleńska. Prezes PiS po rzekomym powrocie prezydenta z fikcyjnego rejsu miał udawać swojego brata. Wszystko – podkreślam, rzekomo – po to, aby mama braci Kaczyńskich nie dowiedziała się o tragedii Tu-154M. Niepotwierdzone rewelacje opisano w książce „Jarosław. Tajemnice Kaczyńskiego". Rolę braci Kaczyńskich ma odegrać w filmie Jacek Braciak. W jednym z wywiadów zapytano aktora, czy nie ma obaw. – Ja się boję tylko Boga i łez ludzkich. To po pierwsze. Po drugie, to truizm, ale myśląc w ten sposób, nie mógłbym zagrać geja, bo pomawiano by mnie, że jestem gejem. Dla mnie nie ma znaczenia, czy to jest Tadeusz Kościuszko czy to są bracia Kaczyńscy, jeśli to jest ciekawy materiał pozwalający mi podróżować ciągle naprzód – stwierdził. Z kolei reżyser Bartosz Kruhlik przekonuje, że film nie będzie polaryzował. – Byłem sceptyczny wobec projektu „Transatlantyk 2010" z powodu tematu, który porusza. Po przeczytaniu scenariusza uznałem jednak, że byłoby filmowym grzechem nie podjąć się tego wyzwania. Poczułem, że to wybitnie napisany tekst – dobry nie tylko warsztatowo czy artystycznie, ale też niezwykle ważny – zaznacza. – Scenariusz nie jest polaryzujący, autorzy starają się przyjrzeć polskości, tak jak przyglądali się jej wybitni twórcy tacy jak Gombrowicz czy Wyspiański. Jest w tym jakiś polski szał. Autorom nie zależy na opowiedzeniu o kimś z imienia i nazwiska – wskazał Kruhlik. Oczywiście, i właśnie dlatego Braciak wciela się w Kaczyńskich. Ma to sens. ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, po raz kolejny świat żyje rozdaniem Nagród Nobla. Jak co roku też mamy do czynienia z festynem ku czci starszych, białych, heteronormatywnych mężczyzn, którzy – jakoś tak się dziwnie składa – co roku dominują na listach nagrodzonych naukowców.

Czemu tak się dzieje? Wniosek jest prosty. Otósh do Komitetu Noblowskiego wciąż nie dotarły najwidoczniej informacje, jak należałoby przeprocesowywać przyznawanie nagród, iżby stały się one nieco bardziej inkluzywne, wspierały różnorodność etniczną, seksualną, genderową, wyznaniową i dietetyczną.

Aż dziwne, iż nikt w tym komitecie nie ma rozpisanej żadnej procedury, jak powinien wyglądać sprawiedliwy społecznie proces wyłaniania zwycięzców. W każdym przeciętnym korpo istnieją już takie przepisy, Netflix potrafi robić takie seriale, że różnorodność się wylewa z każdego kadru, a w przypadku Nobli – zupełnie nic, cisza, wszystko jak w XIX w.

No i też sama nazwa jest zupełnie nieprzystająca do obecnych wymogów przebudzonego świata. Nobel był mężczyzną, nosił brodę, ufundował nagrodę – OK, niby tak, ale heeelooół, mamy XXI w. i najwyższa pora stosować język bez wykluczeń. Naszym zdaniem jako społeczeństwo jesteśmy coraz bardziej dojrzewający do nagród Noblessy albo chociaż Nobli (od ta Nobla). Mamy nadzieję, iż się ktoś w końcu tym zajmie.

Znów nadszedł też ten krępujący moment w roku, kiedy elektorat złożony z boomerów głosuje w plebiscycie na młodzieżowe słowo roku. Na razie trwa dopiero etap zbierania propozycji, a listę zakwalifikowanych słów poznamy w listopadzie. Spodziewamy się jednak, iż jak co roku przebiegną przez nasz kręgosłup ciarki żenady.

Pomyśleliśmy za to, iż dobrze byłoby się odpłacić pięknym za nadobne i zorganizować swój własny plebiscyt na boomerskie słowo roku. Pewna trudność mogłaby polegać na tym, iż my w ogóle nie rozumiemy tych słów, których boomerzy używają na co dzień, czyli np.: podatki, rehabilitacja, prostata, etat czy obowiązki.

No i widzicie, my tak sobie tylko żartujemy, iż skoro na czymś się nie znamy, to nie wypowiadamy się na ten temat (inna sprawa, iż znamy się na naprawdę wielu rzeczach). A tu zaraz komisja boomerów będzie wybierała to nieszczęsne młodzieżowe słowo roku i pisała te wszystkie uzasadnienia do wyborów, traktując tę młodzież z takim zafrasowanym zainteresowaniem starszego wujka. Jakby co, nas do komisji nie zapraszajcie, nie chcemy brać w tym udziału.

Dawno wam nie pisaliśmy, co tam słychać u Polaków. Wiecie, chodzi o ten cykl, że jeżdżą starymi autami, żyją w małych mieszkaniach i wakacje spędzają na działce. Otósh mamy nowe wieści: wyobraźcie sobie, iż Polacy nie oszczędzają. Stopa oszczędności gospodarstw domowych w Polsce, czymkolwiek to jest i jakkolwiek by się tego nie liczyło, jest gdzieś tak trzy razy mniejsza niż w strefie euro.

W sumie nad czym się tu rozwodzić? Strefa euro to dojrzałe, świadome społeczeństwa, które nie muszą już tyle konsumować. A Polak, wiadomo, dostanie wypłatę, zapłaci rachunki, zatankuje auto, pójdzie do Lidla – i wypłaty nie ma, nie ma z czego oszczędzać. Mamy nadzieję, iż jakaś świadomość ekonomiczna jednak pojawi się wraz z rozwojem, bo trochę wstyd czytać takie newsy. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Dla Polski

Kinia, ja wszystko rozumiem – dom, dodatki. Ale po co ci był ten robot sprzątający?

No jak to, Szymek? Robot jest po to, żeby sam robił. Jak nazwa wskazuje.

A nie można było jakoś skromniej? Bo robot... Sama wiesz, jak to wygląda.
Przez osiem ostatnich lat...

Nie jesteśmy na wiecu. Pytam, bo i tak jakoś się muszę do tego ustosunkować. Jako marszałek.

My z Arkiem dla Polski robimy i nie będziemy się tłumaczyć.

Jak chcesz... Wasza partia, wasz PR, wasze zmartwienie. A ten robot to chociaż dobrze odkurza? Bo właśnie szukam do swojego biura. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Teraz obiektem ataków są inni".

***DONALD TUSK** o tym, że wiceminister Myrcha i jego żona posłanka są ofiarami PiS, bo media ujawniają ich dopłaty do mieszkania i wydatki na biura poselskie*

eprasa.pl 031a5817fa

FOT. CRISTOBAL HERRERA-ULASHKEVICH/EPA/PAP

HURAGAN MILTON SPUSTOSZYŁ FLORYDĘ

Co najmniej 16 osób zabitych, uszkodzone mienie o wartości ponad 50 mld (!) dol., a także zniszczona infrastruktura energetyczna, w wyniku czego kilka milionów Amerykanów zostało pozbawionych prądu. Ten tragiczny bilans huraganu Milton, który w ubiegłym tygodniu przeszedł przez Florydę, może być jeszcze gorszy, ponieważ ratownicy przedzierający się przez gruzy mogą natrafić na ciała kolejnych zmarłych, którzy nie zdecydowali się na ewakuację. Potężny huragan (z porywami wiatru przekraczającymi 265 km/h) powalał drzewa, niszczył samochody, łodzie, domy, sklepy, a nawet stadiony (w Tampie potężny wiatr zerwał dach ze stadionu baseballowego). ***(jap)*** © ℗

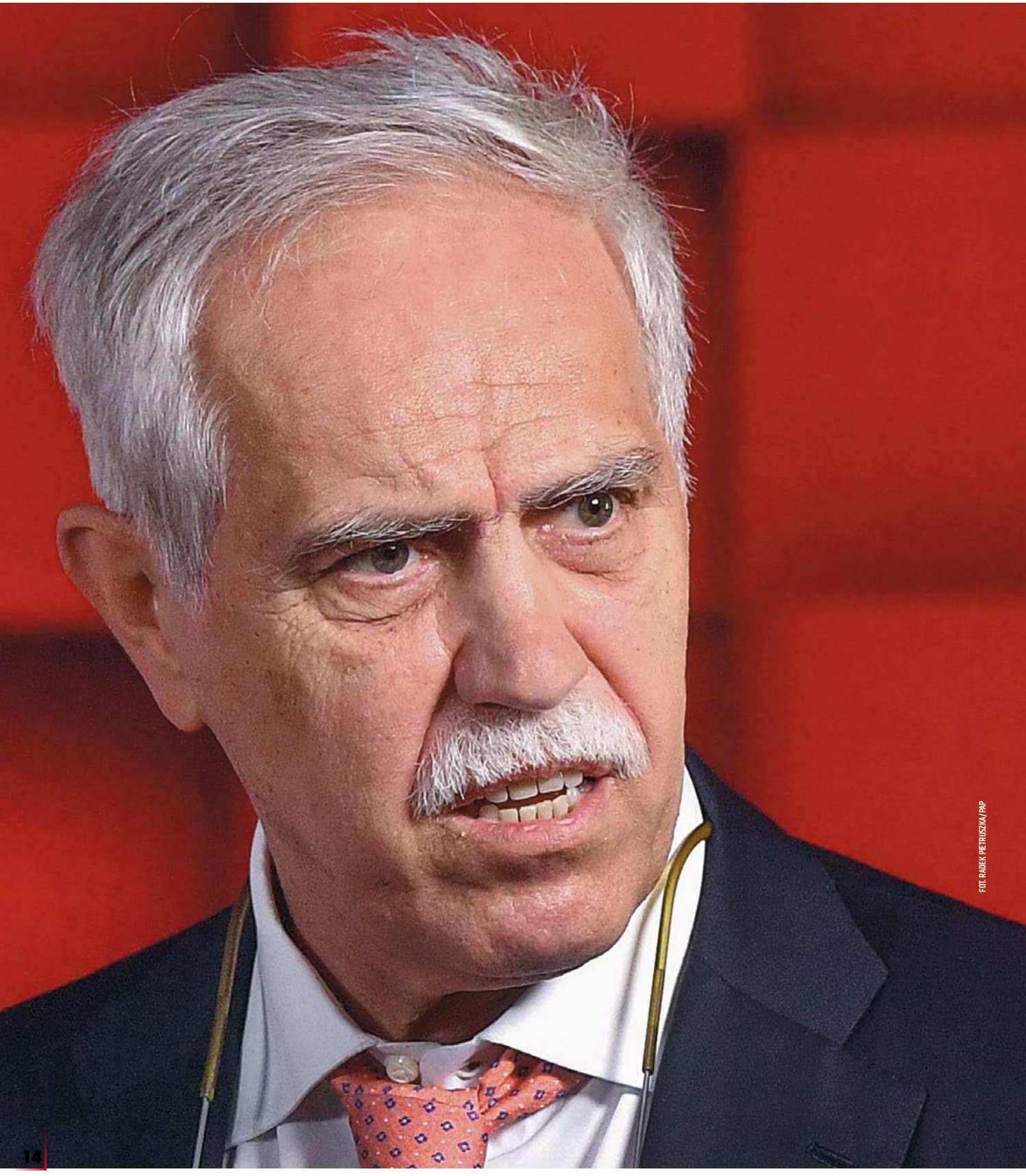

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

eprasa.pl 031a5817fa

Gra o tron Zygmunta Solorza

Piotr Semka

Jakikolwiek będzie wynik walki o imperium Zygmunta Solorza, ten w najlepszym razie wyjdzie z niej osłabiony, a w najgorszym razie może stracić władzę nad swoim koncernem. Przeciętnego Polaka może to mało wzruszać. Jednak już zawężenie wolności słowa na rynku telewizyjnym może nie być mu obojętne

Zygmunt Solorz story. Ten serial rozgrywa się na naszych oczach" – w ten sposób „Gazeta Wyborcza" reklamuje swoje teksty o konflikcie w rodzinie magnata biznesowego. Wypowiedzenie wojny Solorzowi przez ekipę Tuska już nastąpiło. A sygnał do ataku dała właśnie redakcja z Czerskiej. Stara prawda medialna mówi, że opis danego procesu bardzo często wpływa na jego przebieg. Kto i w jakim stylu uczestniczy w sporze o firmy Solorza? Jakie ma cele i czego chce?

INFORMOWAĆ, ABY WPŁYWAĆ

Plotki o zaborczej żonie odcinającej dostęp męża do swych dzieci, spekulacje wokół przyszłości wielkiego biznesowego imperium, licytacje między prawnikami, kto może, a kto nie może wejść na obrady walnego zgromadzenia jednej z firm Solorza, publikowanie nagrań sprawiających wrażenie filmów z ukrytej kamery... Któreż medium nie zainteresowałoby się takimi sensacjami?

Jednak jeden typ relacjonowania sporu nie może się równać z innymi. „Gazeta Wyborcza" na swych łamach szczyci się, że jako pierwsza poinformowała o konflikcie Zygmunta Solorza z jego dziećmi. Dziennik Adama Michnika to medium, które od czasu artykułu „Wasz prezydent, nasz premier" z lata 1989 r. dobrze nauczyło się wpływać na rozwój wydarzeń w polityce. Tym razem uwaga „GW" skierowała się na spór na styku biznesu i polityki.

Po raz pierwszy sprawą zajął się Wojciech Czuchnowski 25 września. Na nazwisko autora tekstu warto zwrócić uwagę. Do zajęcia się tematem wyznaczono dziennikarza, który zazwyczaj podejmuje tematy najbardziej istotne dla politycznych celów gazety. Do pomocy Czuchnowskiemu wyznaczono Agnieszkę Kublik, doświadczonego speca od mediów. Żadne z nich nigdy nie pisywało w dziale ekonomicznym, choć z pozoru to ta sekcja gazety powinna zająć się rodzinnym sporem w wielkim koncernie biznesowym.

Tytuł tekstu z 25 września brzmiał czysto informacyjnie: „Wstrząs w imperium Solorza. Kto chce przejąć kontrolę nad spółkami jednego z najbogatszych Polaków". Jednak już w tym tekście wyraźnie zostaje zarysowana linia politycznego sporu. Pisząc o pretensjach synów Tobiasa Solorza i Piotra Żaka oraz córki Aleksandry Żak do ojca, „Wyborcza" wskazuje: „Twierdzą, że to Justyna Kulka [nowa żona Solorza – przyp. P.S.] stoi za politycznym uwikłaniem Polsatu w układy z PiS w czasie rządów tej partii i że to ona (tj. Kulka) stała za pomysłem promowania Doroty Gawryluk jako kandydatki na prezydenta w wyborach planowanych na jesień 2025 r. Ma ona też wspierać Lepszą Polskę – stowarzyszenie, którego Gawryluk jest liderką. Gawryluk nie ukrywa swoich sympatii do PiS, przyjaźni się z żoną Zbigniewa Ziobry, Patrycją Kotecką, oraz z Joanną Kurską, żoną byłego prezesa TVP Jacka Kurskiego. Do grudnia 2023 r. kierowała redakcją Polsatu, dziś jest szefową programów tematycznych stacji".

W pierwszej fazie tekstów o sporze w rodzinie pojawia się motyw Justyny Kulki jako postaci podwójnie niepokojącej. Najpierw jako zaborcza macocha, która odizolowała Zygmunta Solorza od świata i uzależniła go od siebie. Natomiast w planie politycznym Justyna Kulka pojawia się jako ta osoba, która miała stać za pomysłem uzależnienia Polsatu od PiS i miała być nawet spiritus movens pomysłu na prezydenturę Gawryluk.

Kolejna faza informowania o sporze zaczyna się na portalu „GW" w piątek 4 października. Artykuł nosi tytuł: „Dzieci Solorza liczą, że rząd im pomoże. Bo ojciec nacisnął na odcisk bliskiemu

eprasa.pl 031a5817fa

współpracownikowi Tuska". Tekst jest ogromny nawet jak na standardy gazet codziennych. Liczy ponad 50 tys. znaków, co jest już dziś formatem bardzo rzadko spotykanym. Artykuł zawiera tak dużo informacji niejawnych lub zastrzeżonych jako tajemnice handlowe firmy, że sprawia wrażenie, jakby zbudowany był na informacjach insiderskich od jednej z dwóch stron konfliktu; nasuwa się odpowiedź, że mogli to być synowie Solorza, najbardziej zainteresowani nagłośnieniem sporu. Użyć wypada słowa „synowie", gdyż córka Solorza, Aleksandra, stara się trzymać raczej z daleka od stanowisk w rozmaitych segmentach koncernu ojca.

Wyraźne jest też bardzo dokładne opisywanie w tekście tego, co redakcja wie o Justynie Kulce i Dorocie Gawryluk, przy omijaniu przedstawienia postaci Tobiasa Solorza i Piotra Żaka. Nie dowiadujemy się z tekstu, czy synowie byli dobrymi menedżerami, a jest to dość istotne, bo – jak możemy przeczytać w tekstach w innych mediach – Solorz miał krytycznie podchodzić do sposobu, w jaki obaj synowie kierowali powierzonymi sobie firmami. „Gazety" nie interesuje także żadna próba odpowiedzi na pytanie, co konkretnie oznaczały słowa Solorza z sierpnia br., gdy krótko po przekazaniu synom pełni władzy nad fundacjami firmy chciał tę decyzję odwołać i ogłosił, że został wprowadzony w błąd. Co miał na myśli? To już „GW" nie interesuje.

Zwraca uwagę jeszcze jeden aspekt tekstu z 4 października. „Wyborcza" sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie bała się żadnych procesów. A przecież pisze o informacjach wrażliwych na temat stanu zdrowia Solorza. Twierdzi, że cierpi on na mikroudary, a relacjonując telefoniczną rozmowę synów z ojcem, podaje informację, że Zygmunt Solorz zachowywał się dziwnie, „jakby powtarzał wcześniej przygotowany tekst". Najwyraźniej „Gazeta Wyborcza" z jakichś powodów nie obawiała się procesu ze strony Solorza o ujawnienie danych niejawnych. „Wyborcza" posuwa się nawet do twierdzenia, że zły stan zdrowia to „objawy dziedzicznej choroby Solorza". Innym przykładem niezwykłej pewności siebie „GW" jest umieszczenie w tekście passusu o tym, że wyjście na jaw informacji o sporze w rodzinie może mieć bardzo niekorzystne konsekwencje dla pozycji firmy.

Jak piszą autorzy: „Takie rzeczy na ogół nie wychodzą na jaw. Opinia publiczna, jeśli się o nich dowiaduje, to po fakcie, gdy obie strony zawarły już porozumienie, a kłótnie i spory zostały zażegnane i zaczyna się nowy etap. Aby negocjacje się udały, a biznes nie ucierpiał, konieczna jest dyskrecja. Zwłaszcza gdy chodzi o biznes wartości prawie ośmiu miliardów złotych, w których państwowe banki ulokowały 15 miliardów złotych kredytu [...]. Ale wojnie o władzę w imperium Solorza wszyscy mogą się przyglądać".

Czuchnowski i Kublik być może mimowolnie, a być może z premedytacją zademonstrowali, że są w pełni świadomi, jak opisywany spór rodzinny może przyczynić się do spadku wartości giełdowej akcji firm Solorza.

Stare przysłowie mówi, że biznes najbardziej lubi ciszę. Ale w tym wypadku najwyraźniej ktoś postanowił zaprosić do konfliktu „Wyborczą" i możliwie najgłośniej zakłócić ową biznesową ciszę. Efekt nagłośnienia sprawy przez „GW" szybko dał się zauważyć przy lekturze nagłówków portali biznesowych.

Już 29 września br., czyli cztery dni po pierwszym tekście Czuchnowskiego i Kublik, portal Bussines Insider wybijał tytuł: „Niepewna przyszłość Cyfrowego Polsatu. Rynek rozważa wiele scenariuszy". Ponad tydzień później, 8 października, ten sam portal uraczył czytelników tytułem: „Topnieje majątek Zygmunta Solorza. Inwestorzy zaniepokojeni sporem o sukcesję".

9 października o konflikcie napisał Bloomberg i zacytował informacje „Wyborczej", ża Justyna Kulka „skutecznie zablokowała jego dzieciom kontakt z nim".

RZĄD WCHODZI NA SCENĘ

Wróćmy jednak do tekstu z „Gazety Wyborczej" z 4 października br. Autorzy decydują się na przedstawienie sporu jako kolejnego konfliktu PiS – anty-PiS. „Na szczycie imperium (Solorza) mamy dziś dwie frakcje. Jako przywiązani do PiS postrzegani są, prócz Gawryluk, Justyna Kulka oraz sam Solorz. Natomiast dzieci miliardera i ich doradcy są w obozie anty-PiS. I uważają, że trzeba dokonać strategicznej zmiany kursu, o wiele bardziej spektakularnej niż ta z grudnia zeszłego roku dokonana tuż przed powołaniem rządu zwycięskiego Tuska. Pozbawienie Gawryluk stanowiska [chodzi o usunięcie jej z funkcji szefa pionu informacji Polsatu na inne stanowisko – przyp. P.S.] nie ma już przecież żadnego znaczenia, bo ona i tak jako jedna z najbliższych współpracowniczek miliardera ma olbrzymi wpływ na bieg spraw w koncernie".

Zauważmy więc, jaki jest sposób postrzegania rzeczywistości przez „GW". Definiuje ona sytuację w koncernie według wojskowej zasady „Friend or Enemy".

Gdy zaczyna się kolejna faza perswazji pod hasłem „Skoro jest tak źle, to do akcji musi wejść rząd Donalda Tuska", Czuchnowski pisze: „Frakcja anty-PiS liczy na rząd – obstawia, że gdy popłynie mocny sygnał, że to dzieci mają dobre relacje z władzą, nie pozostanie to bez wpływu na stan interesów Cyfrowego Polsatu oraz innych spółek, a przez to na własnościowe decyzje. I ma argumenty, które powinny rząd do wysłania takiego sygnału zachęcić. Przecież rządzący wiedzą – taki tok rozumowania można podejrzewać – że Cyfrowy Polsat to bardzo ważny punkt na mapie gospodarczej i politycznej Polski".

Zatrzymajmy się na chwilę nad użytym przez Czuchnowskiego określeniem: „Taki tryb rozumowania można podejrzewać". Czy istotnie jest to jedynie podejrzenie? A może jest to ubrane w ładne słówka stanowisko kogoś z otoczenia Tuska, którego dziś drażni względna niezależność Polsatu? Platforma jeszcze za rządów PiS miała totalne wsparcie TVN, a po grudniu 2023 r. siłowo zagarnęła telewizję publiczną. W tej sytuacji Polsat pozostaje jedynym poza telewizjami Republika i wPolsce24 dużym podmiotem telewizyjnym niekontrolowanym w pełni przez platformerską władzę. Kto komu suflował zacytowany powyżej fragment? „Wyborcza" rządowi czy rząd „Wyborczej"?

Dalej bez żadnego choćby zażenowania głoszona jest jako oczywistość teza, że rząd musi w pełni kontrolować firmy Solorza. Czuchnowski i Kublik piszą: „Dla polityków dostęp do tak potężnej telewizji ogólnopolskiej [jak Polsat – przyp. P.S.] jest bardzo ważny; Solorz ma w swoich zasobach sieć światłowodową (Netia); jest ważnym inwestorem w odnawialne źródła energii, na które stawia obecna ekipa. Sieć komórkowa i przepływ informacji – Plus oraz Interia – to również zestaw niezwykle ważny, także z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa, choćby w związku z wojną – tą w Ukrainie i tą hybrydową,

eprasa.pl 031a5817fa

Kluczowe biznesy Solorza skupia Cyfrowy Polsat. Są to m.in.: Polkomtel (operator sieci komórkowej Plus), Netia, Telewizja Polsat i grupa medialna Interia, spółka Port Praski zajmująca się nieruchomościami oraz firma energetyczna PAK – Polska Czysta Energia. W 2023 r. grupa odnotowała 13,6 mld zł przychodów oraz 312 mln zł zysku netto przy 3 mld zł skorygowanej EBITDA.

Na 7,72 MLD ZŁ szacuje majątek Solorza „Forbes"

Zygmunt Solorz zajmuje 8. MIEJSCE w rankingu 100 najbogatszych Polaków miesięcznika „Forbes"

Ponad 15 MLD ZŁ wynosi zadłużenie firm Solorza

1 MLD ZŁ na spłatę odsetek firmy Solorza wydały w 2023 r.

32 PROC. Polaków uznaje programy informacyjne Polsatu za najbardziej wiarygodne

prowadzoną przez Kreml przeciwko Unii Europejskiej i zachodnim demokracjom [...]. Zwolennicy dzieci miliardera wskazują, że ekipa rządowa nie może zostać bierna w sprawie rozgrywki w imperium Solorza, bo, jak widać, ona nie jest wcale wewnętrzna – dla państwa ważne jest, kto i jak będzie tymi zasobami gospodarował".

Powyższy cytat to w istocie bardzo niepokojący pean uzasadniający praktykę totalnego uzależniania wszystkich prywatnych przedsiębiorstw od widzimisię państwa. A gdy dodatkowo mowa o państwie, które już używa prokuratury do realizowania swoich celów politycznych, to manifest Czuchnowskiego brzmi wyjątkowo groźnie. Tak naprawdę logiczną konsekwencją tego typu wywodów powinno być urzędowe upaństwowienie firm Solorza w imię jakichś wyimaginowanych racji stanu.

„Wyborcza" nie posuwa się tak daleko. Najpewniej nie chce spłoszyć synów Solorza, którzy zapewne nie chcą przejęcia firmy przez państwo, tylko naiwnie myślą, iż z pomocą rządu wyrwą z rąk ojca, ile się da. Przekonani, że potem Tusk da im spokój i panować będzie ich podmiotowość. To oczywiście naiwność, ale synowie Solorza nie muszą tego rozumieć.

Ktoś może się zdziwić, dlaczego na tym stosunkowo wczesnym etapie sporu o imperium Solorza „Wyborcza" tak szybko zdecydowała się na zarysowanie politycznej linii podziału i pośrednio wezwanie rządu do interwencji. Ten zabieg narracyjny może mieć na celu oddziaływanie na psychikę ważnych postaci wewnątrz i na zewnątrz firm Solorza. Może chodzić o stworzenie wrażenia, że skoro machina władzy Tuska już staje za plecami Tobiasa Solorza i Piotra Żaka, to wszelki opór nie ma sensu. Sprytny manewr psychologiczny?

W Polsce „demokracji walczącej", gdzie coraz więcej osób zaczyna się bać wszechmocy władzy, taki styl perswazji może niestety okazać się skuteczny. „Wyborcza" w tej ofensywie ma wszystko podane na talerzu. Oto trafia do niej np. nagranie zamkniętego posiedzenia w spółce ZE PAK z 7 października. Nagranie pokazuje, że Solorz ma duże trudności z wysławianiem się i tworzy wrażenie starego, zdezorientowanego lidera. Ale dla jeszcze mocniejszego zdyskredytowania Solorza „Wyborcza" chętnie sięga do metod, które niegdyś z oburzeniem odrzucała. Oto 7 października ukazuje się na łamach „GW" duży tekst „Tajemnice imperium Solorza" pióra Andrzeja Kublika, pierwszego w tej sekwencji tekstów dziennikarza ekonomicznego. Czytamy w nim: „Liczne zmiany nazwiska, a także doniesienia o wizytach Solorza w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim [...] rodziły podejrzenia o związki biznesmena ze służbami specjalnymi PRL. Solorz długo temu zaprzeczał. Ale gdy w 2006 r. znaleziono w IPN, że w październiku 1983 r. podpisał zobowiązanie do współpracy z wywiadem cywilnym PRL – potwierdził tę informację".

Gdy się więc okazuje, że trzeba wziąć Zygmunta Solorza na celownik, nawet tyle razy wyklinane przez Adama Michnika „grzebanie w teczkach" okazuje się słuszne i wskazane.

PISOWSKI SOLORZ?

Czy właściciel Polsatu istotnie jest kryptopisowcem, jak to udowadnia z uporem „Wyborcza"? Jeden z polityków, którzy kooperowali niegdyś z Polsatem, mówi: „Solorz zbudował swoje imperium według prostej zasady – zawsze żyj dobrze z aktualną władzą. Ponieważ tak robił z każdym rządem, to także stosował tę zasadę wobec PiS. Nie zrozumiał jednak na czas, że Platforma po utracie władzy w 2015 r. ogłosiła polaryzację totalną. W myśl tej doktryny każdy, kto nie walczył z PiS na śmierć i życie, trafiał do przegródki zdrajca i potencjalny wróg. Dziennikarze Polsatu przypominają sobie, że akurat z Donaldem Tuskiem Solorz zawsze miał chłodne relacje".

Jeden z byłych polityków Platformy wspomina: „W latach 2007–2014 Tusk podejrzewał Solorza, że ma jakieś konszachty z Grzegorzem Schetyną, który wówczas był dla Tuska wewnętrznym wrogiem numer jeden. W rezultacie wielki Donald gdzie mógł, tam Solorzowi szkodził. Przykładowo, gdy w 2014 r. odbywały się w Polsce mistrzostwa świata w siatkówce, na których nasi zawodnicy szli od zwycięstwa do zwycięstwa i Polsat miał monopol na transmisję z meczów, to premier Tusk miał zakazać spółkom Skarbu Państwa sponsorowania naszej reprezentacji. Jedyni, którzy się wyłamali, to KGHM z Legnicy, ale – jak żartowano – na dolnośląską prowincję nie dotarły na czas życzenia lidera PO".

W okresie ośmiu lat rządów PiS Polsat był wielokrotnie oskarżany przez „Wyborczą" o zbytnią uległość wobec prawicy. Tyle że było to działanie wyprzedzające. Zakładano, że skoro Polsat będzie ciągle bity pałką po głowie za swój rzekomy kaczyzm, to będzie się pilnował i de facto jakoś usytuuje się w medialnym froncie walki z dobrą zmianą. Można przyjąć, że Solorz dbał, żeby nie przekraczać pewnych granic, ale nie było to żadne łamanie dobrych standardów dziennikarskich. Swoim zwyczajem po wygranej innego obozu politycznego, w tym wypadku obozu Tuska, dokonał zmian kadrowych. Odwołał Dorotę Gawryluk z kierowania pionem informacyjnym Polsatu i na jej miejsce powołał Piotra Witwickiego,

eprasa.pl 031a5817fa

który szybko wyplenił wszelkie akcenty krytyczne wobec ekipy PO.

Jeśli więc szukać czegoś, co naprawdę zepsuło relacje Solorza z Tuskiem, to był to pomysł użycia Doroty Gawryluk jako kandydatki w wyborach prezydenckich jako żetonów do przetargów z nową władzą na temat utworzenia jakiegoś modus vivendi. „Wyborczą" nawet samo branie pod uwagę startu Gawryluk w wyścigu do Pałacu Prezydenckiego doprowadzało do furii. Publicyści „GW" co rusz podejrzewali Solorza o jakieś tajne pakty z PiS. Niektórzy twierdzili nawet, że Nowogrodzka może zgodzić się, aby Gawryluk stała się kandydatką PiS na prezydenta – oczywiście w formie jakiegoś szerszego sojuszu politycznego. Dla doświadczonych obserwatorów sceny politycznej było to mało prawdopodobne, ale dziennik z Czerskiej wiedział swoje. Pamiętano tam casus Pawła Kukiza, którego start w wyborach prezydenckich w 2015 r. najpierw odebrał głosy Bronisławowi Komorowskiemu z PO, a w drugiej turze część wyborców Kukiza poparła właśnie Andrzeja Dudę.

Czy Agora chciałaby coś kupić w razie ewentualnej wyprzedaży aktywów imperium Solorza?

Czy taki manewr teraz był też realny? Większość moich rozmówców znających sytuację w Polsacie twierdzi, że Solorz chciał tylko postraszyć taką możliwością, aby mieć narzędzie nacisku zarówno na PiS, jak i na PO. Ale tylko jedna strona tej gry – ekipa Tuska – zapamiętała sobie ten manewr Solorza jako wymagający zemsty akt zbytniej pewności siebie. Jeden z polityków PSL mówi: „Tusk zapamiętał sobie pewność siebie Solorza i się wściekł. A u Tuska ta wściekłość łączy się zazwyczaj z planem zemsty. Donald poczekał spokojnie na okazję, kiedy Solorzowi powinie się noga, i zainteresował się sporem o władzę nad firmą, widząc w tym sposobność do osłabienia imperium Solorza raz na zawsze".

I w tym punkcie ekipa Tuska miała okazję do połączenia swoich sił z „Wyborczą". Obie strony mają swój interes w zlikwidowaniu potęgi Polsatu. Tusk w imię ideału absolutnej dominacji medialnej, a „Wyborcza" jako samozwańczy strażnik liberalnego ładu, który mobilizuje się, gdy podejrzewa, że prawica może uzyskać jakiś nowy przyczółek.

Jeden z analityków rynku medialnego mówi: „»Gazeta« w tej antysolorzowej krucjacie wyraźnie czegoś bardzo chce. Wbijają klin między Solorza i jego dzieci, dają tlen synom w ich walce z ojcem i podkręcają umiejętnie napięcie".

Czy Agora chciałaby coś kupić w razie ewentualnej wyprzedaży aktywów imperium Solorza? Być może. Marzenia o własnej telewizji pchnęły Adama Michnika do targów z ekipą SLD, co skończyło się aferą Rywina. Agora nigdy nie posiadała ważnej, wpływowej telewizji. To jest jej kompleks. A długotrwały spór może na tyle osłabić Polsat, że ten będzie do kupienia za atrakcyjną sumę.

DEADLOCK

Deadlock – tym określeniem Anglosasi określają śmiertelne sczepienie dwóch przeciwników, którzy nawzajem doprowadzają się do śmierci. Taki rozwój sporu między Zygmuntem Solorzem a jego synami niepokoi wszystkich tych, którzy na destrukcji imperium Solorza mogą stracić. Ci, którzy latami pięli się w górę i którzy nie wierzą, że synowie dadzą sobie radę z tak dużą firmą. Ci, którzy wiedzą, w jak dużym stopniu osobisty autorytet i doświadczenie Solorza seniora sklejały tę firmę i pozwalały jej przetrwać wcześniejsze burze. Według pogłoski jedną z osób, które próbują mediacji na linii ojciec – synowie, jest Wiesław Walendziak – sekretarz rady nadzorczej Zespołu Elektrowni Pątnów-Adamów-Konin SA. Tyle że spór rozgorzał już takim płomieniem, iż trudno będzie go zgasić. Tym bardziej że obie strony wynajęły najlepsze stołeczne kancelarie prawne. Komentuje to gorzko jeden z doświadczonych biznesmenów: „Każdy taki spór to ogromne pieniądze dla prawników, a jednocześnie destrukcja dobrego wizerunku firmy. A potem, gdy jedna lub druga kancelaria wygra, to często nie bardzo jest co zbierać. Jedna ze stron wygrywa, ale zostaje jej gruzowisko".

Przez 30 lat budowania swojego imperium Solorz był wierny zasadzie: „Ciszej jedziesz, dalej będziesz". Był przekonany, że posiadając Polsat czy ostatnio także portal Interia, jest zabezpieczony medialnie. Ale w sytuacji ostatniego ataku „Gazety Wyborczej" zdaje się zachowywać jak amator. Solorz wypowiedział się tylko bardzo krótko i ogólnikowo dla „Super Expressu", a poza tym nie widać żadnej linii jego kontrofensywy medialnej. Polsat o sporze informuje zdawkowo, a wypowiedzi Justyny Kulki dla „Wyborczej" są dość niezdarne. Na razie Solorz, korzystając ze swojej przewagi w posiadaniu akcji, usunął synów z rad Cyfrowego Polsatu i ZE PAK. Synowie z kolei przechwalają się, że na drodze prawnej sparaliżują próby przekazania im władzy nad objętymi przez nich biznesowymi fragmentami imperium Solorza.

Jakikolwiek będzie jednak wynik tej walki, Solorz w najlepszym razie wyjdzie z niej osłabiony, a w najgorszym razie może stracić władzę nad swoim koncernem. Przeciętnego Polaka może to mało wzruszać. Ale już zawężenie wolności słowa na rynku telewizyjnym może nie być mu obojętne. Jeden z biznesmenów sprzyjających Solorzowi mówi: „Tobias Solorz i Piotr Żak nie zastąpią ojca i nie udźwigną jego imperium. Nie mają do tego talentu i nie mogą liczyć na równie wiernych co w wypadku ojca współpracowników. Zniszczyć wszystko w imię obrony swoich interesów bardzo łatwo. Ale jak się korzysta z takich sojuszników jak Tusk, to nietrudno być potem ogranym. A raz zniszczona sława Polsatu zbyt szybko się nie odrodzi. To coś jak szekspirowska tragedia".

Na ten moment sytuacja wygląda tak, że stery imperium biznesowego trzymają mocno Zygmunt Solorz i jego żona Justyna Kulka. Spór sądowy w Liechtensteinie między ojcem a jego synami na razie nie ma wpływu na działalność grupy. Mając przeciw sobie rząd, miliarderowi nie będzie łatwo. Ale to nie znaczy, że jest bez szans. Po jego stronie są znakomici prawnicy i wyćwiczony latami instynkt walki Zygmunta Solorza. Wiele będzie zależeć od jego stanu zdrowia. I od tego, czy nauczy się wizerunkowej gry medialnej przy otwartej kurtynie. Pierwsza fala ataku pokazała, że nawyk Solorza, by załatwiać sporne sprawy w ciszy medialnej, zaczyna wykazywać liczne słabości.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

REPUBLIKA

Zapraszamy na żartobliwy komentarz bieżących wydarzeń politycznych i krótkich fragmentów programów różnych nadawców.

PIACHEM W TRYBY

CODZIENNIE
21:45

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

W lipcu REPUBLIKA rozpoczęła nadawanie na ósmym multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8 na kanale 51, dzięki czemu dociera już do 80% Polaków. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. REPUBLIKĘ obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 031a5817fa

Sikorski na prezydenta?

Łukasz Warzecha

To nie Donald Tusk ani Rafał Trzaskowski mogą okazać się prezydenckim game changerem Koalicji Obywatelskiej

FOT. ATTILA HUSENOW / FORUM

Szef MSZ, Radosław Sikorski, 9 października na profilu na X zapraszał na następny dzień na internetową sesję pytań i odpowiedzi. Niby nic, choć nie robił tego dotąd chyba żaden z ministrów spraw zagranicznych. Politycy jednak utrzymują z wyborcami kontakt na różne sposoby. Czy nie ma jednak tutaj drugiego dna?

W większości sondaży dotyczących wyborów prezydenckich jako pewnik przyjęto, że Koalicję Obywatelską będzie reprezentować Rafał Trzaskowski. Wariantowo prezentowani są zatem kandydaci PiS, ale nie KO. To błąd, bo sprawa kandydata Koalicji Obywatelskiej wcale nie została zamknięta. Wiele osób – w tym autor tego artykułu – uważa, że od nominacji Trzaskowskiego znacznie prawdopodobniejszy jest start Donalda Tuska.

Jednocześnie dla każdego uważnego obserwatora polityki jasne powinno być, że Tusk wystartuje tylko pod warunkiem bardzo wysokiego prawdopodobieństwa wygranej – a to nie jest gwarantowane, bo w znacznej mierze zależy od tego, kogo wystawi druga strona. Może się zaś przecież zdarzyć i tak, że jej kandydat będzie tak słaby, że do drugiej tury przejdzie nie on, ale ktoś trzeci. Niedawno wariantowy sondaż IBRiS pokazał Onet.pl. We wszystkich trzech wariantach kandydatem KO był Trzaskowski, ale sprawdzono trzech kandydatów PiS: Mateusza Morawieckiego, Mariusza Błaszczaka i Karola Nawrockiego. Jak się okazało, tylko w wariancie z Nawrockim na trzecie miejsce wskakuje kandydat Konfederacji – Sławomir Mentzen. Co prawda, różnica między nimi wynosiła wciąż dokładnie osiem punktów procentowych, a więc niemało.

TEN TRZECI

Zapomina się jednak, że prócz Trzaskowskiego i Tuska jest w KO jeszcze trzeci potencjalny kandydat: Radosław Sikorski. Wszystko wskazuje na to, że szef MSZ po cichu zaczął już prowadzić dyskretną kampanię. Kto wie, czy to nie jemu byłoby relatywnie najłatwiej przeciągnąć na swoją stronę w drugiej turze część elektoratu centroprawicy, elektoratu konserwatywnego, który nie byłby w stanie zmusić się do zagłosowania na kandydata PiS, ale nie byłby również gotów głosować na Donalda Tuska czy tym bardziej na wprost lewicowego Rafała Trzaskowskiego.

eprasa.pl 031a5817fa

Anegdota: rozmawiam z jednym z posłów Konfederacji i dzielę się swoimi spostrzeżeniami na temat ewentualnego startu Sikorskiego. Mój rozmówca wykrzykuje: „Tak, dokładnie w ten sam sposób myślałem, to mógłby być game changer!". I przyznaje, że choć przy braku kandydata jego partii w drugiej turze oraz w sytuacji startu z PiS któregoś z najczęściej wymienianych kandydatów skłaniałby się do oddania głosu nieważnego, to sytuacja mogłaby się zmienić, gdyby po przeciwnej stronie stanął Radosław Sikorski. Wówczas mój rozmówca poważnie zastanowiłby się nad oddaniem głosu na niego właśnie.

Problem Sikorskiego z jego niespożytymi ambicjami polegał zawsze na tym, że ich spełnienie nigdy nie zależało tylko od niego, a często się zdarzało, że był jedyną osobą, która wierzyła, iż może dostać upragnioną nominację – czy to na sekretarza generalnego NATO, czy na kandydata na prezydenta, podczas gdy inni pobłażliwie kiwali głowami, wiedząc doskonale, że to niemożliwe. Jednak starał się walczyć z podziwu godną determinacją, jak gdyby w ogóle nie przyjmując do wiadomości, że wszystko dawno jest już zdecydowane. Tak było, gdy w 2010 r. wystartował przeciwko Bronisławowi Komorowskiemu w prawyborach prezydenckich Platformy Obywatelskiej. To wówczas, podczas jednego z wieców, wykrzykiwał słynne słowa: „Jeszcze jedna bitwa, dorżniemy watahy, wygramy tę batalię!". Potem politycy PiS oskarżali go o mowę nienawiści i nawoływanie do przemocy, on zaś tłumaczył się, że była to tylko przenośnia.

Uczciwie mówiąc, trudno uznać, żeby Sikorski naprawdę nawoływał wówczas do dosłownego wyrzynania polityków Prawa i Sprawiedliwości. Jednak tamto zdarzenie doskonale ilustruje jedną z jego poważnych wad, potencjalnie niszczących u kandydata na prezydenta, a tym bardziej u głowy państwa, którą jest niewyparzony język.

Anegdota: Radosław Sikorski jako europoseł bryluje na przyjęciu w Brukseli. Rzecz dzieje się w ogrodzie, przyszłego i przeszłego szefa MSZ otacza wianuszek zainteresowanych i zachwyconych. Coraz bardziej rozochocony towarzyską okazją Sikorski zaczyna opowiadać dowcipy. Są to jednak dowcipy mocno niepoprawne politycznie. Pojawiają się w nich i Murzyni, i „pedały". Wianuszek wokół niego zaczyna topnieć, zwłaszcza że były w nim także osoby homoseksualne. Radosław Sikorski wydaje się tym kompletnie nie przejmować i na koniec peroruje już tylko dla jednego, polskiego rozmówcy, którym w dodatku jest osoba o mocno konserwatywnych poglądach.

UPOKORZENIA I OSTROŻNOŚĆ

W prawyborach w 2010 r. Radosław Sikorski, jak wiadomo, nominacji nie zdobył. Nic dziwnego, skoro Donald Tusk podjął nieoficjalną decyzję, że kandydatem będzie Bronisław Komorowski, a same prawybory uznał za idealną okazję do upokorzenia ambitnego kolegi partyjnego. Zwłaszcza że ten nigdy nie był przesadnie w ugrupowaniu lubiany. Radosław Sikorski zdobył jedynie 31,5 proc. głosów.

W roku 2019, gdy PO znów zorganizowała prezydenckie prawybory, Sikorski był już mądrzejszy: ogłosił, że nie będzie w nich startował. „Znacie mnie, państwo, gdy walczę, to na całego. Doszedłem do wniosku, że tym razem, w sytuacji totalnego upolitycznienia mediów publicznych przez partię rządzącą, rywalizacja w obozie demokratycznym nie służyłaby sprawie. Każda nasza polemika byłaby bezwzględnie wykorzystana" – wyjaśniał dziennikarzom. Prawybory się odbyły, przeciwko Małgorzacie Kidawie-Błońskiej wystartował Jacek Jaśkowiak i przegrał jeszcze wyraźniejszym stosunkiem głosów niż dziewięć lat wcześniej Radosław Sikorski. A kandydatem i tak ostatecznie, po podmianie, został – już bez prawyborów – Rafał Trzaskowski. Kto wie, jak skończyłby się prezydencki wyścig, gdyby KO zdecydowała się wówczas postawić jednak na Sikorskiego, co podobno rozważano.

Obecny szef MSZ ewidentnie nabrał ostrożności. W żadnym dotąd momencie nie wyraził otwarcie chęci kandydowania w wyborach tegorocznych. Pytany o to latem, oznajmił tylko, że „matka partia zdecyduje". Jeśli jednak przyjrzeć się jego aktywności i przysłuchać jego wypowiedziom, to można wychwycić pewną strategiczną linię. Przede wszystkim na tle wielu swoich partyjnych kolegów Radosław Sikorski jawi się teraz jako jeden z najbardziej umiarkowanych polityków Koalicji Obywatelskiej. Nie bierze udziału w retorycznych nagonkach na PiS. Nie rozwodzi się nad tym, ilu jeszcze trzeba jego posłów zapuszkować. Trzyma się swojej dziedziny, którą są sprawy zagraniczne i bezpieczeństwo. Wyraża się z szacunkiem o Andrzeju Dudzie.

Pomiędzy MSZ a Pałacem Prezydenckim wybuchł co prawda spór o odwoływanie i nominowanie ambasadorów, jeśli jednak porozmawiać z tymi odwoływanymi, to na ogół o szefie MSZ wyrażają się dość łagodnie, a dążenie do absurdalnego często wymieniania pełnoprawnych ambasadorów na chargées d'affaires (bez prezydenckiej nominacji szef misji ma tylko taki status) są skłonni przypisywać raczej naciskom Donalda Tuska niż inicjatywie samego ministra. Zapewne podobnie widzi to pan prezydent.

Radosław Sikorski znacząco kontrastuje z dwoma innymi potencjalnymi kandydatami KO. Rafał Trzaskowski spozycjonował się jednoznacznie jako polityk lewicy. Gdyby to on dostał nominację, ciągnęłoby się za nim nieszczęsne, skrajnie ideologiczne zarządzenie najbardziej znane z zakazu obecności symboli religijnych w siedzibach urzędu miasta, ale zawierające przecież także obszerny dział poświęcony poszanowaniu „tożsamości płciowej", a nawet nakaz, aby urzędnicy zwracali się do klientów zgodnie z tym, jaką ci ostatni przyjmą sobie w danym momencie identyfikację. Wziąwszy pod uwagę, że w drugiej turze wyborów prezydenckich trzeba sięgnąć maksymalnie szeroko, ten „dorobek" Trzaskowskiego może stanowić dla niego poważny problem. Co więcej, w sytuacji, gdy bezpieczeństwo zewnętrzne i wojna na Ukrainie są w Polsce niezmiennie jednym z najważniejszych problemów, Trzaskowski jako prezydent miasta – choćby i stolicy – nie ma tutaj za wiele do pokazania.

Z kolei Donald Tusk, jakkolwiek ma ogromny potencjał jako przywódca obozu władzy, ma też zarazem duży negatywny elektorat, wyraźnie większy niż Sikorski. We wrześniowym sondażu CBOS zaufania do polityków minister spraw zagranicznych odnotował co prawda spadek zaufania aż o pięć punktów procentowych miesiąc do miesiąca, ale osiągnął wciąż niezły poziom – 34 proc. Jeśli chodzi o netto – zaufanie

eprasa.pl 031a5817fa

minus nieufność – to był minimalnie na minusie. Lider zestawienia, marszałek Sejmu Szymon Hołownia, miał zaufanie na poziomie 47 proc. i netto był wyraźnie na plusie. Sikorski bardzo wyraźnie wyprzedzał jednak Mateusza Morawieckiego, do którego zaufanie deklarowało co prawda 33 proc., jednak nieufność – ponad 50 proc. Przede wszystkim zaś z Sikorskim przegrywał sam Donald Tusk pod względem zaufania netto. Odnotował 39 proc. na plusie, ale nieufność do niego sięgała blisko połowy badanych.

MOCNE OPINIE, WAŻNA POLITYKA

O ile Radosław Sikorski konsekwentnie buduje swój wizerunek jako poważnego polityka, który odwiedza kolejne ważne konferencje poświęcone światowemu ładowi i bezpieczeństwu, wizytuje ważne stolice oraz nie boi się wygłaszać niepopularnych opinii, o tyle Tusk jest kojarzony głównie ze zgryźliwymi złośliwościami pod adresem PiS, umieszczanymi w mediach społecznościowych, czy wysyłaniem „Cześka" do resortu, żeby zrobił porządek z alkotubkami. Owszem, to może się doskonale sprzedawać w elektoracie ośmiogwiazdkowym, ale w drugiej turze wyborów prezydenckich to nijak nie wystarczy.

Co więcej, Sikorski zaczął wykonywać gesty i wygłaszać wypowiedzi, które na tle standardowego zachowania ludzi z jego własnego obozu politycznego wyglądają jak wyjęte z innej rzeczywistości. Pod koniec września prezydent Andrzej Duda pojechał na urodziny byłego prezydenta Czech Miloša Zemana – był to wyjazd całkowicie prywatny. Standardowym komentarzem w obozie władzy był taki jak ten umieszczony na X przez europosła KO Krzysztofa Brejzę: „Swój najlepiej czuje się wśród swoich. Urodziny Zemana, naszpikowane ludźmi przychylnymi Putinowi, rzecznikami jego interesów, zgromadziły tych, którzy myślą podobnie, reprezentują podobne wartości, marzy im się podobny model państwa. Czy to specjalnie dziwne, że przy takim stole zasiadł również PAD?".

Tymczasem pytany o to szef MSZ powiedział: „Radziłbym inny dobór przyjaciół panu prezydentowi […]. Myślę, że pan prezydent już żałuje, to chyba nie buduje jego autorytetu. W Stanach Zjednoczonych pan prezydent dbał i zabiegał o interesy walczącej Ukrainy, a tu spotyka się z ludźmi, którzy mają inne zdanie". Podczas wizyty w studiu TVN24 powiedział zaś: „Myślę, że można było uniknąć kontrowersji. Nic wielkiego się nie stało […]. Dajmy już spokój". Ani słowa o Putinie, jedynie o „ludziach, którzy mają inne zdanie". Znamienna wstrzemięźliwość.

Sikorski konsekwentnie buduje wizerunek poważnego polityka, Tusk jest kojarzony głównie ze złośliwościami pod adresem PiS

Bardzo duże wrażenie zrobiło opisywane kilka tygodni temu przez Witolda Jurasza z Onet.pl starcie Radosława Sikorskiego podczas jego wizyty w Kijowie z przedstawicielami administracji pana prezydenta Zełenskiego i nim samym w kwestii poszukiwań oraz ekshumacji ofiar wołyńskiego ludobójstwa. Sikorski zapunktował wówczas nawet u wielu spośród tych, którzy mając poglądy konserwatywne, czuli się jednak od dawna rozczarowani podejściem PiS i Andrzeja Dudy do tej kwestii. Niektórzy sądzili początkowo, że było to celowe zagranie PR-owskie z jego strony i że to on sam był autorem przecieku z zamkniętego spotkania, okazało się jednak, że przebieg spotkania ujawniła strona ukraińska.

Gdyby szukać jeszcze w Koalicji Obywatelskiej czegoś na kształt skrzydła konserwatywnego, trzeba by do niego zaliczyć pana Sikorskiego. W praktyce na wiele się to nie przekłada, ale to, że szef MSZ nie jest posłem (jego mandat europosła wygasł wraz z powołaniem na urząd szefa MSZ, będąc zaś jeszcze w PE w październiku ubiegłego roku nie startował w wyborach do Sejmu), pozwala mu uniknąć współdecydowania o sprawach tak ideologicznie zapalnych jak liberalizacja ustawy aborcyjnej, nad czym głosowano w lipcu. To wtedy za niewzięcie udziału w głosowaniu posypały się gromy na zasiadającego w Sejmie Romana Giertycha.

Przeciwko Sikorskiemu może działać natomiast to, co zarazem dla niektórych będzie jego atutem: sytuacja osobista. Żona Sikorskiego, Anne Applebaum, jest dobrze posadowiona w amerykańskiej liberalnej elicie, a w razie wygranej Donalda Trumpa Sikorskiemu jako prezydentowi mogłoby być właśnie z powodu żony trudno nawiązać dobre stosunki z Białym Domem. Z drugiej jednak strony sam szef MSZ nawet tutaj wymyka się łatwej kwalifikacji, co potwierdzają chociażby jego wypowiedzi pod koniec wizyty w USA w lipcu. Sikorski nie tylko spotkał się wówczas z doradcą Donalda Trumpa do spraw zagranicznych, Robertem O'Brienem, lecz także otwarcie zaznaczył, że zgadza się z niektórymi stwierdzeniami republikańskiego kandydata na prezydenta. Na przykład o tym, że aby mieć wsparcie USA, Europa musi się bardziej postarać. Wisienką na torcie były następujące słowa Sikorskiego: „Jeśli jego [Trumpa] ludzie zastanawiają się, jak to zrobić, jak wpłynąć na Putina, by się ze swojego zbrodniczego błędu wycofał, to dobrze, a nie źle. Niektóre pomysły alternatywnej administracji zasługują na najwyższą uwagę".

Jest wreszcie jeszcze jedna cecha Radosława Sikorskiego, która może przekonać część osób niechętnych obecnej władzy, aby oddać głos na niego, a nie na kandydata PiS, jeśli będzie nim ktoś tak nieciekawy jak Mariusz Błaszczak czy nawet Mateusz Morawiecki. Jest to – powiedzą jedni – samodzielność, inni – nieprzewidywalność. Każdy, kto zna Sikorskiego i śledzi jego polityczną drogę, wie, że to człowiek, który w pewnych okolicznościach zadziała ostatecznie całkowicie po swojemu. Zwłaszcza gdyby znalazł się na stanowisku tak samodzielnym jak prezydenckie. Wie to również doskonale sam Donald Tusk – i dlatego nominacja Radosława Sikorskiego wydaje się niespecjalnie prawdopodobna. Ale nie niemożliwa.

Jeśli przyjąć – nie jest to założenie karkołomne – że dla wyniku wyścigu prezydenckiego duże znaczenie będą mieć wyborcy, którzy traktują obecną władzę jako im wrogą, ale zarazem odrzuca ich PiS w obecnej postaci i pod obecnym przywództwem, to wystawienie Radosława Sikorskiego przez KO mogłoby mocno namieszać w politycznych prognozach.

Chyba że ten tekst okaże się dla niego pocałunkiem śmierci.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

Kinga i Arkadiusz: telenowela koalicyjna

Rafał A. Ziemkiewicz

Wiceminister sprawiedliwości i jego żona posłanka stali się obiektem śledztwa dziennikarzy, w którym co rusz na jaw wychodzą wstydliwe fakty. Dlaczego wypływa to akurat teraz?

Ktokolwiek zainspirował media do przyjrzenia się dochodom wiceministra sprawiedliwości Arkadiusza Myrchy i jego żony, Kingi Gajewskiej (zastanowimy się nad tym za chwilę), wskazał im w istocie właściwie gotowy scenariusz na serial. Najpierw były – choć w chronologii ujawniania, w miarę budowania napięcia, pojawią się dopiero później – liczne wypowiedzi pani Gajewskiej z poprzedniej kadencji, w których chętnie i namiętnie oskarżała „pisowców" o „dojenie państwa".

Wart przypomnienia jest też jej występ z kampanii wyborczej, gdyż już wtedy pani Kinga, mimo pozorów osoby niezbyt bystrej (Co pani poseł ostatnio czytała? „Annę Kareninę" Bułhakowa), okazała się nad wyraz cwana. Pojawiła się na wiecu wyborczym przeciwników, by go aktywnie zagłuszać, co jest przestępstwem, interweniowała więc chroniąca wiec policja. Pani Gajewska odmówiła okazania dokumentów, przez co policjant musiał ją zabrać do radiowozu. Dopiero wtedy wyjęła legitymację poselską, by z radiowozu, w którym tak naprawdę spędziła zaledwie chwilę, wyjść jako męczennica. Informacja o tym, że PiS-owski reżim z pogwałceniem immunitetu aresztował posłankę opozycji, obiegła wtedy wszystkie wiodące światowe media.

Mąż pani Gajewskiej też dał się poznać opinii publicznej w sytuacji raczej ośmieszającej – kiedy pytany o imiona Trzech Króli nazwał ich „Kacper, Melchior i Belzebub". W istocie jednak Arkadiusz Myrcha – nawiasem mówiąc, też chętnie krytykujący PiS za „dojenie państwa" i kibicujący „oczyszczaniu" kraju z „pisowskiej szarańczy" – okazał się nadspodziewanie ogarnięty i szybko zrobiwszy doktorat z prawa, który jeszcze odegra w serialowej dramaturgii znaczącą rolę, po wyborczym zwycięstwie „obozu demokratycznego" załapał się jako jeden z ponad 100 koalicyjnych wiceministrów. Żeby wprowadzić do scenariusza element komiczny: w resorcie sprawiedliwości.

DWIE DOPŁATY DO MIESZKANIA

Akcja zaczęła się niepozornie: od informacji, że zarówno Kinga, jak i Arkadiusz biorą sejmową dopłatę do wynajmu mieszkania w Warszawie. Niby niepozorna sprawa, wielu posłów korzysta z takich dopłat – ale bohaterowie naszej fabuły mieszkają przecież razem, a o dopłaty wystąpili osobno, co znaczy, że biorą dwie dopłaty na jedno mieszkanie. Nie jest to złamaniem prawa, ale, delikatnie mówiąc, takie cwaniakowanie nie przysparza szacunku społecznego, który w zawodzie polityka ma jednak swoje znaczenie, więc pani Kinga poczuła się w obowiązku sprawę wyjaśnić. Nie okazała się tu jednak wystarczająco sprytna, gdyż, wykorzystując to, że mają z mężem troje dzieci, pożaliła się, iż i tak jeszcze ok. jednej trzeciej do kosztów wynajmu muszą dopłacać. 12 tys. zł miesięcznie, co szybko sprawdziły media – na warszawskim Powiślu, gdzie mieszkają Myrchowie, płaci się tyle za 100-metrowy apartament w bardzo wysokim standardzie.

Ale dlaczego – wątek kolejny – Myrchowie wynajmują, w dwóch trzecich za pieniądze podatnika, mieszkanie na Powiślu, skoro w oświadczeniu majątkowym wpisali wart 700 tys. zł dom w podwarszawskim Błoniu? Droga od tego domu do centrum Warszawy, zarówno samochodem, jak i transportem miejskim, to zaledwie nieco ponad pół godziny. Słabo przystaje to do wersji Kingi Gajewskiej, że muszą w tygodniu mieszkać bliżej Sejmu i ministerstwa oraz żłobka i przedszkoli.

Gdy wersja „z Błonia zbyt daleko, by dojeżdżać" została przez kolejne media podważona – już nie tylko te „pisowskie", bo na tym etapie już wszystkie, poza gorliwie prorządowymi, zaczęły się do państwa Myrchów zbiegać jak koty do waleriany – posłanka Gajewska podała inną przyczynę: dom pod miastem jest dopiero w budowie, „przeprowadzimy się tam, kiedy będzie gotowy". Jedna wizyta reportera TV Republika, którego nie udało się, niestety, nie dopuścić do miejsca (Błonie to nie konferencja prasowa rządu), wystarczyła, by pokazać całej Polsce, że dom jest jak najbardziej ukończony, okolica wokół niego uporządkowana, przez okna widać meble, a z komina idzie dym, co świadczy o włączonym ogrzewaniu. Zresztą z oświadczeń majątkowych Myrchów wynika, że wcale tego domu nie budowali, tylko kupili

eprasa.pl 031a5817fa

go w ubiegłym roku w stanie gotowym. Potwierdzają to zdjęcia na mapach Google, zrobione w tym samym czasie, na których dom jest już ukończony, podobnie jak dziś.

Motywy przeprowadzki na Powiśle wyjaśnia odręczne pismo, które minister Myrcha złożył w Kancelarii Sejmu. Wynika z niego, że warszawski meldunek był mu potrzebny, by dziecko przyjęto do warszawskiego publicznego żłobka. Nie chodzi więc bynajmniej o to, żeby żłobek był blisko, tylko żeby był za darmo – co znowu pozwala skrzętnej parze polityków PO zarobić parę dodatkowych tysiączków.

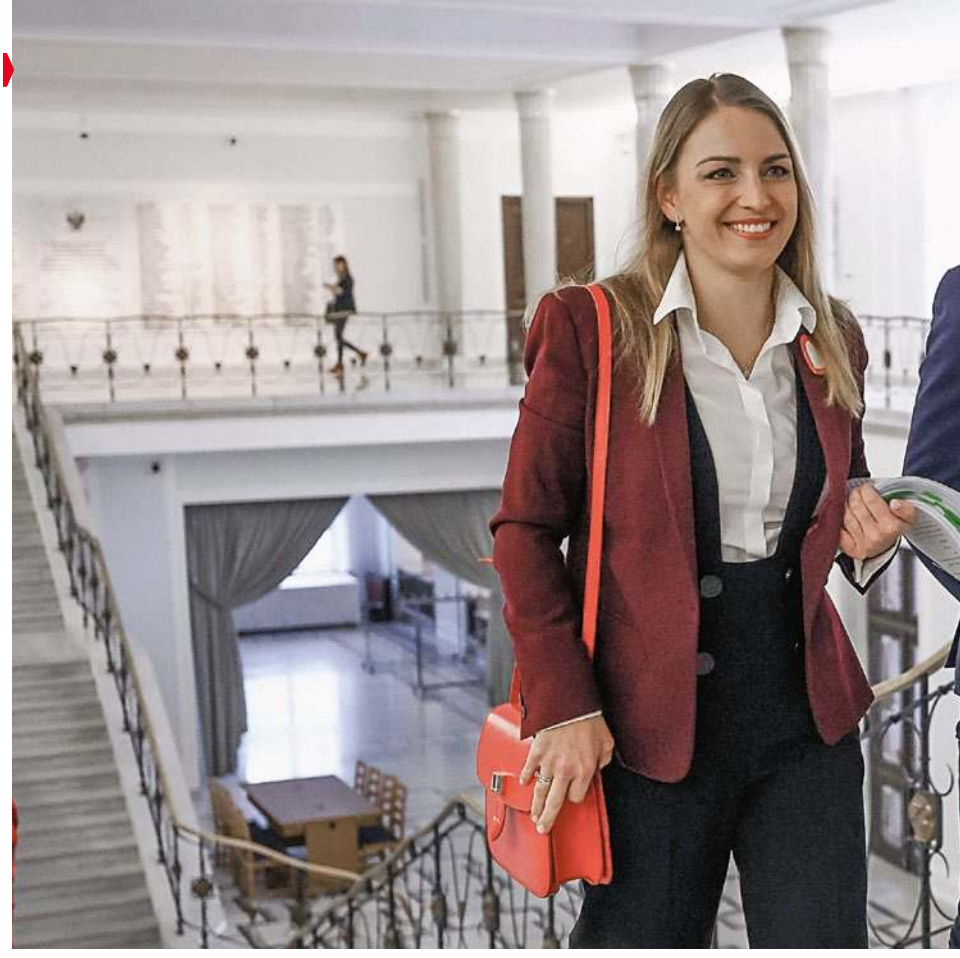

KILOMETRÓWKI I ZEGAREK NA BIURO POSELSKIE

Dzień po dniu, w kolejnych odcinkach serialu, wychodziły na jaw coraz to nowe przejawy wspomnianej skrzętności – a mówiąc wprost: pazerności i cwaniactwa. Mimo że para polityków przeprowadziła się z „budowanego" pod miastem domu do Warszawy, nadal ogromnie dużo jeździ samochodami – z pobranych kwot sejmowych kilometrówek wynika, że od lat każde z nich (osobno!) przejeżdża codziennie od 100 do 150 km, łącznie z weekendami. I to wyłącznie „w celach związanych z wykonywaniem mandatu", bo przecież za przejazdy prywatne kilometrówki, zgodnie z prawem, nie przysługują. Media dokopały się także do wydatków pary naszych bohaterów na biura poselskie. Nie są to wielkie kwoty, ale konkretne wydatki, bardziej niż określone przepisami wydatki na działalność biura, przypominają urządzanie prywatnego mieszkania: robot sprzątający, odkurzacz, cztery ekspresy do kawy – a także np. zegarek Apple Watch.

Wciąż trudno tu mówić o złamaniu prawa – system finansowania parlamentarzystów jest nader rozciągliwy, „kilometrówki" np. można brać w pełni legalnie, nawet nie mając prawa jazdy ani samochodu, i nie trzeba dokumentować swoich przejazdów, przez co traktowane są przez większość posłów tak, jak większość społeczeństwa traktuje np. zwolnienia lekarskie: skoro przysługuje tyle a tyle dni w roku, to trzeba wykorzystać, czy się faktycznie było chorym czy nie. Całe otoczenie finansowe posła RP zachęca do cwaniactwa i kombinowania, począwszy od tego, że nie dostaje on pensji, ale, formalnie biorąc, „dietę", bo dieta teoretycznie nie jest wynagrodzeniem i nie podlega opodatkowaniu. Tak jest od lat i mimo że od czasu do czasu tabloidy wytykają temu czy innemu politykowi, że przycwaniaczył na taką czy inną kwotę, to nie widać za grosz chęci, by cokolwiek w tym zmieniać.

Ale w kolejnym odcinku serialu dotknęliśmy już ewidentnego złamania prawa – media „dotarły" (co kryje się pod tym pojęciem, większość dziennikarzy wie – niekoniecznie samodzielne śledztwo dziennikarskie) do doktoratu aktualnego wiceministra sprawiedliwości, który obronił on dwa lata temu na Uniwersytecie SWPS. Promotorem doktoranta był prof. Marek Chmaj, znany z bliskich związków z PO (m.in. poprzez fundację Państwo Prawa, na ujawnionej taśmie z podsłuchu jego rozmowy z prezesem NIK Marianem Banasiem sam zresztą przedstawia się jako „emisariusz" Tuska) i z wtórowania jej poczynaniom w TVN24 i innych prorządowych mediach jako „niezależny ekspert". Recenzowali Radosław Grabowski, Sławomir Patyra i Ryszard Balicki. Drugi z wymienionych mianowany został na początku tego roku przez rząd PO członkiem rady nadzorczej PGE, trzeci z nominacji partii rządzącej zasiada w PKW – jeśli dodać, że wydziałem, na którym doktoryzował się Myrcha, kierował w tym czasie jego obecny szef w ministerstwie, Adam Bodnar, to trudno nie rzec: sami swoi!

Ale w tym oczywiście nie ma nic bezprawnego. Problem w tym, że zdobycie stopnia doktora wymaga zgodnie z prawem przedstawienia oryginalnego rozwiązania problemu badawczego, a „praca doktorska" mgr. Arkadiusza Myrchy jest zwykłą chałturą, 140-stronicowym streszczeniem w ślad za podręcznikami, procesu stanowienia w Polsce prawa. Nawet prof. Balicki na wstępie swej recenzji zauważa, że „autor recenzowanej rozprawy doktorskiej wprost nie sformułował hipotezy badawczej, chociaż to ona winna determinować kierunek jej badań", jednak z dezynwolturą przechodzi nad tym do porządku dziennego, doceniając „osobiste doświadczenie autora jako posła RP" (w kontekście analizy poselskich wydatków brzmi to szczególnie zabawnie).

Sam tytuł pracy doktorskiej przyprawia znających się na rzeczy o zdu-

eprasa.pl 031a5817fa

Wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha i jego żona – posłanka Kinga Gajewska – mają poważne kłopoty wizerunkowe FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

mienie: „Postępowanie ustawodawcze". I tyle. A w środku: opisanie postępowania ustawodawczego. Coś jakby za doktorat z filologii polskiej uznać pracę „Fraszki Jana Kochanowskiego", w której autor wylicza, które fraszki, kiedy i o czym napisał staropolski poeta, niczego do powszechnie znanej wiedzy nie dodając.

Mówiąc poważnie i krótko: taka „praca doktorska" jest po prostu kompromitacją – dla świeżo upieczonego doktora i dla jego promotora, recenzentów oraz dziekana wydziału, i wreszcie dla samej Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, która śmiało wchodzi tu w konkurencję z osławionym Collegium Humanum. Smaczku dodaje sprawie to, że na tej samej uczelni odmówiono podobno doktoratu Przemysławowi Wiplerowi – trudno sądzić, by jego praca była mniej wartościowa niż Myrchy. Widać po prostu, że dobrem rzadkim, dystrybuowanym przez „samych swoich", są już nie tylko intratne stanowiska, pieniądze i wpływy, lecz także tytuły szlacheckie – bo w tej roli przecież używane są w dyskursie publicznym „dr", „prof." i „hab". Ma to swoje konsekwencje dla praktyki obecnej władzy, co widać już w Sieci Badawczej Łukasiewicz, centrum IDEAS NCBR czy centrum obliczeń kwantowych NASK.

W CZYIM INTERESIE?

Terminy składania numeru każą mi na tym skończyć streszczanie pasjonującej telenoweli, trudno jednak oprzeć się pokusie wróżenia, co będzie w następnych odcinkach. Dobry serial wymaga jakiegoś zwrotu akcji i być może tym zwrotem będzie przyjście państwu Myrchom w sukurs przez partyjnych kolegów. Najpewniej po lini: „Kto za tym stoi?". Bo, znając naszą klasę polityczną, nikt tam na pewno nie wierzy, że cały ten serial powstał spontanicznie.

„Is fecit, qui prodest" – powiada rzymska prawnicza paremia. Kto odniósł korzyść z ujawnienia cwaniactwa Myrchów? Nie tylko opozycja, której serialowa para pozwala co najmniej zrównoważyć oskarżenia kierowane przeciwko Ryszardowi Czarneckiemu czy Łukaszowi Mejzie. Telenowela o Myrchach przykryła też ze szczętem sprawę domu, który za 13 mln zł miał sprzedać wiceminister Władysław T. Bartoszewski, choć w ogóle nie był jego właścicielem. Tamta sprawa pożyła krótko, bo w przeciwieństwie do omawianej tu opowieści nie było w niej „follow-upu", który staje się dziś niezbędnym elementem PR – obojętnie „czarnego" czy pozytywnego. Jednak warto pamiętać, że wyskoczyła dość nagle po tym, jak krnąbrność PSL w komisji sejmowej uniemożliwiła mianowanie wyznaczonego przez PO ambasadora. Pat w komisji trwa zresztą nadal, a ubiegłotygodniowe odwołanie w ostatniej chwili przez Szymona Hołownię bloku głosowań, bo „jest za mało posłów na sali" (tzn. za mało „naszych" posłów, czytaj: wynik głosowań staje się niepewny), zdaje się wskazywać, że koalicjantom coraz do siebie dalej. Może to przypadek, a może nie, że od telenoweli o wiceministrze sprawiedliwości i jego zaradnej żonie z PO media znane z oddania tej partii spróbowały odwrócić uwagę, ogłaszając – po antyalkoholowym – wzmożenie antytytoniowe i ujawniając, że Władysław Kosiniak-Kamysz „potajemnie" spotykał się z prezesem koncernu Phillip Morris, prawdopodobnie po to, by wspólne konspirować nad sabotowaniem antytytoniowej polityki Unii Europejskiej.

Tak droga sercu Donalda Tuska sondażowa przewaga PO nad PiS topnieje – w ostatnich badaniach nie zostało z niej więcej niż 0,5–1 proc. A jedynym zasobem pozwalającym myśleć o jej podtrzymaniu jest dla PO elektorat Trzeciej Drogi, bo lewicę obrała już ze zwolenników „do kości". Tymczasem, jak zapowiedział Rafał Trzaskowski, w grudniu zapaść ma w końcu decyzja co do kandydatury prezydenckiej. Przede wszystkim decyzja, czy będzie jeden kandydat „obozu demokratycznego", do czego zdaje się dążyć Tusk, by samemu podjąć się tej odpowiedzialnej misji. Dąży czy nie – tu tego nie rozstrzygniemy, wystarczy, że wielu koalicjantów, zwłaszcza ci z nękanego ostatnio „przeciekami" PSL, spodziewa się, że tak i że z tej przyczyny ludzie Tuska chcą w oczach wyborców utopić „przystawki". A przecież w PSL też znają różne sprawki polityków PO, do których mogą „dotrzeć" dziennikarze, by uczynić je fabułą kolejnych sezonów opowieści o Myrchach lub może nowego, oryginalnego serialu…

Szkoda tylko, że narzucający się tytuł „Drobne cwaniaczki" został już zajęty przez Woody'ego Allena.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

RYSZARD GROMADZKI: „Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy pokoleniem, które stanie z bronią w ręku w obronie naszego państwa [...]" – po tych słowach, wypowiedzianych na inauguracji roku akademickiego w Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu, na szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, gen. Wiesława Kukułę, spadła fala krytyki. Czy słusznie? Przecież politycy wręcz prześcigają się w straszeniu wojną z Rosją i nikt już na to nie reaguje.

GEN. LEON KOMORNICKI: Kluczowe pytanie brzmi: Co zrobić, żeby Rosja nie odważyła się zaatakować? Odpowiedź jest jasna. Trzeba zbudować takie zdolności, dysponować takimi atrybutami, aby do tego nigdy nie doszło. Tymczasem szef sztabu mówi, że ma być wojna. Co oznacza, że akceptuje to, iż mamy być na pierwszej linii, czyli być mięsem armatnim w wojnie z Rosją. Szef sztabu generalnego powinien mieć świadomość, do kogo kieruje te słowa. On nie wypowiedział ich przecież na jakimś zamkniętym spotkaniu z generalicją czy politykami. Generał Kukuła przemawiał do bardzo młodych ludzi, pełnych nadziei i wiary, że te ogromne pieniądze na zakupy uzbrojenia, które wydaje polski podatnik – a więc ich ojcowie i matki – obecność w NATO, sojusz ze Stanami Zjednoczonymi, refleksja, która wynika z wojny na Ukrainie – iż to wszystko daje mocne podstawy do tego, że Polska nie będzie w wojnie oraz że oni, swoją obecnością w szeregach polskiej armii, jako żołnierze przyczynią się do tego, że Rosja nie waży się nas zaatakować.

Szef Sztabu Generalnego powinien dokładnie to zdefiniować i powiedzieć im, skoro tam wystąpił: „Panowie! Rosja się nie odważy, bo razem z wami i naszymi sojusznikami zbudujemy taki potencjał, że jej się to nie opłaci". Taki powinien być przekaz gen. Kukuły. Mamy te trzy czy pięć lat, żeby zabrać się do roboty. Ale co jeszcze powiedział we Wrocławiu szef sztabu generalnego? Mówił, że w nas są „święte krowy", co nie pozwala nam na dorównanie armiom zachodnim. Mam skrajnie różne zdanie w tej sprawie. Uważam żołnierzy Wojska Polskiego za najlepszych na świecie. Szef sztabu generalnego jako dowódca nie będzie miał innych do dyspozycji, tylko naszych polskich, i ma robić wszystko – to jego za...any obowiązek, żeby ci żołnierze byli jeszcze

Generał dywizji Leon Komornicki
FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

eprasa.pl 031a5817fa

Z gen. Leonem Komornickim, generałem dywizji w stanie spoczynku, wiceprzewodniczącym Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

To nie czas na pobrzękiwanie szabelką

lepsi. Tak może mówić na zbiórce szef kompanii. Ale gen. Kukuła jest szefem Sztabu Generalnego i nie ma prawa deprecjonować swoich żołnierzy.

Generał Kukuła powinien podać się do dymisji?

Nie jestem od tego, żeby rekomendować takie decyzje. Szef Sztabu Generalnego powinien być przywołany do porządku. Po pierwsze, on nie może mówić o tak poważnych sprawach z wysokiej trybuny, publicznie, że to pokolenie pójdzie na wojnę, bo to oznacza, iż to będzie przegrane pokolenie. To oni mają ponieść konsekwencje zaniechań i zaniedbań, które miały miejsce w ubiegłych latach? No chyba że gen. Kukuła dostał zgodę ministra obrony na swoje wystąpienie.

Minister Kosiniak-Kamysz tłumaczył generała. Mówił, że jego słowa zostały wyrwane z kontekstu, a intencją jego wystąpienia było wezwanie do budowy silnej armii, która ma skutecznie obronić ojczyznę w wypadku obcej agresji.

Każdy żołnierz, wstępując do armii, ma być gotowy do obrony ojczyzny. To „oczywista oczywistość". Ale jest diametralna różnica między byciem gotowym a gotowością do pójścia na wojnę.

Generał Kukuła w stanowisku przekazanym Polskiej Agencji Prasowej wyjaśniał, że zasadniczym przesłaniem jego wystąpienia we Wrocławiu „była mobilizacja do wysiłku oficerów i kandydatów na oficerów [...] i komunikowanie znaczenia kultury zwyciężania". Być może to potrzebne w czasach, kiedy wielu młodych Polaków nie wstydzi się przyznać, że zamiast bronić ojczyzny w czasie wojny wybrałoby ucieczkę tam, gdzie jest bezpiecznie.

Myślę, że to, co powiedział gen. Kukuła tym młodym ludziom we Wrocławiu, wpisuje się raczej w rosyjską strategię zastraszania. Pokazał, że wie więcej, niż ludzie powszechnie wiedzą. Mam informacje, że szef sztabu mocno wystraszył swoich słuchaczy, którzy mogli pomyśleć, iż już wkrótce prosto ze szkoły oficerskiej pójdą na wojnę. Sądzi pan, że po tym wystąpieniu w społeczeństwie, które jest obronnie i psychologicznie niewyedukowane – a młodzi ludzie szczególnie – nastąpi mobilizacja? Wręcz odwrotnie. Będzie demobilizacja. Każdy będzie szukał dla siebie bezpiecznego miejsca, wiedząc, że nie jesteśmy przygotowani na wojnę. Wiedząc także, o czym szef Sztabu Generalnego mówił w dalszej części swojego wystąpienia, że musimy zbudować powszechny system obrony.

Czyli przywrócić obowiązkowy pobór?

Przypomnę, że jeszcze pół roku temu gen. Kukuła mówił publicznie, że nie, że sobie poradzimy. Teraz mówi, że jednak sobie nie poradzimy. A więc brak konsekwencji. Co do powszechności systemu obrony: powinniśmy to robić od dawien dawna. Strategia bezpieczeństwa narodowego z 2020 r. zdefiniowała to poprawnie. Tam jest mowa o powszechności systemu obrony. I co zrobiono przez te cztery lata? Myśli pan, że teraz zdążymy to zrobić przez dwa czy trzy lata? Od 2020 r. nie zrobiono w tej sprawie nic, kibicowano wojnie na Ukrainie – i nic nie robiono. Zakupy uzbrojenia to jedna dziesiąta czy jedna piętnasta tego, co trzeba jeszcze zrobić. To początek drogi. Technika, zdolności, wyszkolenie, zgranie itp., itd. A gdzie są pozostałe państwa NATO? Sami mamy iść na wojnę? Gdzie są pozostałe zdolności? Bardzo wymowny artykuł dotyczący zdolności bojowych NATO ukazał się niedawno w niemieckim dzienniku „Die Welt", mówił o tym także ostatnio prof. Andrew Michta w wywiadzie dla Radia Wnet. To jest rozpacz. Europa nie ma armii. Nie ma zdolności.

A więc opowieści o europejskiej armii to tylko bajdurzenie, jeśli zestawić to ze stanem faktycznym...

To temat zastępczy. Najpierw trzeba zestawić zdolności NATO. A zdolności NATO to są armie wchodzące w skład sojuszu. Gdzie one są? Gdzie są armie francuska czy niemiecka? Oni będą bardzo chętnie nas wypychać na wojnę. Pan minister obrony nie ma racji, broniąc gen. Kukuły. Żołnierz, przychodząc do wojska, ma być gotowy do najwyższych poświęceń, ale priorytetem jest, żeby agresor nie zaatakował naszego kraju. Racją stanu są cele polityczne, a te nie są tożsame z celami militarnymi. A naszym interesem narodowym jest zagwarantowanie pokojowego rozwoju i przetrwania polskiego narodu. To rzecz święta, absolutny fundament, nasza racja stanu.

Żadna wojna nie będzie wypełnieniem głównego celu politycznego, zaprzeczy polskiej racji stanu. Nie zgadzam się z narracją opartą na wojowniczości i pobrzękiwaniu szabelką, kiedy jest jeszcze bardzo daleka droga, żeby tą

eprasa.pl 031a5817fa

szabelką móc pobrzękiwać. Czeka nas pilna aktualizacja strategii bezpieczeństwa narodowego i zmiany doktryny obronnej, która stawia sobie za cel przeniesienie obrony Rzeczypospolitej czy wschodniej flanki NATO na terytorium agresora – w takim wymiarze, żeby agresor nie ważył się zaatakować. Będąc oczywiście przygotowanym do realizacji najgorszego scenariusza. Ale to powinna być ostateczność, na którą przygotowane powinny być nasze siły zbrojne.

Zmiana doktryny obronnej powinna mieć absolutny prymat. Polska powinna mieć doktrynę odstraszania, czyli zdolność reakcji odwetowej w postaci zmasowanego ataku powietrzno-rakietowego. Tego próbuje dowieść Ukraina. Inaczej Rosji się nie pokona. Takich zdolności w postaci zgody na wykonywanie uderzeń na jej terytorium bez żadnych ograniczeń domagają się europejscy generałowie. Tyle że Ukraina sama nie będzie tego w stanie zrealizować.

Zakładając, że Ukraina uzyska od Zachodu zgodę na przeprowadzenie takich zmasowanych uderzeń powietrzno-rakietowych na terytorium Rosji, jest jeszcze w stanie zmienić przebieg tej wojny?

W mojej ocenie, analizując dwa lata wojny, która rozgrywa się na Ukrainie, przy dalszym braku zgody na wykonywanie uderzeń systemami dalekiego zasięgu na terytorium Rosji oczywiście Ukraina nie jest w stanie zrealizować swoich celów politycznych w tej wojnie.

Działania, które prowadzi ukraińska armia, których skutkiem jest coraz większe wyniszczenie tej armii ze strony Rosji, nie są w stanie zapewnić Ukrainie zwycięstwa w tej wojnie. Czyli doprowadzić do wyzwolenia ziem okupowanych, Krymu i zmusić Rosji do kapitulacji. Wyczerpać rosyjskie możliwości i zasoby do tego stopnia, żeby Rosja chciała usiąść do stołu i przyjąć warunki polityczne zakończenia tej wojny postawione przez Ukrainę czy Zachód. Tym samym naszą rolą jest przekonać Zachód – a czas odgrywa tutaj ogromną rolę – do takiej strategii, której domaga się Ukraina, i wyposażać ukraińską armię w odpowiedniej ilości w systemy, które pozwoliłyby jej realizować bez żadnych ograniczeń działania na terytorium Rosji. Pozwoliłoby to na przeprowadzanie uderzeń o charakterze zmasowanym, a nie tylko punktowym.

Kibicowano Ukrainie, ale nic nie robiono w sprawie powszechności systemu obrony w Polsce

Czy zastosowanie postulowanej przez pana strategii nie doprowadziłoby do eskalacji tej wojny o trudnych do przewidzenia skutkach?

To zagrożenie istnieje. Z tego powodu Zachód nie chce przyjąć na siebie ryzyka. Ale to pokazuje, że zanim nastąpi wojna, zanim Rosja zaatakuje, powinna być uprzedzona o takich zdolnościach. Te zdolności powinny zostać zademonstrowane, żeby Rosja miała świadomość, że zostanie to wykonane, kiedy rozpocznie agresję przeciwko NATO. Zachód ma problem, żeby podjąć to ryzyko, zwłaszcza w kontekście geopolitycznym i roli, którą w tej wojnie odgrywają Chiny. W mojej ocenie Chiny zarządzają wojną, którą Rosja prowadzi przeciw Ukrainie.

W jaki sposób przejawia się ta sprawcza rola Chin?

To przywódca Chin Xi Jinping dał Władimirowi Putinowi „zielone światło" do rozpoczęcia tej wojny. Chiny dostarczają rosyjskiej armii technologii, to potwierdzony fakt. Chiny cały czas zgrywają swoje zdolności z armią rosyjską. Pekin jest zainteresowany tym, żeby Rosja tej wojny nie przegrała, ale wyszła z niej osłabiona, co umożliwi wywieranie na nią większego wpływu i łatwiejszy dostęp do tego, czego Chiny nie mają, czyli potężnej przestrzeni i zasobów niezbędnych do konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi.

Chiny tymczasem zapaliły czerwone światło co do użycia broni jądrowej. Moim zdaniem to główny element hamulcowy, który sprawił, że Rosja do tej pory nie użyła tej broni, choć taki zamiar był. Co jakiś czas wybrzmiewa w retoryce Kremla jako straszak. To nigdy nie jest do końca pewne, bo Rosja jest nieobliczalna, ale na razie zarządzają tym Chiny.

Trzeba też szerzej spojrzeć na konflikt rozgrywający się na Bliskim Wschodzie. Aktywne są tam Chiny i Rosja. Jest Iran, który stanowi swego rodzaju forpocztę obydwu tych państw, realizując ich polityczne cele. Rozlewająca się wojna na Bliskim Wschodzie odciąga uwagę Stanów Zjednoczonych od Ukrainy, osłabia uwagę Zachodu. To jest oczywiście w interesie Rosji, a także Chin, które postawiły sobie za cele osłabienie pozycji gospodarczej USA w regionie bliskowschodnim. Przypomnę tylko o bardzo zaawansowanych negocjacjach między Chinami a Arabią Saudyjską, których celem było zastąpienie dolara juanem w rozliczeniach handlu surowcami strategicznymi.

Kandydat republikanów na prezydenta USA, Donald Trump, wiele razy zapowiadał, że jeśli wygra wybory, to doprowadzi do zakończenia wojny na Ukrainie. Czy Trump prezydent dotrzyma tego, co obiecał Trump pretendent?

Myślę, że Trump i jego otoczenie mają pełną świadomość, ile ta wojna będzie jeszcze kosztować Stany Zjednoczone i jak długo jeszcze trzeba będzie ją prowadzić. Ameryka wydaje na wojnę na Ukrainie ogromne pieniądze. Szacuje się, że na wojnę w Afganistanie amerykański podatnik wydawał 300 mln dol. dziennie; wojna na Ukrainie kosztuje go już 1 mld dol. dziennie. W wypadku Afganistanu efekty były żadne, USA nie udało się zrealizować celów politycznych.

Ponadto Trump na pewno wie, że Putin nie odda ani Krymu, ani obwodów donieckiego i ługańskiego. Ta świadomość dojrzewa też wśród samych Ukraińców. A więc prawdopodobnie możliwy jest jakiś zgniły kompromis, w którym każda ze stron będzie niezadowolona. Problem nie leży w tym, jak zakończyć wojnę. Trzeba postawić kluczowe pytanie: Jak wygrać pokój dla Ukrainy? Powinniśmy w naszym interesie stawiać to pytanie. Czy Rosja zadowoli się tym, że będzie miała w posiadaniu Krym i cały obszar, który uważa za swoją integralną część? Moim zdaniem Rosja się tym nie zadowoli i będzie nadal dążyć do tego, żeby Ukraina była państwem zdemilitaryzowanym, poza NATO i Unią Europejską. Wynegocjowanie innego rozwiązania będzie w mojej ocenie niezwykle trudne i Ukraina może podzielić los Syrii – czyli wojna będzie miała charakter niezakończony i wyniszczający, wypędzając miliony Ukraińców z ojczyzny ze wszystkimi tego konsekwencjami.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

Poletka Pana P.

Radosław Wojtas

W karierze politycznej i biznesowej wiele rzeczy uchodziło mu na sucho. Teraz Janusz Palikot ma problemy poważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Długi, tymczasowy areszt i zarzuty grożące długą odsiadką

Zatrzymanie przez CBA i przedstawienie ośmiu zarzutów w oddziale Prokuratury Krajowej we Wrocławiu. Siedem z nich dotyczy oszustwa, jedno – przywłaszczania mienia. Zagrożone są karą do 20 lat pozbawienia wolności. Wniosek o tymczasowy areszt. Tak wyglądał 3 października Janusza Palikota. Zaiste – był to czarny czwartek dla eksposła i jego biznesów. Zatrzymano również dwóch współpracowników Palikota – Przemysława B. (cztery zarzuty, w tym trzy dotyczące oszustwa i jeden dotyczący przywłaszczenia) oraz Zbigniewa B. (zarzut oszustwa). Wobec nich zastosowano środki o charakterze wolnościowym. Palikota aresztowano warunkowo na dwa miesiące.

„Zarzuty oszustwa przedstawione podejrzanym dotyczą doprowadzania ponad 5 tys. pokrzywdzonych do niekorzystnego rozporządzenia mieniem w związku z emisją akcji serii B przez spółki z Grupy Kapitałowej należącej do podejrzanych oraz organizowanymi, promowanymi i nadzorowanymi przez podejrzanych kampaniami pożyczkowymi" – poinformowała prok. Katarzyna Calów-Jaszewska z Działu Prasowego Prokuratury Krajowej.

Prokuratura zarzuca, że w dokumentach ofertowych dotyczących emisji akcji i kampanii pożyczkowych przedstawiono nieprawdziwe, wprowadzające w błąd informacje co do sposobu wykorzystania pieniędzy wpłaconych przez inwestorów oraz co do rzeczywistej kondycji finansowej spółek. Środki od inwestorów zamiast na cele wskazane w dokumentach emisyjnych miały być przeznaczane na pokrywanie wcześniejszych zobowiązań spółek z Grupy Kapitałowej. Łączną kwotę szkody oszacowano na 70 mln zł.

Janusz Palikot usłyszał osiem zarzutów. Grozi mu do 20 lat pozbawienia wolności

Z kolei „zarzut przywłaszczenia dotyczy mienia w postaci napojów alkoholowych o łącznej wartości ponad 5 mln zł. Podejrzani w związku z umową o współpracy zawartą z jedną ze spółek przechowywali w swoich magazynach napoje alkoholowe, po rozwiązaniu umowy nie zwrócili towaru i sprzedali go podmiotom zewnętrznym" – informuje prok. Katarzyna Calów-Jaszewska.

Te zarzuty to pokłosie ostatnich lat działalności biznesowej Janusza Palikota w branży alkoholowej, która przed laty przyniosła mu fortunę, a ostatnio wpędziła w długi i poważne kłopoty. Mecenas Janusza Palikota przekazał, że jego klient nie przyznaje się do winy.

WINA PALIKOTA

Janusz Palikot urodził się 26 października 1964 r. w Biłgoraju. Jego matka, Czesława, była więźniarką obozu koncentracyjnego na Majdanku. Po wojnie pracowała w zakładach metalowych na stanowisku zastępcy dyrektora, należała do PZPR. Zmarła w 2013 r. Ojciec przyszłego posła PO – Marian – również należał do PZPR, ale wystąpił z partii w 1982 r., po tym, jak jego syn był represjonowany w związku z działalnością opozycyjną. Zmarł w roku 1992.

Janusz Palikot był uczniem I Liceum Ogólnokształcącego w Biłgoraju, a później L Liceum Ogólnokształcącego im. Ruy Barbosy w Warszawie. Studiował na Wydziale Filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, ukończył Uniwersytet Warszawski, na którym obronił pracę magisterską dotyczącą krytyki czystego rozumu Immanuela Kanta. Jeszcze w trakcie studiów zajmował się handlem, ale do 1989 r. myślał raczej o innej karierze. W latach 1987–1989 był pracownikiem naukowym Instytutu Filozofii Polskiej Akademii Nauk, zaczął pisać doktorat.

Po przemianach ustrojowych zajął się biznesem. Zaczynał od produkcji palet, które eksportował do Europy Zachodniej, ale szybko wszedł w branżę alkoholową, w której odniósł sukces. W 1990 r. założył firmę Ambra produkującą wina musujące. Przez 11 lat pełnił w niej funkcję prezesa zarządu. Po sprzedaży swoich udziałów założył spółkę Jabłonna. Poprzez nią kupił 80 proc. akcji państwowego Polmosu Lublin, płacąc za nie 16 mln zł.

W branży alkoholowej szło mu świetnie, w medialnej – z którą flirtował przez chwilę – już nieszczególnie. Był większościowym udziałowcem spółki wydającej konserwatywny tygodnik „Ozon". Nie był to długi flirt, tytuł ukazywał się od

eprasa.pl 031a5817fa

kwietnia 2005 do końca lipca 2006 r. Od samego początku nie sprzedawał się w zakładanym nakładzie, mniejsze od planowanych były również wpływy z reklam. Na tym biznesie miał stracić 20 mln zł. Po latach wyznawał, że żałuje wydawania „Ozonu".

RUCH PALIKOTA

Kiedy upadał „Ozon" i kiedy w 2006 r. Polmos debiutował na giełdzie, Palikot był już na poważnie w polityce. W 2005 r. wstąpił do Platformy Obywatelskiej i jeszcze w tym samym roku został posłem. Po latach w jednym z wywiadów mówił, że miał wtedy na koncie 150 mln zł i że nigdy później nie był już tak bogaty. Polska polityka była zupełnie inna niż dziś. Dwie partie, które później podzieliły się sceną polityczną, deklarowały chęć stworzenia koalicji po wyborach. Dopiero pod koniec kampanii Donald Tusk na partyjnej konwencji zaatakował PiS, co wówczas zdumiało Jarosława Kaczyńskiego.
– Słuchając takich słów, mam wrażenie, że zatraciliśmy pewne poczucie wspólnoty kulturowej, która nas łączyła z Platformą – mówił lider PiS. Później padły pamiętne słowa o dziadku Tuska w Wehrmachcie, wypowiadający je Jacek Kurski został – na chwilę, ale jednak – wykluczony z partii. Takie to były standardy.

Zaczęły szybko kruszeć, także za sprawą obecności w polityce Janusza Palikota. Poseł z Biłgoraja atakował bez pardonu, szokował, potrafił zaistnieć w mediach tradycyjnych i internetowych. Piął się po szczeblach partyjnej hierarchii. Był wiceprzewodniczącym Platformy, kierował Komisją Nadzwyczajną „Przyjazne Państwo" do spraw Związanych z Ograniczaniem Biurokracji. Był jedną z twarzy kampanii PO do przyspieszonych wyborów w 2007 r. W objazdach po Polsce występował wtedy ramię w ramię z Donaldem Tuskiem. To wówczas powstało zdjęcie, na którym lider PO i Palikot kosztują nalewki.

Mówiono, że jest użytecznym narzędziem Donalda Tuska, wykorzystywanym wtedy, gdy trzeba przywalić bez pardonu. Posuwał się w tym dalej niż ktokolwiek przed nim. Szczególnie brutalnie atakował Lecha Kaczyńskiego w trakcie jego prezydentury. „Czy ucieczki do Juraty i czerwone wino to nie środki terapeutyczne, stosowane przezeń w reakcji na problemy w relacjach rodzinnych z bratem i matką? Czy w takiej sytuacji, w takim kontekście, prezydent nie traktuje prowadzonej przez siebie polityki jako formy reagowania na osobiste urazy?" – prowokował na swoim blogu „Poletko Pana P.".

Janusz Palikot został zatrzymany 3 października FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI/FORUM

W sprawie domniemanych problemów z alkoholem głowy państwa zorganizował konferencję prasową. Było to po tym, gdy media podjęły temat zakupu przez Kancelarię Prezydenta małych buteleczek z alkoholem na potrzeby cateringu samolotowego. – Albo pan prezydent Kaczyński, zwierzchnik sił zbrojnych, zrezygnuje z pełnionego urzędu i rozpocznie odwyk, leczenie z tej bardzo trudnej choroby, jaką jest alkoholizm, albo przedstawi w ciągu kilku najbliższych dni wiarygodne świadectwo, że nie jest alkoholikiem – atakował polityk PO. Na konferencję przyszedł z koszykiem tzw. małpek. Jedną z nich wypił.

Zresztą gadżety to coś, co często wykorzystywał w medialnych show. Najbardziej zapamiętane jest wystąpienie Palikota z pistoletem i wibratorem. Wymachiwał nimi przed kamerami podczas konferencji, na której mówił o gwałcie dokonanym na kobiecie przez policjanta na izbie zatrzymań. Widzów TVN24 zszokował, gdy do studia przyszedł ze świńskim łbem na tacy. Mówił, że to dla „PZPN-owskiej mafii". Bez pardonu atakował Kościół. Kiedy był już poza Platformą, na jednej z jego konferencji gadżetami były krzyż, zdjęcie abp. Sławoja Leszka Głódzia, kiełbasa i butelka wódki. W późniejszym etapie – już będąc liderem własnej partii – zwołał dziennikarzy na palenie zioła w Sejmie. Nie zapalił wówczas marihuany, czego się spodziewano, ale spalił kadzidło „zawierające konopie". Efekt – zainteresowanie mediów i dużą frekwencję dziennikarzy na konferencji – osiągnął.

Rozstanie z Platformą Obywatelską nastąpiło w 2010 r., a w roku 2011 r. Ruch Palikota – nowa partia dawnego polityka Platformy – był trzecią siłą w Sejmie. Lewicowe, antyklerykalne postulaty i happenerski sposób uprawiania polityki nie utrzymały jej długo na fali popularności. W roku 2013 Palikot

eprasa.pl 031a5817fa

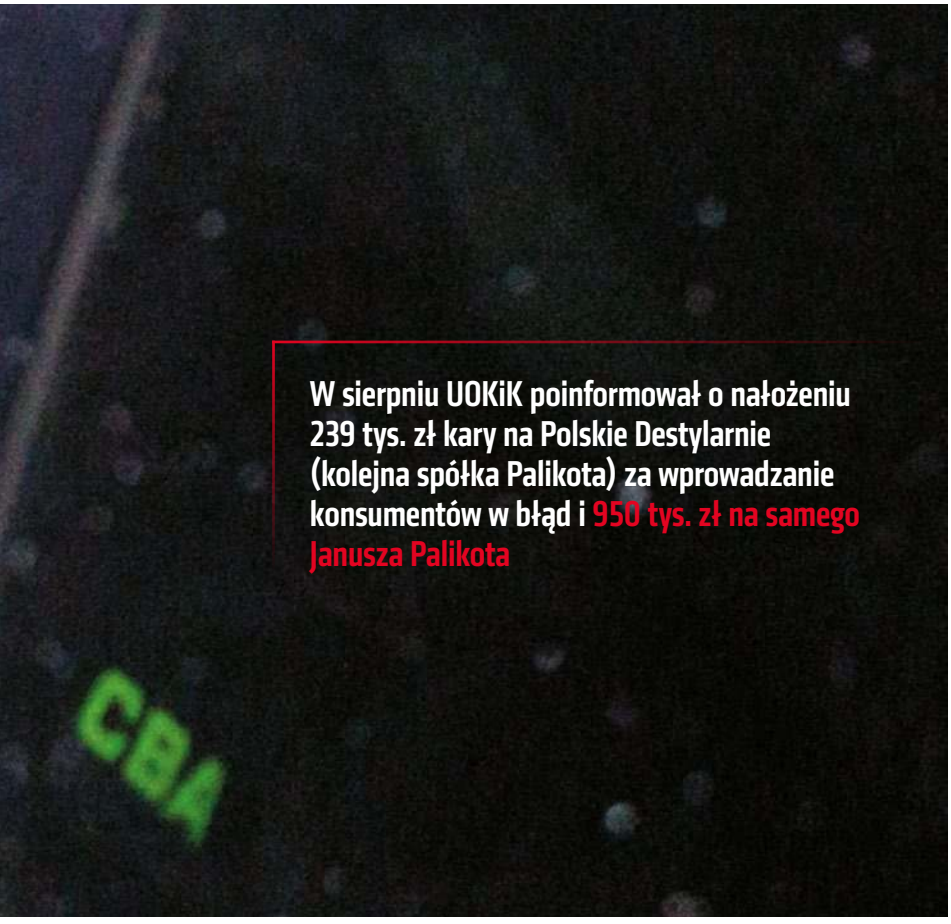

W sierpniu UOKiK poinformował o nałożeniu 239 tys. zł kary na Polskie Destylarnie (kolejna spółka Palikota) za wprowadzanie konsumentów w błąd i 950 tys. zł na samego Janusza Palikota

z Aleksandrem Kwaśniewskim i Markiem Siwcem powołali koalicyjny ruch Europa Plus na okoliczność wyborów do europarlamentu w 2014 r., ale ich lista nie przekroczyła progu wyborczego. Potem były zmiana nazwy ugrupowania na Twój Ruch i porażki wyborcze w 2015 r.: w wyborach prezydenckich Palikot uzyskał 1,42 proc. głosów, w wyborach parlamentarnych wspólna lista Zjednoczonej Lewicy znalazła się pod progiem wyborczym. W 2017 r. ogłosił definitywne odejście z polityki.

SKARBIEC PALIKOTA

Po kilku latach względnej ciszy Palikot powrócił do biznesu, do branży, którą dobrze znał. W 2018 r. jego spółka Manufaktura Piwa, Wódki i Wina odkupiła od Marka Jakubiaka Browar Tenczynek. Zapowiadało się nieźle. Były polityk sprytnie wykorzystywał swą popularność, do jego firm lał się strumień pieniędzy od większych i mniejszych inwestorów. Niedługo po przejęciu browaru zorganizował zbiórkę, która w nieco ponad miesiąc zakończyła się wynikiem ponad 4 mln zł od 1,3 tys. nowych akcjonariuszy jego biznesu. Do współpracy pozyskiwał celebrytów. Z Jakubem Wojewódzkim założył nawet kolejną spółkę. Gwiazdor TVN po jakimś czasie wycofał się ze współpracy i – deklarując, że sam czuje się oszukany – przeprosił tych, których jego kooperacja z Palikotem mogła skłonić do inwestowania w niepewny biznes.

Poszkodowanych można liczyć w tysiącach, a zobowiązania Palikota i jego spółek – w milionach złotych. Jak podaje Parkiet.com, sama tylko „Manufaktura Piwa, Wódki i Wina ma... 237 mln zł długów u 1383 wierzycieli". I dalej: „Ma też ciekawą listę zobowiązań innych podmiotów – firma pożyczyła 9 mln zł samemu Palikotowi. Akta sądowe Manufaktury Piwa, Wódki i Wina odsłaniają zarówno losy sporu o przyjęcie układu, jak i zadziwiające finansowe powiązania holdingu i osób prywatnych. Spółka pożyczyła aż 24 mln zł 12 różnym spółkom i osobom, które łączył ten sam adres siedziby – identyczny z prywatnym adresem Janusza Palikota".

W sierpniu UOKiK poinformował o nałożeniu 239 tys. zł kary na Polskie Destylarnie (kolejna spółka Palikota) za wprowadzanie konsumentów w błąd i 950 tys. zł na samego Janusza Palikota. „Wątpliwości dotyczyły kampanii pożyczkowej »Skarbiec Palikota«, w ramach której konsumenci mogli wpłacać pieniądze tytułem udzielenia spółce pożyczki na dalszy jej rozwój" – argumentował UOKiK. W ubiegłym roku Palikot stanął przed warszawskim sądem za reklamowanie alkoholu w Internecie. Został skazany na 80 tys. zł grzywny. I tak dochodzimy do 3 października, czyli palikotowego czarnego czwartku.

To najpoważniejsze problemy z prawem Janusza Palikota, ale różne – pisząc delikatnie – wątpliwości towarzyszą jego biznesowej i politycznej działalności od lat. Kiedy w 2006 r. sprzedawał w ofercie publicznej akcje Polmosu, Najwyższa Izba Kontroli zakwestionowała ich cenę. Transakcją zainteresowała się też prokuratura, bo jej zdaniem Palikot nie zapłacił wtedy miliona złotych podatku dochodowego. Po latach przyznał, że sprawa zakończyła się „domiarem podatku dochodowego w wysokości 2,2 mln zł, który został zapłacony". W 2011 r. CBA przyjrzała się oświadczeniom majątkowym Palikota z lat 2007–2010. Okazało się, że nie wpisał do nich trzech pożyczek i udziałów w dwóch spółkach oraz dwóch samochodów i… samolotu. W tej sprawie prokuratorskie dochodzenie sprawdzało też kwestie rozliczenia majątkowego Palikota z byłą żoną. Kobieta zarzucała mu, że przed rozwodem wyprowadził znaczną część wspólnych pieniędzy do rajów podatkowych, domagała się zwrotu 57,6 mln zł. Prokuratura ostatecznie umorzyła postępowanie. Sąd natomiast przyznał kobiecie 320 tys. zł od ekmałżonka.

W wywiadzie dla „Wprost" była żona Janusza Palikota mówiła o nim: „Po nim nie zostaje nic trwałego. A pozycja polityczna i rozpoznawalność została wyhodowana w dużej mierze przez dziennikarzy, którzy potrzebowali nowego pomysłu na to, jak zabawić widza. Podobają się krótkie, błazeńskie wystąpienia. Nie wymagają pracy intelektualnej. To krótkie uciechy, folklorystyczne zabawy. Ktoś kogoś brzydko nazwał, ktoś pomacha jakimś gadżetem".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

FOT. ADOBE STOCK

Prace domowe nie zniknęły

Łukasz Zboralski

Minister edukacji wprowadza chaotyczne zmiany. Nic dziwnego, że system się im opiera. Barbara Nowacka właśnie poniosła klęskę z zakazem zadań domowych

Często w Polsce narzekamy na urzędników, którzy nic nie robią albo działają nadzwyczaj opieszale i np. latami nie podejmują ważnych decyzji. Czasem jednak – gdy mamy do czynienia z osobami, które kompletnie nie znają się na dziedzinie, którą przyszło im zarządzać, i nie potrafią się otoczyć mądrymi doradcami – lepiej bywa, gdy minister nie robi nic. Tak jest w przypadku Barbary Nowackiej, odpowiadającej dziś za edukację.

Jednym z jej sztandarowych pomysłów było zniesienie prac domowych w szkołach. Choć trzeba też uczciwie przyznać, że w tej sprawie Nowacka była zakładniczką swojej politycznej drużyny. Jakieś obietnice wszak spełniać trzeba, a to na liście 100 konkretów Koalicji Obywatelskiej w punkcie 45 zapisano: „Zlikwidujemy prace domowe w szkołach podstawowych. Wprowadzimy szeroką ofertę bezpłatnych zajęć pozalekcyjnych w szkole. Przeznaczymy dodatkowe pieniądze na zajęcia rozwijające zdolności uczniów i wyrównujące szanse, sport, rozwijanie zainteresowań. Zapewnimy pomoc w szkole zamiast korepetycji w domu".

Z ofertą zajęć pozalekcyjnych, i to za darmo, się nie udało. Rozwijanie zainteresowań i sport? Nie widać w szkołach przełomu. Ba, w sprawie sportu zdemontowano akurat dobry system pomiarów fizycznej sprawności dzieci w szkołach, bo odłączono go od bazy dostępnej dla klubów sportowych. W związku z tym będziemy wprawdzie monitorować stan sprawności fizycznej młodych pokoleń (po ogłoszeniu pierwszych wyników wiadomo, że jest ona dużo gorsza niż u dzieci poddanych testom 20 lat temu), ale nijak nie pomoże to klubom sportowym wyławiać tych, którzy mają szansę rozwinąć się w prawdziwe gwiazdy.

Udało się za to znieść prace domowe. Zrobiono to na łapu-capu i bez kon-

eprasa.pl 031a5817fa

sultacji ze środowiskiem naukowym i nauczycielami. I to w środku trwającego już semestru – nagle nauczyciele musieli wszystko poprzestawiać, bo akurat od kwietnia prace domowe musiały zniknąć. – Dziś pierwszy dzień obowiązywania rozporządzenia, w którym odchodzimy od obowiązkowych prac domowych w szkole podstawowej. W klasach I–III prace domowe nie będą zadawane, natomiast oczywiście dozwolone będą prace ćwiczące motorykę małą i one będą mogły być oceniane – mówiła wówczas zadowolona Nowacka podczas konferencji prasowej. – W klasach IV–VIII w szkole podstawowej prace domowe będą nieobowiązkowe i nieoceniane – tłumaczyła. I dodawała, że edukacji nie ma służyć dom, ale szkoła.

UDERZENIE W SŁABYCH

Sam pomysł i sposób jego wprowadzania oburzył wszystkich ekspertów, nawet tych, którzy nijak nie mogli znieść „PiS-owskiego" ministra Przemysława Czarnka. Przede wszystkim przypomniano raport Evidence Institute oraz Związku Nauczycielstwa Polskiego: „Zadawać czy nie? Prace domowe w świetle badań". Analizowano w nim 15-latków biorących udział w badaniu PISA. W 2012 r. rzeczywiście spędzali dużo czasu na pracach w domu, bo było to średnio aż siedem godzin tygodniowo. Tymczasem w krajach OECD było to średnio pięć godzin. Tam, gdzie system edukacji jest dobry i brany za wzór – czyli np. w Finlandii – średnia prac w domu wynosiła niecałe trzy godziny.

Ważniejsze z tego raportu były jednak wnioski dotyczące wpływu prac domowych na postępy w szkole. O ile dla dobrych i średnich uczniów odrabianie prac domowych w zasadzie prawie nie zmieniało ich wiedzy i umiejętności, o tyle dla najsłabszych uczniów miało to gigantyczne znaczenie.

„Wśród uczniów, którzy w badaniu PISA wypadli gorzej, różnica w wynikach rośnie o 4–5 pkt na skali PISA wraz ze wzrostem czasu poświęcanego na zadania domowe o 1 godz. w tygodniu. Dla tej grupy uczniów różnica między tymi, którzy w ogóle nie odrabiają prac domowych, a tymi, którzy pracują w domu ok. 7 godz. tygodniowo (ok. średniej krajowej), wynosi aż 30 pkt, co – według OECD – jest bliskie korzyściom płynącym z jednego roku kształcenia" – podkreślono w raporcie.

Krótko mówiąc – ci, którzy mają gorsze wyniki w szkole, z rozmaitych powodów, pracując w domu, są w stanie gonić przeciętnych uczniów. I to jednym ruchem ręki w rozporządzeniu odebrała im minister Barbara Nowak. Czy jednak na pewno odebrała?

„MOŻECIE NIE ROBIĆ, ALE..."

Nauczyciele w Polsce są grupą, którą niełatwo wypchnąć z utartych schematów. Wiadomo to od ponad dekady. Jeszcze za rządów PO-PSL próbowano wnieść więcej swobody do systemu nauczania. Każdy nauczyciel może dziś np. pracować zupełnie bez podręczników i ćwiczeń. Każdy może napisać własny program nauczania. Taki, by i jemu przyjemnie się uczyło, i dzieciom. Do takiej modelowej szkoły zabierano wówczas innych, by pokazywać im, jakie to korzyści. Była nią szkoła w Radowie Małym. Publiczna podstawówka, w której dyrektor zachęciła nauczycieli do innej pracy. W końcu uczono w tej szkole w klasie kuchennej – gdzie dzieci uczyły się matematyki, piekąc ciastka w kształcie cyferek, czy miały salę teatralną.

Radowo pozostało jednak wyspą na tle masy przeciętnych podstawówek, w których nikomu z dyrektorów nie wystarczyło ani świadomości, ani chęci, ani wytrwałości. Większość nauczycieli do dziś pracuje zgodnie z podręcznikiem, kartka po kartce, z programem nauczania otrzymanym w gratisie od wydawnictwa (wspomnę tylko delikatnie, że działa też presja rodziców, którzy za nauczanie uważają wypełnione każde ćwiczenie w zeszycie ćwiczeń, który dziecko posiada).

Skostniałość systemu stawiła teraz opór także Nowackiej. Tym razem, można powiedzieć, na szczęście.
– W VI klasie, do której chodzi nasza córka, matematyczka już na początku roku zadała pierwsze zadania do domu – opowiada Ewelina, mieszkająca w gminie Lesznowola. – Dzieci, które tyle się nasłuchały o tym, że prac domowych nie będzie, postanowiły zaprotestować. Jeden z chłopców przypomniał, że prac im zadawać już przecież nie wolno. „Oczywiście, nie musicie ich robić – odparła nauczycielka – po prostu ten, kto nie odrobi pracy, dostanie niedostateczną ocenę" – relacjonuje mama uczennicy z podstawówki.

W innych szkołach skrytą walkę z systemem wprost komunikowali rodzicom dyrektorzy. „Na zebraniu z okazji rozpoczęcia roku szkolnego pojawiła się dyrektorka szkoły. Przekazała nam informację, że choć oficjalnie nie ma prac domowych, to nasze dzieci mają je rozwiązywać. Zapewniała, że bez zadań domowych nie ma mowy o dobrej edukacji" – mówiła cytowana w portalu Strefaedukacji.pl mama czwartoklasisty z województwa małopolskiego.

– Jest jeszcze inne rozwiązanie – mówi „Do Rzeczy" nauczyciel z województwa mazowieckiego (nie chce ujawniać nazwiska ani miejscowości). – Z dziećmi w szkole podstawowej pracowanie na samych lekcjach daje czasem za mało, zwłaszcza gdy ma się 30-osobową klasę, a w niej jeszcze kilkoro dzieci ze specjalnymi dostosowaniami nauczania. Jeśli resort zabronił mi zadawać prace domowe, to ja nie mam innego wyjścia, jak po prostu częściej robić im kartkówki. Badam wtedy, ile pracują, czy na pewno utrwaliły umiejętności. Tylko czy to jest dla uczniów naprawdę lepsze niż to, że mogli popracować spokojnie w domu, bo wiedzieli, że mogę części z nich sprawdzić to, czy odrobili zadania? – pyta.

Omijanie systemu w wielu szkołach jest po prostu faktem. Co zrobiła minister edukacji? Zaczęła tłumaczyć w mediach, że przecież… żadnego zakazu nie ma. Że nauczyciele, głuptasy, po prostu wszystko źle zrozumieli.

– Nauczyciele mogą zadać pracę domową – przekonywała Barbara Nowacka na początku października w rozmowie w Radiu Zet. I dodawała: – Ale nie jest ona obowiązkowa i nie jest oceniana. Jeśli dziecko wraca po ośmiu godzinach pracy w szkole i ma jeszcze trzy godziny pracy w domu ze stresem, że to będzie ocenione, to też nie jest działanie na rzecz jego dobrostanu.

Wiadomo przecież, że gdy praca będzie nieobowiązkowa i nieoceniana, to dzieci na pewno będą ją odrabiać i mieć przy tym znakomity relaks. Tylko w rzeczywistości wcale tego nie robiły.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

Zagrywka z noblistką

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Prawie 17 mln zł od Polskiej Agencji Rozwoju Przemysłu ma dostać spółka z branży gier, której współzałożycielką i głównym udziałowcem jest pisarka Olga Tokarczuk

FOT. HORST GALUSCHKA/DPA/PAP

Na początku stycznia, na fali „czyszczenia" Polski po rządach PiS, minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz zdecydowała o odwołaniu całego ówczesnego zarządu PARP. W maju powołano nową prezes, którą została Katarzyna Duber-Stachurska. Jak czytamy, to „absolwentka Akademii Ekonomicznej w Krakowie na kierunku finanse i bankowość; posiada wieloletnie doświadczenie menedżerskie wyniesione z pracy w międzynarodowych instytucjach finansowych oraz ze współpracy z sektorem publicznym".

Instytucja z nowymi władzami przyznała blisko 17 mln zł na technologię do tworzenia gier. Dofinansowanie ma zostać przyznane w ramach naboru „Ścieżka SMART", finansowanego z programu Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki. „Celem działania jest zwiększenie zdolności badawczych i innowacyjnych przedsiębiorstw, wsparcie zielonej i cyfrowej transformacji, internacjonalizacji, rozbudowy infrastruktury badawczej i podnoszenia kompetencji pracowników" – wskazano w komunikacie PARP.

Dofinansowanie dostanie Sundog, spółka założona m.in. przez noblistkę Olgę Tokarczuk. To jedno z wyższych dofinansowań – więcej dostaną projekty takie jak „badania i rozwój pierwszego w swojej klasie leku do stosowania w raku wątroby" czy „opracowanie i budowa typoszeregu nowoczesnych, ekologicznych pomp ciepła o wysokiej efektywności energetycznej".

Czym zajmie się spółka Tokarczuk? Pieniądze z PARP przeznaczy na stworzenie systemu InteGra. Jak podał „Puls Biznesu", jest to technologia „do tworzenia nieliniowych gier RPG w silniku Unreal Engine 5, umożliwiających tworzenie spójnych psychologicznie postaci, których decyzje będą odzwierciedlały ich implikowaną psychikę, w oparciu o badania z zakresu groznawstwa, psychologii oraz technologii AI (LLM)". „PB" wskazuje, że w projekcie „pomoże rzesza specjalistów oraz firma, której akcjonariuszem są Movie Games i Robert Lewandowski".

Sundog to studio tworzące gry. Obok Tokarczuk w skład rady nadzorczej wchodzą jeszcze trzy osoby. Pisarka posiada najwięcej – 19 – akcji w spółce, co jednak nie daje jej pakietu większościowego. Pełni w firmie „nadzór kreatywny". Jak podało Sundog, obecnie trwają prace nad grą „Ibru". Ma to być detektywistyczne RPG (RPG – gra oparta na narracji, w której gracze wcielają się w role fikcyjnych postaci), oparte na książce noblistki pt. „Anna In w grobowcach świata". Premierę gry „immersyjnej", czyli skłaniającej do całkowitego zanurzenia się w świecie wirtualnym, „osadzonej w science fantasy, czerpiącym z sumeryjskiej mitologii i cyberpunka", zapowiedziano na rok 2026. Ze sprawozdania finansowego za ubiegły rok wynika, że spółka przyniosła prawie 345 tys. zł straty. To pokazuje, jak istotne będzie dla niej dofinansowanie z PARP.

DLA IDEAS NIE BYŁO, NA GRY JEST

Decyzja o przyznaniu publicznych środków tej właśnie firmie wywołała sporą dyskusję. Po pierwsze dlatego, że informacja o wynikach naboru pojawiła się w trakcie burzy wokół IDEAS NCBR. W skrócie – apolityczny, uznawany za światowej klasy specjalistę do spraw sztucznej inteligencji prof. Piotr Sankowski w konkursie na prezesa ośrodka badawczego przegrał ze znacznie mniej znanym dr. Grzegorzem Borowikiem z NASK. W efekcie z pracy dla IDEAS NCBR zrezygnowało sześcioro członków rady naukowej z ośmiorga. Decyzje resortu nauki w sprawie Sankowskiego krytykowali nawet ci, którzy z utęsknieniem czekali na odejście z działającego

eprasa.pl 031a5817fa

w okresie rządów PiS Ministerstwa Edukacji i Nauki Przemysława Czarnka.

Presja podziałała, a minister Dariusz Wieczorek wraz z odpowiedzialnym za cyfryzację wicepremierem Krzysztofem Gawkowskim ogłosili powołanie nowego instytutu badawczego do spraw AI. Pokierować ma nim nie kto inny jak prof. Piotr Sankowski. I choć kryzys udało się zażegnać, to wielki niesmak wywołało zaduszenie IDEAS NCBR tylko dlatego, że powstało za czasów PiS przy jednoczesnym przyznawaniu wielkich pieniędzy dla firmy jawnie antypisowskiej Olgi Tokarczuk.

I tu leży drugi powód, dla którego dotacja dla Sundog wywołała oburzenie. Tokarczuk, wykorzystując swoją międzynarodową popularność i sławę, niejednokrotnie kreowała w zachodnich mediach obraz Polski jako kraju rządzonego przez „prawicowych populistów", w którym musi dojść do zmiany władzy, ponieważ w innym przypadku demokracja upadnie całkowicie. Choć jeszcze przed zdobyciem Nagrody Nobla w dziedzinie literatury za rok 2018 (za, jak ujęła Akademia Szwedzka, „narracyjną wyobraźnię, która z encyklopedyczną pasją ujawnia przekraczanie granic jako formę życia") Tokarczuk była dla wielu postępowców autorytetem, to po otrzymaniu wyróżnienia stała się ikoną, której słów nie wolno podważać. Pisarka chętnie wykorzystywała tę pozycję, aby bić na alarm w sprawie rzekomego łamania praworządności nad Wisłą. Mówiła o tym w wywiadzie dla brytyjskiego „The Guardian", zaledwie dwa tygodnie przed wyborami parlamentarnymi z 2023 r. „Tokarczuk nie pierwszy raz deklarowała poparcie dla postępowych idei i praw człowieka, które jej zdaniem są łamane przez rządzących Polską »prawicowych populistów«" – tak poglądy pisarki, wyrażone w rozmowie z brytyjską gazetą, podsumowała „Wyborcza". „Musimy powstrzymać postępującą w Polsce degradację demokracji i ciążenie ku autorytaryzmowi. To jest teraz najważniejsza sprawa" – podkreślała noblistka. „My, jako obywatele, musimy być pewni, że nowy rząd będzie miał wiarę w demokrację, naszą obecność w Europie i wolności zagwarantowane przez prawo" – wskazała, dodając, że PiS „podporządkowywał sobie obywateli anachronicznym wartościom tradycyjnym, które w rzeczywistości wyznaje niespełna 30 proc. Polaków".

Tokarczuk nie dostrzegała żadnych pozytywnych działań Zjednoczonej Prawicy. „Ludzie widzą, że dzieje się coś niedobrego, że tracimy nasze zasoby, niszczona jest przyroda, kraj jest źle zarządzany. Dlatego PiS traci" – przekonywała. „Jeśli rząd zmieni się w Polsce, to bez względu na ewentualną koalicję politycy powinni zakończyć wszystkie antypostępowe i antyobywatelskie działania, które nasilają się od lat" – mówiła tuż przed wyborami parlamentarnymi. Jednocześnie wskazywała na konieczność „dehomogenizacji" naszego społeczeństwa, czemu – przynajmniej deklaratywnie – PiS się sprzeciwiał (choćby poprzez zorganizowanie przy okazji wyborów referendum w kwestii m.in. przyjmowania migrantów). „Homogeniczność jest w tym rejonie czymś sztucznym, nieprawdziwym, wielu ludzi czuje, że czegoś im przez to brakuje" – wskazywała autorytatywnie Tokarczuk, która jako absolwentka psychologii nie ucieka od psychologicznych diagnoz polskiego społeczeństwa.

Rzecz jasna, nikt nie dowodzi, że środki z PARP dla firmy Olgi Tokarczuk to „nagroda" za narrację anty-PiS, ale trudno nie zastanawiać się, czy w tej sprawie w ogóle nie było polityki. Wniosek złożony przez Sundog otrzymał 21 punktów, co uplasowało spółkę w naborze na 18., czyli wysokiej pozycji (na 201 beneficjentów).

„Po czym poznać, że kraj jest już dobrze rządzony…" – tak wywiad noblistki dla „The Guardian", zatytułowany „Ludzie widzą, że kraj jest źle rządzony", skomentował poseł PiS Radosław Fogiel. Dla kontrastu dodał depeszę Polskiej Agencji Prasowej w sprawie dotacji Sundog z PARP.

MODELOWA LEWACZKA

Olga Tokarczuk to właściwie modelowy przykład osoby o poglądach liberalno-lewicowych. Po wygranych przez Zjednoczoną Prawicę wyborach z 2019 r. nie kryła smutku, choć wskazała, że dostrzega „promyk nadziei". – Bardzo się cieszę z tego, że tak dużo młodych ludzi z Lewicy się dostało – wyznała. – Bardzo dla mnie podnoszące na duchu są te wszystkie elementy związane z ekologią, z klimatem. To jest coś, co jest najważniejszym, według mnie, zadaniem, problemem przed naszymi politykami. Bez tego się nie da niczego zrobić, tym się trzeba zająć najpierw – podkreślała. Pytana, jakie według niej powinny być priorytety polityki w Polsce, Tokarczuk wskazała też (cóż za zdziwienie) na prawa kobiet – rozumiane rzecz jasna jako dostęp do aborcji. Dodała, że „strasznie poruszająca" jest dla niej także kwestia „praw zwierząt". – Myślę, że ludzie się kiedyś będą wstydzić, że ich przodkowie jedli mięso – stwierdziła autorka „Ksiąg Jakubowych".

Nikogo nie dziwi chyba to, że pisarka wspiera LGBT. – Nie mogłam nie pójść na ten marsz – wskazała pytana o udział w „marszu równości" we Wrocławiu. Olga Tokarczuk pytana, czy podtrzymuje swoje wcześniejsze słowa, w których stwierdziła, że „wymyśliliśmy sobie historię Polski jako kraju niezwykle tolerancyjnego, otwartego, jako kraju, który nie splamił się niczym złym w stosunku do swoich mniejszości. Tymczasem robiliśmy rzeczy straszne jako kolonizatorzy, większość narodowa, która tłumiła mniejszość, jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów", przyznała, że „jak najbardziej".

W listopadzie 2021 r., czyli w szczytowym momencie naporu nielegalnych migrantów na polską granicę, Olga Tokarczuk podpisała list noblistek do Rady Europy i Parlamentu Europejskiego w sprawie „katastrofy humanitarnej na wschodniej granicy UE". „Musimy być świadomi tego, że ludzie są wykorzystywani jako zakładnicy. Te demoniczne praktyki przejdą do historii jako przykład współczesnej odmiany okrucieństwa" – napisano w apelu. Wraz z m.in. Swietłaną Aleksijewicz Tokarczuk krytykowała podejście do kryzysu polskich władz. „Polski rząd wprowadził w pasie przygranicznym Polski i Białorusi stan wyjątkowy, na mocy którego nie dopuszcza się udzielania pomocy medycznej chorym i umierającym oraz uniemożliwia się dostęp mediom do rozgrywającej się tam tragedii" – przekonywały noblistki.

W wielu kwestiach rząd Donalda Tuska, mimo ostrej retoryki, wcale nie zmienił polityki względem PiS i ochrona granicy z Białorusią jest koronnym tego przykładem. Teraz jednak Olga Tokarczuk milczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

Oczy Vivienne

Piotr Gociek

Western, w którym centralną figurą jest kobieta, nie musi być feministyczny lub rewizjonistyczny. „The Dead Don't Hurt" niesie pytanie: O co w życiu warto walczyć?

Viggo Mortensen (pamiętny Aragorn z „Władcy Pierścieni") zrobił przy tym filmie niemal wszystko: napisał go, wyreżyserował, wyprodukował, a nawet skomponował ścieżkę dźwiękową. No i jeszcze zagrał główną rolę. A mimo to jest to przede wszystkim film fenomenalnej Vicky Krieps, aktorki, którą pamiętamy przede wszystkim ze znakomitej roli u Paula Thomasa Andersona („Nić widmo", 2017). Stawiam tezę, że w „The Dead Don't Hurt" (właśnie trafia do polskich kin) jest równie dobra.

Dostajemy więc western, w którym centralną figurą jest kobieta. Czy to znaczy, że western feministyczny? Rewizjonistyczny? Antywestern? Otóż nie, jest to tradycyjna opowieść o zemście, jedynie opowiedziana w zaskakujący sposób. Fabuła nie jest linearna, oglądamy na zmianę dwa plany czasowe. W jednym pogrążony w żałobie farmer chowa przedwcześnie zmarłą ukochaną, a potem rusza w pogoń za człowiekiem, który zniszczył jego rodzinę. Z drugiego dowiadujemy się, jak Vivienne (Vicky Krieps) i Holger (Viggo Mortensen) się poznali, co zawiodło ich do miasteczka Elk Flats oraz gdzie szukać korzeni tragedii.

OPOWIEŚĆ O MIŁOŚCI

Próżno tu szukać dziarskich melodii znanych z tradycyjnych westernów, jest to bowiem opowieść z Dzikiego Zachodu kręcona po nowemu, a więc i realia gryzące, bliższe tym, które znamy z minimalistycznego „First Cow" (2019) Kelly Reichardt czy słynnego „Bez przebaczenia" (1992) Clinta Eastwooda. Mortensen nigdzie się nie śpieszy ze swoją opowieścią, a klasycznymi motywami z imaginarium westernu gospodaruje oszczędnie. Jest tu mordobicie, jest kilka strzelanin; są saloon, pianista, bogaty ranczer, sprzedajny sędzia itd., jednak mimo tego wszystkiego nie dostajemy opowieści o Dzikim Zachodzie, tylko opowieść o miłości, przyprawioną pytaniem: O co warto walczyć?

Vivienne i Holger trafiają na siebie przypadkiem w portowym mieście San Francisco. Ona ucieka od namolnego bogacza, który ma na nią ochotę, on wpadł na krótką przerwę między znojnymi dniami na własnej farmie w Nevadzie. Krótka wymiana spojrzeń, kilka słów – i już wiedzą, że coś ich łączy. Oboje są tu obcy. Ona to francuskojęzyczna Kanadyjka, której ojciec zabity został przez Brytyjczyków. On jest imigrantem z Danii, weteranem wojen z Prusami, a z zawodu cieślą. Oboje szukają nowego życia, ale na własnych warunkach, ceniąc sobie niezależność i osobność. I taką właśnie dwuosobową armię przeciw światu stworzą, gdy osiedlą się nieopodal Elk Flats. Vivianne nie chce poślubić Holgera, bo to, co prawdziwe – czyli to, co ich łączy – uważa za ważniejsze od społecznej konwencji. Chcą żyć po swojemu, wolni w wolnym kraju. Czyż nie taka była obietnica Ameryki?

Ale tam, gdzie jedni pragną świętego spokoju, inni pożądają czegoś więcej: kolejnych pastwisk, kopalń, banków.

eprasa.pl 031a5817fa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Historia podboju Dzikiego Zachodu i kształtowania się nowoczesnej Ameryki to dzieje starcia wolności z wielkimi, drobnych właścicieli z potężnymi hodowcami bydła, samotnych traperów z kupieckimi gildiami, miejscowych rzemieślników z wielkim przemysłem. W Elk Flats o wszystkim decyduje bogata rodzina Jeffriesów. Jej członkowie są nietykalni i bezkarni – nawet jeśli głupi, okrutni i źli. Nietrudno się domyślić, że szykuje się nieszczęście.

Zaczyna się wojna secesyjna. Punkt zwrotny w historii Vivienne i Holgera to chwila, gdy w miasteczku pojawia się oddział żołnierzy Unii werbujących ochotników do walki z konfederatami. I Holger postanawia wstąpić do armii. Pieniądze przydadzą się na rozwój gospodarstwa, ale ważniejsze jest poczucie obowiązku. Gdy wściekła Vivianne krzyczy: „To nie jest twój kraj!", Holger odpowiada: „Teraz jest". Zatrzymajmy się przy tej deklaracji na dłużej.

PRAWA I OBOWIĄZKI

Viggo Mortensen igra nieustannie z motywami, które łatwo byłoby użyć do tępej propagandy. Jakże modne jest dziś choćby przekonywanie, że całą odpowiedzialność za ciężkie życie imigrantów ponoszą nietolerancyjni miejscowi! W „The Dead Don't Hurt" mamy inną lekcję, którą prezentuje bohater bez wątpienia będący człowiekiem honoru: to oczywiste, że skoro nowy świat daje mi szansę na nowe życie, to i ja mam wobec niego zobowiązania. Obywatelstwo to nie świstek papieru, to nie przepustka do socjalu – wybaczcie, że uciekam z XIX-wiecznego Zachodu do współczesności – to umowa, w której obie strony powinny dotrzymywać słowa. Masz prawa, ale masz i obowiązki.

REŻ. VIGGO MORTENSEN
„THE DEAD DON'T HURT"
DANIA, KANADA, MEKSYK 2023

Mocna postać kobieca – kolejna pułapka, w którą Mortensen zdaje się wchodzić, a tak naprawdę z niej ucieka. Mamy dziś na małym i dużym ekranie przesyt silnych kobiet, które zamiast akceptacji budzą irytację. Ich role są bowiem zazwyczaj źle napisane, są kopiami męskich bohaterów akcji, którym jedynie podmieniono cechy płciowe. Vivianne bez wątpienia jest mocną postacią kobiecą, ale nie dlatego, że biega po górach ze strzelbą, i nie dlatego, że pogania bydło albo klnie jak szewc (dla porządku – nie wpisano na szczęście do scenariusza żadnej z tych rzeczy). Jest mądra, piękna, niezależna, uparta, pracowita, wierna i ma własne, zdecydowane poglądy na wszystko. A kiedy dotknie ją nieszczęście, gdy zgwałci ją młody Jeffries, nie podda się, tylko cały maleńki świat uniesie na swoich barkach.

Tam, gdzie niejeden postawiłby na parcianą retorykę i parę pojęć jak cepy, Mortensen wybiera niedopowiedzenia. Pojawia się w filmie sugestia, że do listy licznych grzechów rodziny Jeffriesów dopisać trzeba rasizm i sympatię dla Południa (znaczy dla niewolnictwa), ale powrót Holgera do domu wcale nie przypomina triumfalnego powrotu bojownika słusznej sprawy. „Jak tam twoja wojna?" – pyta Vivianne. „Nie taka, jak się spodziewałem" – kwaśno odpowiada Duńczyk.

W pierwszych partiach filmu widzimy, jak mała Vivianne pyta mamę, dlaczego ludzie walczą. Mama odpowiada, że mają ku temu powody. Pytanie, o co warto walczyć, jest najważniejsze w opowieści Mortensena. Vivianne i Holger walczą o swoją niezależność, o własny kawałek raju w ziemi obiecanej. Vivianne poświęci się również w imię nowego życia – dziecka, które kocha i wychowuje, choć jest poczęte z gwałtu, a Holger dla zbiorowości, ruszając na wojnę w obronie kraju, który jest jego przybraną ojczyzną. W szerszym spojrzeniu walczą także o to, by nie dać się pożreć rozpaczy, gniewowi i zemście.

W wymiarze ludzkim oboje wygrywają, choć Vivianne złożona zostanie do grobu, a Holger wyruszy w dalszą wędrówkę. Przegrają, gdy idzie o nadzieje wiązane z nowym, lepszym światem, którego szukali. Okaże się on światem równie złym jak stary. Gdy Holger z dzieckiem docierają nad brzeg Pacyfiku, chłopiec pyta: „Czy to koniec świata?". „Tego – tak" – odpowiada Duńczyk.

Jest więc w całą opowieść wpleciona lekcja moralna, ale w sposób bardzo nieoczywisty. Nikt się tu nie modli, nikt nie rozprawia o Bogu, ale gdy wrócimy do jednej ze scen z dzieciństwa Vivienne, to zobaczymy, że wraz z mamą czyta książkę o Joannie d'Arc i rozważając, dlaczego ludzie toczą ze sobą walki, deklaruje, że gdyby sama miała walczyć, to tak jak ojciec lub jak Joanna d'Arc. Dopowiem: w obronie niewinnych.

Los sprawi, że nie będzie czynić tego z bronią w ręku jak postacie, które podziwia, ale ostatecznie przecież poświęci życie dla dziecka, które nie jest winne grzechu swego ojca, gwałciciela. Tak należy rozumieć symboliczne sceny, z których zwłaszcza pierwsza, na samym początku filmu, wprowadzić może widza w głęboką konfuzję. Cóż w amerykańskiej dziczy robi średniowieczny rycerz jadący na rumaku przez las? To bohater z dziecięcych marzeń Vivienne. To wyzwanie, któremu sprostała. Gdy rycerz pojawia się na ekranie po raz ostatni, w szczelinie hełmu widzimy jej oczy. Oczy Vivienne.

A skąd tytuł? „The Dead Don't Hurt"? Podczas podróży przez głuszę Holger ustrzelił małego ptaka – pieczyste dla siebie i chłopca. Dzieciak dotyka rany i pyta: „Czy jego to boli?". „Umarłych nie boli" – odpowiada Holger. I tylko umarłych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

TVP2

Czas ognia

★★★★★★

SEZON 2
„KRUCJATA II. ZNAK BLIŹNIĄT"
POLSKA 2024

wyst. Tomasz Schuchardt, Marta Stalmierska, Sebastian Dela, dystr. TVP2

Niespełna dwa lata po premierze pierwszego sezonu „Krucjaty" dostajemy drugi, opatrzony podtytułem „Znak bliźniąt". Nadkomisarz Bończyk, ksywa Luizjana (Tomasz Schuchardt), i komisarz Karmańska (Marta Stalmierska) tropią sprawców brutalnego morderstwa przed jednym z marketów, a oficer CBŚ Jamroży (Sebastian Dela) rozpracowuje gang handlarzy narkotyków i werbuje do współpracy jednego z ważniejszych dealerów. Kiedy i ten zginie (w sposób wielce malowniczy), okaże się, że sprawy łączą się ze sobą, więc z woli kierownictwa „Luizjana", Karmańska oraz Jamroży będą musieli pracować razem, co niespecjalnie musi im się podobać.

Wątków dostajemy dużo więcej: oto wpływowy i bardzo bogaty biznesmen zrywa związki z dawnym przestępczym życiem, oto wokół Jamrożego kręci się piękna pani projektantka wnętrz, która rozgrywa jakąś własną grę. Narkotyki dla gangu pichci nauczycielka chemii, uwikłana jednocześnie w romans z jednym ze swych uczniów. „Luizjana" przechodzi ciężkie chwile w życiu prywatnym: żona nie tylko chce odejść, lecz także wyjechać do USA, zabierając dziecko, nadkomisarz wyprowadza się do policyjnego hotelu. Dawny kumpel, komisarz Mandżaro (pamiętamy go z pierwszego sezonu „Krucjaty"), wychodzi z więzienia, ale nie chce mieć nic wspólnego z dawnymi znajomymi.

A poza tym wszystkim mamy jeszcze jedną tajemnicę: na samym początku pierwszego odcinka prowadzony przez naćpanego kierowcę autobus miejski taranuje auto z kobietą w ciąży.

Za nowy sezon „Krucjaty" odpowiada ta sama ekipa, co za pierwszy. Scenariusz napisał Wojciech Tomczyk, reżyserią zajął się Łukasz Ostalski, trzon obsady (ten policyjny) pozostał. Widzów TVP2 (serial pokazywany jest w czwartkowe wieczory) czeka 13 odcinków (finał – na początku grudnia). Pierwszy sezon był bardzo dobry i często zaskakiwał. Drugi jest – jak dotąd – równie wciągający, wątki policyjno-kryminalne trzymają w napięciu. Trzy pierwsze odcinki to przygotowanie gruntu pod szokujący zwrot akcji w epizodzie czwartym. Najciekawszą postacią jest komisarz Jamroży, który zdecydowanie zbyt szybko zabiera się do bicia podejrzanych oraz konfidentów i ewidentnie napędzany jest jakimiś głębszymi traumami, a nie tylko wielką ochotą do skutecznego wykonywania policyjnej roboty. ©℗

NOWE SERIALE: „FRANCZYZA"

HBO max

Twórcy „Figurantki" przedstawiają satyrę na chorobę pożerającą Hollywood, czyli komiksowe kinowe uniwersa. Serial zabiera nas za kulisy kręcenia idiotycznej superprodukcji, która w planach wytwórni nagle zmieniła się w drugorzędną. Pyszna obsada (m.in. Daniel Brühl) i laureat Oscara Sam Mendes reżyserujący pierwszy odcinek. Ale zabawa udana tylko częściowo, bo scenariusz nierówny. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Franczyza" („Franchise"), USA 2024, Max***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Gdzie jest Wanda?" („Where's Wanda?")****, Niemcy 2024* tv+
- *sezon 3* ***„Prawnik z Lincolna" („The Lincoln Lawyer")****, USA 2024*
- *reż. Max Barbakow* ***„Bracia" („Brothers")****, USA 2024* prime video

eprasa.pl 031a5817fa

KINO

Miasto męczenników

Bukareszt bez znieczulenia. Dla Angeli, kobiety pracującej, dzień zaczyna się przed szóstą rano. Żuje gumę, pije kawę, słucha muzyki na cały regulator, ale i tak przysypia za kierownicą. Nim zapadnie zmrok, wielokrotnie przemierzy miasto w poszukiwaniu inwalidy, który opowiedziałby przed kamerą swoją historię i zaapelował o przestrzeganie zasad BHP. Musi też znaleźć czas, by spotkać się z matką, kochankiem, odebrać z lotniska korpoludka z centrali czy wstrząsnąć sumieniem dewelopera likwidującego część cmentarza, w której znajdują się groby jej dziadków.

Odyseja Angeli dostarcza aż nadto dowodów, że ojczyzna księcia Drakuli wciąż niedomaga. Trudno przegapić prywatne posesje, ogrodzone drutem kolczastym, tudzież pobocza dróg usiane symbolicznymi grobami ofiar wypadków.

★★★★☆☆

REŻ. RADU JUDE
„NIE OBIECUJCIE SOBIE ZBYT WIELE PO KOŃCU ŚWIATA"
RUMUNIA/ LUKSEMBURG/ FRANCJA/ CHORWACJA 2023

wyst. Ilinca Manolache, Ovidiu Pîrşan, Dorina Lazăr

Rumuni, najbiedniejszy naród Unii Europejskiej, czują się opuszczeni przez państwo i przez Boga, ich życie jest pasmem udręk i upokorzeń. Dla takich ironistów jak Radu Jude frustracja rodaków jest paliwem. Reżyser prowokator ma już 47 lat, ale ani myśli przejść na słoneczną stronę ulicy, kręcić filmy ku pokrzepieniu serc. Zderza braci Lumière z Uwe Bollem, Bobem Dylanem i poczciwą komedią z czasów Ceaușescu. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZABÓJCZY PRZYSTOJNIAK

KINO

Gdy u nas Gierek budował drugą Polskę, Amerykanie bogacili się i bawili na całego. Rodney Alcala, gwałciciel i seryjny morderca, też nie miał powodu do narzekań. Latami wodził za nos policję, rozzuchwalony bezkarnością wystąpił nawet w rajfurskim programie telewizyjnym, deklasując męskich konkurentów. Ofiarom przedstawiał się jako fotograf zadomowiony w show-biznesie. A która ładna dziewczyna nie lubi pozować (i nie marzy o sławie)? Reżyserski debiut Anny Kendrick miał pecha; strajk aktorów pozbawił go promocji, a prawa do rozpowszechniania wykupił Netflix. Zresztą utwory szkalujące „dawne, dobre czasy" rzadko stają się bestsellerami. W latach 70. przestępczość w USA rosła, lecz mit beztroskiej epoki jest silniejszy. Tymczasem „Randka w ciemno" pokazuje ówczesnych królów życia jako narcyzów lub chamów pospolitych. Kicz jawi się maską wszechobecnego zła, a „każdy człowiek to ryzyko". ©℗

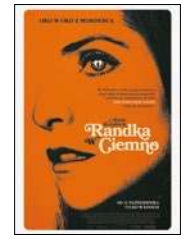

★★★★☆☆

REŻ. ANNA KENDRICK
„RANDKA W CIEMNO" („WOMAN OF THE HOUR")
USA 2023

wyst. Daniel Zovatto, Anna Kendrick, Nicolette Robinson

ZAKRĘCONY BEZ PAMIĘCI

arte

Michel Gondry: geniusz i samouk. Twórcze credo: „Nie słucham innych". Podbił Hollywood, by odkryć, że lepiej czuje się w ojczystej Francji. Jako pałker punkowej grupy Oui-Oui wymyślał filmiki, w których dawał upust szalonej wyobraźni. Po trzecim teledysku zespół się rozpadł, ale on miał już innych, bardziej zasobnych klientów. W epoce MTV obraz był ważniejszy od muzyki, którą promował. Gondry, nadworny reżyser ekscentrycznej Björk, znalazł się na szczycie. W duecie ze scenarzystą Charliem Kaufmanem (połączył ich „humorystyczny pesymizm") zawojował świat kina. Nie da się ukryć: dokument Nemety jest laurką. W dymie kadzideł majaczy tylko jedna myśl krytyczna, o chaotycznym stylu Francuza. Po nakręceniu tuzina filmów Gondry zaczął siwieć i zmienił życiowe priorytety. Kiedyś bawiły go wycinanki i budowanie miasta z rolek papieru toaletowego, dziś spełnia się jako rodzic i pedagog. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆

REŻ. FRANÇOIS NEMETA
„MICHEL GONDRY – ZRÓB TO SAM!" („MICHEL GONDRY – DO IT YOURSELF")
FRANCJA 2023

GRA TYGODNIA: „THE LEGEND OF ZELDA: ECHOES OF WISDOM"

Spin-off doskonałego cyklu, w którym następuje odwrócenie ról – tym razem to księżniczka Zelda musi ratować Linka. Biedaczyna został pochłonięty przez tajemniczą szczelinę i nie jest w tym nieszczęściu sam, bo podobny los spotyka wielu mieszkańców Hyrule. Księżniczka rusza na ratunek, w czym pomaga jej artefakt Tri Rod, za pomocą którego można klonować elementy otoczenia i stworzenia. Rzut izometryczny, ładna, kolorowa oprawa i ciekawie zaprojektowane zagadki. Bardzo przyjemny tytuł dla graczy w każdym wieku. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *zręcznościowa/logiczna*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Nintendo*

eprasa.pl 031a5817fa

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Całus z języczkiem

Autorów opublikowanej właśnie korespondencji dzieliły i różnica wieku (26 lat), i pozycja zawodowa związana z pisarską rangą. Nic dziwnego, że choć Jarosław Iwaszkiewicz od pierwszego listu, wysłanego w 1945 r. ze Stawiska do Krakowa, tytułował Tadeusza Kwiatkowskiego „Kochanym Tadziem", „Tadzio" adresował swoje listy do „Kochanego Pana Jarosława", a na zachętę przejścia, na razie w listach, na „ty" ze strony twórcy „Panien z Wilka" odpowiedział: „Bardzo ucieszyła mnie propozycja wypicia braterstwa z Panem, za co jestem bardzo wdzięczny i zarazem niesłychanie szczęśliwy. Nie śmiem jednak na razie wprowadzać tego w czyn, bez faktycznego aktu przy dobrej wódce. Chciałbym tylko powiedzieć Panu, czego w pierwszych naszych spotkaniach nie zrobiłem ze względu na możliwość podejrzeń z Pańskiej strony, że się podlizuję czy coś podobnego, że uważam Pana za wielkiego literata polskiego, którego niejednokrotnie brałem sobie za wzór, i że nie wyruszam nigdzie poza Kraków bez »Anny Grazzi z Dwóch opowiadań«. Tyle tylko. Nie znoszę afektacji i czułych wylewów. Uczciwą przyjaźń winno się wyznawać w otwartym spojrzeniu i w uczynkach, nie w koncypowanych układach stylistycznych".

Z pewnością. Tyle że znacznie później, w wydanym w 1995 r., 15 lat po śmierci Iwaszkiewicza, „Panopticum" Tadeusz Kwiatkowski wspominał: „Któregoś dnia zaproponował mi bruderszaft, co mnie ogromnie cieszyło. Miałem dwadzieścia pięć lat, byłem właściwie nikim, ot, sekretarzem Krakowskiego Oddziału Związku, a tu od razu bruderszaft z wybitnym pisarzem. Kiedy tradycyjnie całowaliśmy się, wsadził mi głęboko do ust swój wielki mięsisty język. Byłem przerażony, nie spodziewałem się bowiem takiego pocałunku, a on, widząc moją reakcję, zaśmiał się i poklepał mnie po policzku. – To taki żart – powiedział, żeby mnie uspokoić i dać mi do zrozumienia, że niczego złego nie miał na myśli – zawsze tak robię, gdy zaprzyjaźniam się z kimś na śmierć i życie".

W końcu obaj panowie „tykali się", czego dowodzą ostatnie z publikowanego, zresztą niewielkiego zbioru listów. Charakterystyczne, że przypisy do tej korespondencji zajmują więcej miejsca niż ona sama i – nierzadko – są one ciekawsze, co od czasu sławnej edycji „Dzienników" Zofii Nałkowskiej z przypisami Hanny Kirchner nie dziwi. W tym wypadku pracę wykonaną przez Agnieszkę i Roberta Papieskich należy ocenić podobnie wysoko. Niektórych informacji zabrakło mi w tej edycji. We wstępie Robert Papieski cytuje np. taką ocenę Iwaszkiewicza sporządzoną po latach przez Kwiatkowskiego: „Jako wieloletni prezes Zarządu Głównego ZLP stosował politykę kompromisową. Miał liczne koneksje wśród władz politycznych i umiejętnie balansował, tak aby jakoś wybrnąć z dramatycznych nieraz konfliktów, na jakie natrafiał Związek. Temu złożył wizytę, tamtemu znowu podkadził i jakoś pchał naprzód uchwały Zarządu, unikając trudności nie do przebycia. Jedni utrzymywali, że tak należało postępować dla dobra literackiej społeczności, inni go potępiali za brak godności i objawy serwilizmu". Odnośnie do samego Kwiatkowskiego, to ten deklarował, że zawsze będzie bronił Iwaszkiewicza „przed atakami zagorzałych przeciwników. Należy bowiem wstawić się w jego położenie uwarunkowane niepokojami w kraju, narastającym buntem i niechęcią do znalezienia jakiegoś modus vivendi".

Tadeusz Kwiatkowski uchodził za kronikarza dawnego Krakowa, istną kopalnię anegdot o tym znamienitym grodzie, u schyłku życia wydał ciekawe książki wspomnieniowe (przed „Panopticum" były „Niedyskretny urok pamięci" i „Płaci się każdego dnia"). Pisał powieści obyczajowe i satyry, kryminały (pod pseudonimem) i książki dla młodzieży, był scenarzystą filmu Wojciecha Jerzego Hasa „Rękopis znaleziony w Saragossie" i popularnego „Janosika" wyreżyserowanego przez Jerzego Passendorfera. Pracował w teatrach, współtworzył kabarety i… w 1953 r. złożył swój podpis pod rezolucją ZLP potępiającą księży skazanych w pokazowym procesie księży kurii krakowskiej. To tyle w temacie serwilizmu.

Czterdzieści osiem listów czyta się z dużym zainteresowaniem, choć młodzi czytelnicy bez przypisów nie dadzą sobie rady. Te, jako się rzekło, są, i to wnikliwe. Dość przeczytać komentarz do jednego zdania, mimochodem rzuconego przez Iwaszkiewicza we wrześniu 1945 r. o tym, jak „Anglicy ze Słonimskim i Pruszyńskim mieli w Warszawie pobyt raczej nieudany". Toż to reportaż z powojennej, popowstaniowej stolicy!

A wiadomość o ślubie Tadeusza Kwiatkowskiego z Haliną z Królikiewiczów, znaną aktorką i pedagog teatralną, uzupełnia w przypisach informacja o przyjęciu dla przyjaciół wyprawionym przez nowożeńców w stołówce krakowskiego Domu Literatów. Każdy z gości przekraczał jej próg „z kryształowym naczyniem w ręku (takim, jakie po wojnie można było za symboliczną kwotę zakupić od szabrowników). W sumie Kwiatkowscy dostali takich kryształów sto dwanaście". ©℗

★★★★☆☆

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ, TADEUSZ KWIATKOWSKI „LISTY 1945–1958"
SEDNO, WARSZAWA 2024

eprasa.pl 031a5817fa

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Czekając na koniec

Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o kłopotach ze sztuczną inteligencją (AI), ale nie mieliście kogo zapytać – cóż, zapytała w imieniu czytelników Katarzyna Zybertowicz. Ciekawie rozpisane są role w tym wywiadzie rzece, bo pytająca próbuje znaleźć cień optymizmu w tym, co nadchodzi, podczas gdy odpowiadający jest w nastroju ponurym.

Czarne myśli są uzasadnione, gdyż zmiana, której jesteśmy świadkiem, przynieść może skutki katastrofalne już nie tylko dla kształtu ludzkiej cywilizacji, lecz także samego jej istnienia – argumentuje prof. Zybertowicz. I argumenty ma mocne. Oto zasada czarnej skrzynki – wiemy, że coś działa, ale nie jesteśmy w stanie ustalić w jaki sposób, widzimy wchodzące dane i wychodzący rezultat. Tak jest już dziś z AI (niektórzy menedżerowie wielkich platform internetowych już mówią o tym, że nie mają pojęcia, dlaczego niektóre algorytmy podejmują takie, a nie inne decyzje). Skoro nie wiesz, jak coś działa, nie możesz tego kontrolować, nie mówiąc o zastopowaniu.

Oto błędna analogia: zawsze dawaliśmy sobie radę, więc tak będzie i tym razem. Nie – odpowiada Zybertowicz, wyliczając fałszywe teorie kojące. Skala zmiany jest tak ogromna, mnożnik siły niesiony przez AI jest tak wielki, że zetkniemy się ze zjawiskiem, którego z niczym dotąd w historii ludzkości porównać się nie da. Potencjalne skutki? AI z powodów, których nie jesteśmy w stanie pojąć, może nas zaatakować – to raz. Ludzie celowo wykorzystają jej potęgę w celach destrukcyjnych – to dwa. Albo nieintencjonalnie wywołają katastrofę, przekonani, że uruchamiają procesy korzystne, jednak sposób realizacji wybrany przez AI okaże się zgubny. Przypomina się mi od razu kłopot, który mieli w „Cyberiadzie" Trurl i Klapaucjusz z maszyną, która umiała robić wszystko na literę N. Gdy nakazano jest zrobić nic, zinterpretowała to jako wezwanie do zrobienia niebytu, nicości i nieistnienia, zaczęła więc likwidować wszechświat.

Największy kłopot widzi jednak Zybertowicz nie w samych możliwościach AI, ale w tym, że ze skutkiem istnienia i działalności tego fenomenu zmagać się musi ludzkość, która zupełnie nie jest do tego przygotowana, która głupieje, która traci swój fundament etyczny, która jest na kursie samobójczym. „W Utyce obywatele nie chcą się bronić" – pisał Herbert. I nie wiedzą jak – dopowiada Zybertowicz. ©℗

★★★★★☆

ANDRZEJ ZYBERTOWICZ, KATARZYNA ZYBERTOWICZ „AI EKSPLORACJA" ZONA ZERO 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Życia codziennego i prywatnego w III Rzeszy ciąg dalszy, czyli obszerna biografia Reinharda Heydricha oparta przede wszystkim na nagrywanych latami rozmowach z jego żoną, Liną von Osten.

NANCY DOUGHERTY „MĄŻ, OJCIEC, ZBRODNIARZ" PRÓSZYŃSKI I S-KA

Południowokoreański autor bestsellerów historycznych przedstawia się polskiemu czytelnikowi: oto liryczny kryminał, którego akcja rozgrywa się w 1944 r. za murami japońskiego więzienia w Fukuoce.

LEE JUNG-MYUNG „POETA, STRAŻNIK I WIĘZIEŃ" ŚWIAT KSIĄŻKI

Eseje amerykańskiej poetki skłaniające do ostrych polemik tam, gdzie są manifestami polityczno-feministycznymi, ciekawsze, gdy mowa o literaturze. Tak czy inaczej – to wgląd w idee kształtujące dziś mainstream kultury USA.

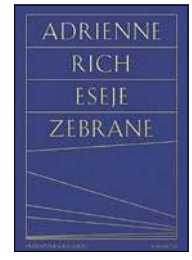

ADRIENNE RICH „ESEJE ZEBRANE" KARAKTER

Rytm życia wielkiego miasta plus dawka niesamowitości, czyli urban fantasy po polsku. Trzynaście opowieści o warszawskiej Pradze, w których fantazja miesza się z nostalgią, bo też stara Praga przechodzi do przeszłości. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

TOMASZ BOCHIŃSKI „ZŁE ULICE. OPOWIEŚCI PRASKIE" STALKER BOOKS

KOMIKS TYGODNIA: „JONKA, JONEK I KLEKS"

Tom pierwszy wydania jubileuszowego zbierającego wszystkie części najbardziej znanej serii polskiej mistrzyni komiksu. Całość liczyć ma trzy części, w pierwszej dostajemy historyjki o Kleksie od jego narodzin do roku 1982. Świetne są materiały dodatkowe, zwłaszcza posłowie Macieja Jasińskiego, które w istocie jest bardzo ciekawą próbą nakreślenia krótkiej biografii Pawel. ©℗

SZARLOTA PAWEL „JONKA, JONEK I KLEKS" STORY HOUSE EGMONT 2024

Piotr Gociek

eprasa.pl 031a5817fa

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Niech żyje król!

Na wystawie „Niech żyje król! Koronacje Sasów na Wawelu" zgromadzono niemal wszystkie pamiątki zachowane po koronacjach Augusta II Mocnego (1697) oraz Augusta III i jego żony Marii Józefy (1734), czyli dwóch ostatnich tego typu uroczystości na Wawelu. Były to kilkudniowe spektakle. „Tworzyły go poszczególne etapy koronacji od momentu elekcji nowego króla, przez uroczysty wjazd do Krakowa, pogrzeb poprzednika, pielgrzymkę na Skałkę, właściwą ceremonię sakry w katedrze krakowskiej, następujący po niej bankiet na zamku, po wieńczący całość hołd mieszkańców Krakowa" – piszą autorzy wystawy.

Do Krakowa ściągnięto m.in. insygnia koronacyjne: korony, berła i jabłka Augusta III i Marii Józefy, ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie oraz naturalnych rozmiarów figurę Augusta II w stroju koronacyjnym ze zbrojowni mieszczącej się w salach Residenzschloss w Dreźnie. Do wawelskich wnętrz wróciła po 300 latach kolekcja sreber, które przywiózł na Wawel August II, by uświetnić ucztę. ©℗

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

GDZIE? ***Zamek Królewski na Wawelu***
KIEDY? ***do 9 lutego 2025 r.***

FOT. DANIEL CZARNOCKI

NOWE ŚWIATY

Wybrane prace wideo z kolekcji Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski. Tytuł wystawy – „Robienie nowych światów zamiast dać spokój" – zapożyczono z prezentowanej na niej pracy Wojciecha Bąkowskiego. „Na wystawie »Robienie nowych światów zamiast dać spokój« przedstawiamy ponad trzydzieści dzieł z lat 1973–2018, które stanowią trzon naszych zbiorów sztuki wideo. Zdecydowana większość to realizacje w technice wideo, ale są też utwory generowane komputerowo czy zapisane na tradycyjnej taśmie filmowej" – pisze kurator wystawy Ewa Gorządek. ©℗

GDZIE? ***Warszawa, Zamek Ujazdowski***
KIEDY? ***do 19 stycznia 2025 r.***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Walcz i tańcz

Francusko-hiszpański trubadur milczał przez 17 lat. W końcu uznał, że znowu należy, opierając się na tanecznych rytmach, głośno zaśpiewać o niesprawiedliwości w dzisiejszym świecie. Powrócił z zaraźliwym albumem, którego tytuł w wolnym tłumaczeniu znaczy „Niech żyje życie".

Jego rodzice uciekli z frankistowskiej Hiszpanii przed prześladowaniami. Ojciec, znany dziennikarz, pochodził z Galicji, a matka z kraju Basków. Wielokulturowość i społeczna niesprawiedliwość otaczały go od dzieciństwa. Może dlatego śpiewa w dziewięciu językach i sympatyzuje z Zapatystowską Armią Wyzwolenia Narodowego.

Poprzednie dwa solowe albumy Manu Chao („Esperanza" i „La Radiolina") cieszyły się u nas sporą popularnością. Najnowsza płyta utrzymana jest w podobnych klimatach. Manu łączy przystępne melodie z żywymi opowieściami przepełnionymi zawadiackim humorem. Tworzy poliglotyczny mash-up muzycznych stylów, który najlepiej można opisać jako world fusion. Śpiewa o uzdrawiającej mocy natury, chciwości, monetyzacji hejtu, uzależnieniu od mediów społecznościowych czy wzroście prawicowego populizmu. Manu Chao pisze piosenki uniwersalne w swej prostocie i proste w swojej uniwersalności. Przy tym słuchając ich, trudno wysiedzieć na miejscu, bo nogi same rwą się do tańca. ©℗

★★★★☆☆
MANU CHAO
„VIVA TU"
BECAUSE MUSIC

★★★☆☆☆
COLDPLAY
„MOON MUSIC"
ATLANTIC
Według milionerów z Londynu „Miłość jest jedyną odpowiedzią", by zapanowało szczęście na świecie. Szkoda tylko, że ten oryginalny, jak sam jego tytuł, album przypomina zestaw B-stron singli. W finale fani śpiewają z Chrisem Martinem mantrę – „In the end, it's just love".

★★★★★☆
YASMIN WILLIAMS
„ACADIA"
NONESUCH
Yasmina w unikalny sposób gra na gitarze akustycznej położonej płasko na kolanach. Na jej trzeciej płycie po raz pierwszy pojawiają się wokale i liczni instrumentaliści ze świata amerykańskiego folku. Frapująca podróż przez krainę retro dźwięków granych na nowoczesną nutę.

eprasa.pl 031a5817fa

FOT. TVP

Ugębianie Gombrowicza

Grzegorz Kondrasiuk

Teatralny Gombrowicz stawał się coraz bardziej prostym demaskatorem Kościoła międzypolskiego, narzędziem do rozbijania czerepu rubasznego, gubiąc gdzieś sprawy Kościoła międzyludzkiego i filozofa egzystencjalistę

Teatr Telewizji pokazał właśnie dwie premiery – ekranowe wersje sztuk biograficznych Macieja Wojtyszki. Pretekstem do tego powrotu są obchody Roku Gombrowicza (z zagadkowych powodów dzieli ten rok z Czesławem Miłoszem, Władysławem Zamoyskim i Wincentym Witosem). Po przeniesionym z Teatru Narodowego udanym „Dowodzie na istnienie drugiego" przyszła kolej na ekranową wersję „Deprawatora", kontynuację pomysłu na dramat o spotkaniach Gombrowicza z kolegami po piórze. Sztuka miała swój teatralny pierwowzór jako premiera warszawskiego Teatru Polskiego w roku 2018. Smaczku dodaje to, że jest to – iście gombrowiczowski oraz dyrektorski – pojedynek na kreację Gombrowicza pomiędzy Janem Englertem a Andrzejem Sewerynem.

Z sequelami jest, jak wiadomo, kłopot. Trudno zaufać „Deprawatorowi", który zaczyna się z wysokiego „C" – zatroskanym Wojciechem Malajkatem deklamującym wiersz „Ryba", taki z nurtu moralistycznego w twórczości naszego noblisty. Główny wątek spektaklu koncentruje się na spotkaniach Miłosza (Wojciech Malajkat) z Gombrowiczem (Andrzej Seweryn): od błahostek, popijaw i wygłupów aż do rozmów o sprawach ostatecznych, przeciętych śmiercią Witolda. Gdzieś pomiędzy tym dwojgiem plącze się Zbigniew Herbert (Paweł Krucz), który – i w zamyśle dramaturga, i w kreacji aktorskiej – najpierw jest nieśmiałą poczciwiną, potem patriotą oburzonym poglądami obu panów na „sprawę polską", czasem przybierającym maskę błazna. Natomiast tło skomponowane jest z kobiet: dzielnych żon i wielbicielek (Janina Miłosz – Grażyna Barszczewska, Rita – Anna Cieślak, gosposia Charlotte – Katarzyna Skarżanka, przedwojenna aktorzyca Iza de Neyman – Magdalena Zawadzka). I to jest największa słabość dramaturgiczna tekstu, odróżniająca go od „Dowodu…". Sztuka cierpi na małą liczbę wyrazistych postaci, sprowadza się głównie do, dobrze przecież znanego z książek, dialogu dwóch gigantów ponad głowami maluczkich.

Decyzje obsadowe idą za takim ustawieniem sensów i hierarchii: racja, którą został tu obdzielony Herbert, wspominający o Katyniu w odpowiedzi na prowokacje Miłosza, nie może się obronić. Wojtyszko młodego aktora przygwoździł i Miłoszem, i Gombrowiczem, a także i Malajkatem, i Sewerynem. Ta zgrabna sztuka pedagogiczna z tezą, napisana po to, by zabrzmieć w niej mogły z namaszczeniem wypowiadane przez Seweryna frazy w rodzaju: „Czesławie, proszę Cię, ratuj tych żałosnych, zakompleksionych, zakochanych w sobie Polaków, którym lekkość, przebaczenie, ironia przychodzą z największym trudem… Tylko my mogliśmy ich wyzwolić… Ale ja już nie mam siły", na co Czesław odpowiada, oczywiście: „Tego już się nie da wyleczyć". Nie szkoda na to kreacji aktorskich? (Czy to nie pierwszy w ogóle Miłosz pokazany w teatrze?). Nie szkoda tematu oraz rzetelnej roboty dramatopisarskiej?

Gombrowicz – jako ikoniczna postać: ironista, cynik, ateusz, „deprawator" właśnie – jest dziś duchowym patronem pewnej formacji. W ostatnich dekadach można wyznaczyć linię jego teatralnych interpretacji, o kształcie równi pochyłej. Punkt startu to Jerzy Jarocki i Jerzy Grzegorzewski. Dalej – realizacje Mikołaja Grabowskiego (nie tylko „Dzienniki", lecz także „Opis obyczajów…"), gombrowiczowskie role Jana Peszka, „Ferdydurke" oraz „Trans-Atlantyk" Janusza Opryńskiego i Witolda Mazurkiewicza, „Ślub" Anny Augustynowicz, „Dzienniki" Andrzeja Seweryna, wspomniane apokryfy Macieja Wojtyszki. I znacznie więcej, bo i Paweł Huelle, i spektakl „Polacy" Gabriela Gietzky'ego o fikcyjnym spotkaniu pisarza z kard. Wyszyńskim. Tylko – im rzeczy nowsze, tym bardziej teatralny Gombrowicz stawał się prostym demaskatorem Kościoła międzypolskiego, narzędziem do rozbijania czerepu rubasznego, gubiąc gdzieś sprawy Kościoła międzyludzkiego i filozofa egzystencjalistę.

Symboliczny jest punkt końcowy. Właśnie nadszedł – w postaci spektakularnego upadku Janusza Palikota, największego wyznawcy i badacza, oraz – samozwańczego realizatora gombrowiczowskiej misji ratunku Polaków przed nimi samymi. Zresztą – u wielu z wyżej wymienionych twórców można było zauważyć objawy utożsamienia z Gombrowiczem, tak jak go sobie wyobrażają. I tak oto pisarz, nie aż tak oczywisty przecież, jak go malują (o czym wiedzieli Michał Paweł Markowski, autor „Czarnego nurtu", czy z innej strony Andrzej Horubała w „Marzeniu o chuliganie"), jest na trwałe już upupiony, jak w finale swojej najbardziej znanej powieści. Dokąd ucieknie, z gębą w rękach – unieruchomiony w roli krytyka polskości? ©℗

„DEPRAWATOR", TEATR TV (2024)
SCENARIUSZ, REŻYSERIA: MACIEJ WOJTYSZKO
DOSTĘPNE NA: VOD.TVP.PL

eprasa.pl 031a5817fa

Sposób na impas

Jerzy Kwaśniewski

Jeśli mamy nie respektować już naszej konstytucji z 2 kwietnia 1997 r. w imię „demokracji walczącej" lub innych instrumentów przejściowych, to niech lepiej już o kształcie ustroju zadecyduje cały naród

Sformułowana przez Jarosława Kaczyńskiego zapowiedź przyjęcia nowej konstytucji przenosi w świat realnej polityki teoretyczne dotychczas poszukiwanie nowej umowy społecznej. Jednak nie daje odpowiedzi, jak wpisać te poszukiwania w ład konstytucyjny III RP, nadając ich wynikowi cechę ustrojowego obowiązywania. Historyczne analogie oraz nauka prawa konstytucyjnego pozwalają nam jednak zarysować rozwiązanie, wymykające się pułapkom politycznych podziałów.

Istotą tej propozycji jest ucywilizowanie sporu, nadanie pozycyjnej wojnie politycznych plemion formy sformalizowanego dialogu, zmierzającego do wypracowania nowej umowy społecznej. Alternatywami są chaos i ostateczny rozpad narodowej wspólnoty politycznej. Co zatem zrobić, by pogłębiająca się polaryzacja nie doprowadziła do ostatecznego pęknięcia narodu politycznego, gdy jakiekolwiek demokratyczne rozstrzygnięcia istoty sporu ustrojowego stałyby się technicznie niemożliwe?

PARTIA PRZED PAŃSTWEM

Nie będę osamotniony w sądzie, że polska ścieżka eskalacji nie jest dzisiaj od tego daleka. Połowa sceny politycznej odmawia uznania dla powołanego do rozstrzygania konstytucyjnych sporów kompetencyjnych Trybunału Konstytucyjnego. Politycy lewicy wzywają ministra finansów do odrzucenia ewentualnie korzystnego dla PiS orzeczenia Izby Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego w sprawie dotacji partyjnych. Jednak ta sama Izba rozstrzygnęła właśnie o ważności wyborów do Parlamentu Europejskiego, a orzeczenie nie było kwestionowane przez zwycięską partię Donalda Tuska. W tym samym czasie rząd powołuje się na doktrynę „sprawiedliwości okresu przejściowego" i „demokracji wojującej" lub „demokracji walczącej", aby przełamać konstytucyjną zasadę nieusuwalności

eprasa.pl 031a5817fa

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

sędziów. Przeciwko temu protestuje opozycja, której nieudane projekty reformy wymiaru sprawiedliwości wpisały się niestety w spiralę delegitymizacji instytucji III Rzeczypospolitej. Rozwijając tę wyliczankę, można dodać, że wciąż dwóch prokuratorów twierdzi, iż sprawuje funkcję prokuratora krajowego, przy czym decyzje jednego z nich są egzekwowane wskutek siłowego przejęcia budynku i gabinetu krajowej prokuratury, a drugiemu, legitymującemu się wyrokiem Sądu Najwyższego, uznania odmawiają nie tylko rząd, lecz także policja.

Kryzys nie jest dla demokracji ciałem obcym. Co więcej, to demokracja powinna najsprawniej radzić sobie z przezwyciężeniem kryzysu. Źródłem jej legitymizacji jest przecież odwołanie do dobra wspólnego i zapewnienie najszerszej debaty publicznej celem realizacji woli obywateli, których kolektywną rangę suwerena poświadcza konstytucja. Punktem odniesienia dla sprawnego, demokratycznego systemu jest bowiem dobro wspólne, stanowiące wartość konstytucyjną wskazaną już w art. 1 polskiej ustawy zasadniczej. Jest ono rozumiane jako wartość dodana, tworzona dzięki optymalnym warunkom rozwoju, które oferuje człowiekowi wspólnota narodowa poddana sprawiedliwemu prawu i ustrojowi.

Podstawowymi wrogami tak pojmowanego dobra wspólnego są partykularyzm i interes grupowy. Wszelki podział partyjny prowadzi, w większym lub mniejszym stopniu, do postawienia interesu grupy ponad dobrem całej wspólnoty. Im bardziej ustrój państwa upodmiotawia partie i polityczne koterie, przyznając im kierowniczą rolę w organach władzy ustawodawczej i wykonawczej, tym pokusa polaryzacji i partykularyzacji polityki staje się silniejsza. Tożsamość partyjna zyskuje pierwszeństwo przed tożsamością obywatelską, lojalność partyjna przed poczuciem odpowiedzialności za wspólnotę, narracja partyjna przed prawdą. Za tym postępują zawężająca redefinicja narodu do własnej grupy albo odrzucenie pojęcia narodu, przejętego przez politycznego oponenta. O upadku demokracji można zatem mówić wówczas, gdy pożądanym i poszukiwanym dobrem stają się dalsza polaryzacja i utrzymanie stanu kryzysu społecznego i politycznego, którego beneficjentami są frakcje budujące swoje tożsamości na fundamencie dychotomii wróg – przyjaciel. Sprawne wcześniej instytucje demokratycznego państwa prawnego stają się wówczas jedynie okopami wyniszczającej wojny pozycyjnej. Sama zaś wojna traci sens kryzysu do przezwyciężenia, a staje się spoiwem całej, podzielonej politycznej oligarchii.

Z taką sytuacją mamy dziś do czynienia w Polsce. Pierwszym przejawem ustrojowej wojny pozycyjnej jest wzajemna delegitymizacja organów państwa, pozostających pod faktyczną lub jedynie rzekomą polityczną kontrolą oponentów. W efekcie tracą na znaczeniu instytucje demokratycznej kontroli; kontrola sądowa i konstytucyjna zostają pozbawione możliwości egzekwowania swych decyzji. Drugim krokiem walki na wycieńczenie przeciwnika jest fala działań o charakterze retorsji, podejmowanych w każdym obszarze skutecznie sprawowanej jeszcze władzy. Rząd odwołuje ambasadorów, jednak bez zgody prezydenta nie może powołać ich następców, zatem na międzynarodowych salonach w kluczowych stolicach obniżana jest ranga polskich misji dyplomatycznych. Ataki polityków koalicji na niezależność NBP wywołują stanowcze reakcje Europejskiego Banku Centralnego. Ofiarami dyplomatycznej kompromitacji i obniżenia inwestycyjnej wiarygodności Polski padają narodowe interesy. Narastająca w cieniu wojny atmosfera bantustanu umacnia narracje snute przez zagraniczne ośrodki, wedle których polska „młoda demokracja" wymaga szczególnego nadzoru i szczególnych standardów dla ochrony praworządności. Stąd zaś płynie uzasadnienie dla ingerencji międzynarodowych instytucji i zagranicznych rządów w polski konflikt. Narodowe interesy, w tym ambitne inwestycje, padają łatwym łupem nadciągających nam z bratnią pomocą demokratycznych sił.

FRANCUSKA LEKCJA

Nieodwracalne rozdarcie państwa i przekształcenie jego instytucji i organów w narzędzia politycznej wojny na wyniszczenie nasuwają różnorakie historyczne skojarzenia. Jedne z nich tragiczne, nawiązujące do dysfunkcyjnego ustroju I Rzeczypospolitej, staczającego się ku partykularyzmowi i dominacji partii zagranicy. Inne są bardziej optymistyczne, a wśród nich szczególnie bliska obecnemu kryzysowi historia narodzin V Republiki Francuskiej.

Nieustanny kryzys parlamentarny i związana z nim niewydolność francuskiego państwa przejawiały zaskakujące podobieństwa do obecnej sytuacji Polski. Trzymające rząd w szachu partie koalicyjne dążyły do realizacji swych grupowych interesów, osłabiając władzę wykonawczą oraz pozbawiając kraj siły koniecznej do przeobrażeń wobec wyzwań powojennego świata czasów zimnej wojny i dekolonizacji, a w szczególności pogarszającej się w drugiej połowie lat 50. sytuacji w algierskich departamentach. Trwająca tam wojna z islamskim Frontem

eprasa.pl 031a5817fa

Wyzwolenia Narodowego (FLN), trudny do udźwignięcia koszt tej wojny i widmo ugięcia się Paryża przed algierskimi independentystami, kiedy na tym terytorium mieszkało ponad milion mieszkańców etnicznie europejskich, tj. trochę ponad 10 proc. ogólnej populacji, przyczyniły się do narastającego napięcia politycznego i doprowadziły w końcu do wojskowego puczu w Algierze. Wzajemny klincz polityczny i brak konstytucyjnych dróg wyjścia przezwyciężono wtedy wyłącznie dzięki odwołaniu do ostatniej przestrzeni konsensusu – nadrzędnemu znaczeniu woli narodu.

Przywołując słowa ojca chrzestnego V Republiki André Tardieu, który podkreślał, że chaotyczna sejmokracja to państwo „bez głowy", a przecież „nie ma ciała bez głowy, nie ma zbiorowości bez szefa", być może powinniśmy przyjrzeć się bliżej kryzysowi, który zrodził skuteczną formę ustrojową. Przykład ten jest tym bardziej inspirujący, że IV Republikę zastąpił ustrój pozwalający Francji powrócić do globalnego koncertu mocarstw, a naprawa Republiki nastąpiła poprzez zerwanie z wcześniejszym ustrojem i zaprowadzenie nowego porządku konstytucyjnego w myśl „zbudowania Francji od zera", przy poszukiwaniu legitymizacji dla nowego ładu w referendalnym zatwierdzeniu procesu zmian przez naród. Patron V Republiki, Charles de Gaulle, pozostawał w tym zakresie wierny swym słowom, że „dla Francji najlepszym sądem najwyższym jest lud. Gdy istnieje rozbieżność lub niemożność porozumienia pomiędzy władzą wykonawczą i ustawodawczą, lub gdy władza ustawodawcza nie jest w stanie osiągnąć większości, najlepszym arbitrem jest lud […]. Tak naprawdę działa demokracja".

Nawet dziś, gdy po 66 latach istnienia V Republika Francuska przeżywa kryzys ustrojowy, a prezydent Macron zawiera sojusz ze wszystkimi siłami lewicy, aby powstrzymać Marine Le Pen przed dojściem do władzy, mało kto we Francji posuwa się do delegitymizacji V Republiki. System pozostaje zatem efektywny.

Nie ulega wątpliwości, że w ramach polskiego systemu wyborczego, zdefiniowanego konstytucyjnym przymiotnikiem „proporcjonalności", zbudowanie większości konstytucyjnej przez którekolwiek z politycznych plemion graniczyłoby z cudem, podobnie jak w IV Republice Francuskiej. A i wówczas przygotowana reforma spotkałaby się z płomiennym sprzeciwem opozycji, zarzutami zamachu stanu i zdrady narodowej lub międzynarodowym lamentem nad łamaniem podstawowych zasad praworządności. Ponawiające się wezwanie do opamiętania i ostudzenia politycznych sporów, pochodzące ze strony organizacji pozarządowych, niezależnych publicystów, a nawet Kościoła, nie może w tej atmosferze paść na podatny grunt.

Być może jednak nie jest jeszcze za późno, a polska demokracja nie weszła jeszcze w stadium agonalne

Być może jednak nie jest jeszcze za późno, a polska demokracja nie weszła jeszcze w stadium agonalne, w którym jedynymi interesami większości są utrzymywanie kryzysu i dalsza polaryzacja. Podobnie jak u zarania V Republiki ostatnim zachowanym poziomem zgodności, którego nie odrzuca żadna z politycznych grup, jest uznanie narodu za suwerena i ostateczną instancję w politycznych sporach. W odróżnieniu od Francji czasów de Gaulle'a brak jest jednak w Polsce zarówno polityka z dostatecznym autorytetem, jak i struktur państwa zachowujących, jak wojsko w upadającej IV Republice, nieupartyjniony osąd rzeczywistości i cieszących się społecznym zaufaniem. Zainicjowanie rozwiązania musi zatem wyjść w Polsce z inicjatywy środowisk pozapartyjnych. Wskazanie modelu IV Rzeczypospolitej nie może zaś być politycznym dyktatem, lecz także musi pozyskać bezpośrednią, demokratyczną legitymizację.

DECYZJA W RĘKACH NARODU

Doświadczenie negocjacji i mediacji uczy, że w sprawach pozornie beznadziejnych należy zacząć od uzgodnienia modelu dochodzenia do porozumienia. Przyjmując zaś za imperatyw, by o nowym ładzie konstytucyjnym zadecydowała nie polityczna kasta, a ogół obywateli, łatwiej jest wskazać kolejne elementy „planu działania". Jego zasadniczym założeniem powinno być oddanie pod decyzję referendalną kilku modeli ustrojowych, z pominięciem najmocniej rozpalających podziały kwestii praw i wolności obywatelskich, aby debatę skupić na naprawie funkcjonowania aparatu władzy.

Do referendum skierowane zostałyby projekty, które w toku prac powołanej i politycznie reprezentatywnej „komisji konstytucyjnej" osiągnęłyby pewien, choćby i nie większościowy, próg poparcia. Przy braku jednoznacznego, politycznego porozumienia sporne kwestie ustrojowe zostałyby przekazane do decyzji suwerena. Wiążące zatwierdzenie tego trybu mogłoby nastąpić w poprawce do konstytucji, zawierającej określenie procedury powołania konstytuanty i trybu poddania wyników jej prac ocenie referendalnej. Przyjęcie tej poprawki stanowiłoby polityczną i wiążącą zapowiedź uznania rozstrzygnięcia dokonanego przez naród. Jeżeli konstytuantę opuszczą dwa, trzy politycznie reprezentatywne projekty, a nawet pięć, to obywatele w głosowaniu zadecydują o tym, który stanie się podstawą ustroju IV Rzeczypospolitej. Ostatnim etapem procesu byłoby zakończenie kadencji władz wykonawczej i ustawodawczej oraz określenie ustroju władzy sądowniczej, aby „restart" przyniósł pierwszym organom trzech władz nowej Rzeczypospolitej realną legitymizację w woli narodu.

Gdy wyniszczająca wojna staje się modus operandi wszystkich stron sporu politycznego, a dobro wspólne i interes obywateli padają ofiarą narastającej polaryzacji, inspirowane narodzinami V Republiki rozwiązanie – choćby i ustrojowo radykalne – sprowadzi spór na nowo w przestrzeń konstruktywnej współpracy i ściśle uzgodnionej metodologii wypracowania nowego modelu ustrojowego i swoistego resetu państwa. Jeśli mamy nie respektować już naszej konstytucji z 2 kwietnia 1997 r. w imię „demokracji walczącej" lub innych instrumentów przejściowych, to niech lepiej już o kształcie ustroju zadecyduje cały naród. Niech wybierze w drodze referendum, jak ułożyć porządek funkcjonowania demokratycznego państwa na kolejne dziesięciolecia. Tak jak zrobili to z powodzeniem Francuzi prawie siedem dekad temu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prezesem Instytutu Ordo Iuris.

eprasa.pl 031a5817fa

Polska a Rosja po wojnie na Ukrainie

Lech Mażewski

Zbliża się moment zakończenia obecnej fazy konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. W sposób oczywisty pojawia się problem, jak miałyby w tej sytuacji wyglądać relacje polsko-rosyjskie? Czy pozostaną jedynie wrogość i przygotowania do wojny z Federacją Rosyjską? Odpowiedzi będą zależały nie tylko od decyzji, które zapadną w Warszawie, lecz także w dużym stopniu od efektu zmagań amerykańsko-chińskich i przekształceń ustroju Unii Europejskiej

Dla globalnego układu sił zasadnicze znaczenie będzie miał wynik wyborów prezydenckich w USA. Zwycięstwo Kamali Harris oznaczałoby zapewne, że w polityce zagranicznej Waszyngtonu niewiele się zmieni, a Stany Zjednoczone, nie będąc w stanie utrzymać swojej hegemonii, powoli będą ustępować pierwszeństwa Chinom, aż w pewnym momencie zobaczymy, że centrum świata przeniosło się z Waszyngtonu do Pekinu. W trakcie tego ewolucyjnego upadku amerykańskiej hegemonii na terenie Eurazji będą powstawały regionalne ośrodki siły, co z kolei może stworzyć szansę dla nas na podjęcie bardziej samodzielnej polityki zagranicznej.

Inna sytuacja byłaby w przypadku sukcesu Donalda Trumpa. Wówczas należałoby się spodziewać, że Waszyngton skupi swoją uwagę przede wszystkim na powstrzymaniu marszu Chin do objęcia hegemonii nad globem i w jakimś stopniu kontrolowaniu w interesie Izraela sytuacji na Bliskim i Środkowym Wschodzie, powoli rezygnując ze swojej obecności w Europie. Zapewne skorelowane byłoby to z procesem osłabiania znaczenia NATO i wyraźnym deklarowaniem ze strony USA, że nie ma żadnego automatyzmu w stosowaniu art. 5 traktatu waszyngtońskiego z 4 września 1949 r., co zresztą zawarte jest w treści tego przepisu. To także mogłoby prowadzić do ważnych przekształceń geopolitycznych w naszym otoczeniu.

PRÓBA FEDERALIZACJI UE

Żeby była możliwa jakakolwiek polska polityka, musimy przeciwstawić się próbie federalizacji UE forsowanej głównie przez Niemcy, acz z przyzwoleniem Francji. Te procesy będą się nasilały wraz ze słabnięciem amerykańskiej hegemonii. Odebranie państwom narodowym w ramach UE możliwości prowadzenia polityki zagranicznej, posiadania armii, dalsze ograniczenia odnośnie do kształtowania polityki gospodarczej, a także zgoda na ujednolicanie stawek podatkowych i ustanawianie kolejnych unijnych podatków muszą sprawić, że Polska stanie się czymś w rodzaju Protektoratu Czech i Moraw, który Niemcy wykreowali po ostatecznym rozbiciu Czechosłowacji w marcu 1939 r. W tej perspektywie wypowiedzi analityków ze Strategy and Future o konieczności przygotowania się do bliskiej wojny z Rosją niewiele muszą mieć wspólnego z naszym interesem strategicznym, skoro o samej wojnie decydować będzie się w Berlinie czy Brukseli, a nie w Warszawie. My jedynie będziemy mieli możliwość umierania nie w swojej sprawie, bo bez dalszego istnienia państwa polskiego, a nie rodzaju unijnego protektoratu, nie da się uprawiać żadnej polityki polskiej, której instrumentem jest posiadanie własnej armii, a nie kontyngentu sił zbrojnych UE.

Załóżmy, że procesy federalizacji Unii Europejskiej nie objęłyby Polski. Możemy sobie wyobrazić, że pod wpływem protestów ze strony ludności czy presji warszawskiego establishmentu Niemcy zgodziłyby się, żeby Rzeczpospolita bardziej przypominała państwo niż unijny protektorat. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, skoro Mikołaj I tak właśnie postąpił w okresie namiestnictwa Iwana Paskiewicza (1832–1856), traktując to jako nagrodę za wygranie przezeń wojny polsko-rosyjskiej z lat 1830–1831 i mając doń całkowite zaufanie. Bez wątpienia było to z korzyścią dla Królestwa Polskiego, bo odsuwało groźbę wcielenia do cesarstwa i uczynienia z Warszawy jedynie Generalnego Gubernatorstwa, których wiele było w Rosji. Być może i tym razem byłoby to możliwe, ale obecnie traktowanie Donalda Tuska przez czynniki brukselskie i berlińskie wcale na to nie wskazuje, bo chyba o niego głównie mogłoby chodzić. Co najważniejsze, nie wiemy, czy możliwy beneficjent wykorzystałby to rozstrzygnięcie,

eprasa.pl 031a5817fa

kierując się interesem Polski, czy też byłby jedynie zachwycony otrzymaniem unijnego namiestnictwa.

RÓWNOWAGA W CZWOROKĄCIE?

Załóżmy, że doszłoby do korzystnych dla nas przemian w globalnym układzie sił, że Polska, z tych czy innych powodów, funkcjonowałaby w ramach sfederalizowanej UE na odrębnych zasadach, a nie prostego protektoratu, a ponadto unijny namiestnik byłby gotów wykorzystać swoją pozycję także w interesie Polski, a nie tylko własnym. W tej korzystnej dla nas sytuacji geopolitycznej o kilku sprawach powinniśmy pamiętać. Przede wszystkim Polska przegrała walkę z Rosją o dominację nad terenami Wielkiego Księstwa Litewskiego. Dziś wiadomo, że wszelkie pomysły dotyczące odbudowy czegoś na kształt jagiellońskiej Rzeczypospolitej sukcesy WKL traktują wyłącznie jako przejaw agresji ze strony Warszawy. Z tym związane jest nieuleganie powstańczemu szantażowi, bo wcale racją bytu Polski nie jest wojna z Rosją, bez czego jakoby przestaniemy być sobą. Liczba klęsk, która spadła na nas z tego powodu, jest trudna do policzenia. I wreszcie należy pamiętać, że podstawowym zadaniem polityki polskiej jest obrona istnienia państwa, jeśli nawet nie będzie ono w pełni suwerenne bądź niepodległe. Łatwiej bowiem w sprzyjających okolicznościach polepszyć status państwa niż budować je od początku, niejako na surowym korzeniu. Pamiętając o tych ograniczeniach, będziemy mogli uprawiać politykę na miarę naszych możliwości, realnie je oceniając.

Nie podzielam przekonania o wybuchu wojny polsko-rosyjskiej w przeciągu najbliższych kilku lat, choć nie da się tego wykluczyć. Dużo zależy od polityki, którą będziemy uprawiali. Koniec dotychczasowej fazy konfliktu nad Dnieprem mógłby dać szansę na podjęcie próby stworzenia nowej formuły w stosunkach polsko-rosyjskich z udziałem Białorusi, a być może także Ukrainy, aczkolwiek zdaję sobie sprawę, z jakimi problemami może się to spotykać. Pytanie: Czy kompradorska klasa polityczna byłaby w stanie wykorzystać nadarzające się przemiany w sytuacji międzynarodowej na korzyść Polski?

Dobrym wzorem dla nas powinna być niemiecka Ostpolitik, zainicjowana przez kanclerza Willy'ego Brandta pod koniec lat 60. ubiegłego wieku, a uwieńczona w latach 1990–1991, po wcześniejszej zgodzie Michaiła Gorbaczowa, ówczesnego sekretarza generalnego KC KPZS, włączeniem NRD do RFN, bo na tym przecież polegało zjednoczenie Niemiec. Od momentu wybudowania muru berlińskiego w 1961 r. zdawano sobie w Bonn sprawę, że klucz do zjednoczenia Niemiec, a wcześniej postępu w stosunkach niemiecko-niemieckich, znajduje się w Moskwie, a nie Waszyngtonie. Istotne jest, że w okresie realizacji Ostpolitik nic się nie zmieniło w sytuacji międzynarodowej RFN. Nadal zarówno pozostawała ona w strukturach paktu północnoatlantyckiego, jak i była częścią wspólnot europejskich, uprawiając jednak odrębną politykę wobec ZSRS. Położenie Polski jest chyba trudniejsze, ale to nie znaczy, że nie należy spróbować ułożyć na nowo relacji z państwami położonymi na wschód od naszych granic.

Zakończenie zbrojnej fazy konfliktu na Ukrainie musi oznaczać dla Zachodu, w tym przede wszystkim dla USA, konieczność poszukiwania jakiegoś modus vivendi z Rosją; na początek choćby ograniczenia nałożonych na nią sankcji. To samo winno odnosić się do Białorusi. Nie wiadomo, dlaczego w procesie odbudowy relacji gospodarczych z Moskwą nie miałaby uczestniczyć Polska. Ponadto bezwzględnie konieczne byłoby wsparcie dla istnienia możliwie niezależnej Białorusi, ktokolwiek sprawowałby tam władzę. Należałoby przychylnie odnosić się do wszelkich dążeń Mińska, mających na celu poluzowanie istniejących zależności od Moskwy. Jeśli chodzi o Ukrainę, to doprawdy nie wiadomo, czy w momencie, kiedy będzie jasne, w jakim stanie jest ona po zakończeniu konfliktu

eprasa.pl 031a5817fa

FOT. ADOBE STOCK

z Rosją, nie nastąpi w Kijowie kolejny majdan, prowadzący do geopolitycznego zwrotu w rodzaju ugody perejasławskiej z 1654 r., kiedy Kozacy zaporoscy zgodzili się na poddanie Ukrainy Rosji. Przecież w takiej sytuacji znajduje się obecnie Gruzja, rozczarowana efektami polityki Zachodu.

Przemiany w globalnym układzie sił nie muszą od razu prowadzić do natychmiastowego opuszczenia przez USA Eurazji, choć tego też nie da się wykluczyć. Ale nawet w takiej sytuacji Waszyngton, nadal będąc liczącym się czynnikiem geopolitycznym, mógłby starać się dbać o równowagę w Eurazji, działając niejako spoza horyzontu. W efekcie w naszej części Europy wytworzyłaby się nowa równowaga sił. Zapewne Stany Zjednoczone nie zaprzestałyby podtrzymywania Ukrainy w imię balansowania Rosji. Ponadto pojawiłyby się Chiny w roli czynnika strzegącego równowagi sił w czworokącie Warszawa – Moskwa – Mińsk – Kijów. Pierwszym sygnałem, że tak może być, jest to, że po ostatniej wizycie prezydenta Andrzeja Dudy w Pekinie nagle ustało napięcie na granicy polsko-białoruskiej. Słowem, Państwo Środka bez żadnych sprzeciwów ze strony innych czynników zaczyna odgrywać rolę podobną do USA, a wcześniej też ZSRS, stając się pozaeuropejskim ośrodkiem siły, posiadającym możliwość współdecydowania o losach zachodnich krańców Eurazji. Ale to znaczy, że również interesy Pekinu, obecnie głównie o charakterze gospodarczym, należałoby uwzględnić w ramach postulowanego czworokąta.

Moja propozycja nie jest aż tak ekstrawagancka czy absolutnie oryginalna, jak mogłoby się wydawać siłom dominującym w polskiej polityce. To przecież marszałek Józef Piłsudski doprowadził w 1932 r. do zawarcia z ZSRS traktatu o nieagresji i w niczym nie stała na przeszkodzie osoba Józefa Stalina, sekretarza generalnego WKP(b). Czy apologeci wodza naczelnego w wojnie polsko-bolszewickiej w latach 1919–1920, wymieniający się u steru władzy w Warszawie, nie mogliby pójść jego śladem? Zdaję sobie sprawę, że bez porównania łatwiej jest wygadywać głupstwa na temat znienawidzonej Rosji putinowskiej niż starać się coś rzeczywiście zrobić dla Polski, ale Piłsudski pokazał, że jest to możliwe, u schyłku życia w imię raison d'Etat wyraźnie zaprzeczając swoim poprzednim poglądom i prowadzonej polityce. Skoro w 1920 r. nie dało się utworzyć naddnieprzańskiej Ukrainy i doprowadzić do ustanowienia Borisa Sawinkowa w roli kolejnego Dymitra Samozwańca, to trzeba było szukać z Rosją porozumienia, taką jaka ona była.

RÓWNOWAŻĄCA ROLA SIŁ HEGEMONICZNYCH

Warszawa po zakończeniu obecnej fazy konfliktu na Ukrainie miałaby nie tylko intensywnie się zbroić. Nowe okoliczności geopolityczne mogą zdecydować o możliwości stworzenia takiego rodzaju regionalnej równowagi, która nie powstałaby przy negowaniu interesów Moskwy. Polska polityka musiałaby uwzględniać realny układ sił, a nie służyć realizacji interesów obcych potencji, opierać się na patriotycznych frazesach, jagiellońskich złudzeniach, moralistycznym oburzaniu się albo demoliberalnym doktrynerstwie. Wiele zależy od tego, czy są nad Wisłą siły, które byłyby w stanie spróbować tego dokonać.

Dużą rolę w tym nowym układzie sił między Warszawą, Moskwą a Mińskiem i być może Kijowem mogłyby odgrywać oba mocarstwa hegemoniczne: zarówno ustępujący w tej roli Waszyngton, jak i Pekin, coraz bliższy do objęcia spadku po USA, dbające o zachowanie regionalnej równowagi. Być może nie byłby to sukces na miarę niemieckiej Ostpolitik, ale jakoś trudno byłoby dostrzec po 1989 r. bardziej znaczące powodzenie dyplomatyczne Polski. Z pewnością nie zostalibyśmy wepchnięci do wojny z Rosją w imię demoliberalnego doktrynerstwa albo bardziej swojskiej „choroby na Moskala", o czym nie wolno zapominać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

Kukliński i zimna

Wojciech Golonka

Przekonują nas, że wojna z Moskalem jest możliwa, a jednocześnie przemilczają fakt, że możliwa stałaby się wojna atomowa

Jedną z najbardziej frapujących rzeczy dla odwiedzających Szwajcarię są wszechobecne schrony atomowe, wprawdzie służące na co dzień w blokach i instytucjach jako piwnice i składy, jednak ewidentnie zbudowane na wypadek wojny nuklearnej i wciąż gotowe do potencjalnego użytku. Jest to spuścizna zimnej wojny, mimo że Szwajcaria nie była jej stroną militarną ani nawet bezpośrednio polityczną, ale jednak była przynajmniej stroną „geograficzną" – dla ówczesnych przezornych Szwajcarów musiało być oczywiste, że ryzyko wojny nuklearnej, mogącej dotknąć także ich kraj, jest na tyle realne, iż warto zainwestować w schrony atomowe w każdej gminie w ich kraju.

W rzeczy samej, trzeba sobie uzmysłowić, że ryzyko to, dziś dla naszej wyobraźni bardzo odległe i wręcz jakby zupełnie abstrakcyjne, było w zasadzie główną obawą epoki zimnej wojny w ogóle, a mianowicie: że konfrontacja militarna Sowietów z Zachodem jest jak najbardziej możliwa, a jeśliby nastąpiła, to przybrałaby wówczas niechybnie również formę konfrontacji nuklearnej.

Wiedział o tym również aż za dobrze nasz rodzimy „atomowy szpieg", płk Ryszard Kukliński, który, jeśli przyjąć za pewnik jego wytłumaczenia (a raczej nie ma podstaw, aby te podważać), podjął współpracę z Amerykanami, aby zapewnić im strategiczną przewagę poprzez dostęp do najściślejszych tajemnic Układu Warszawskiego, celem uniknięcia tejże konfrontacji – będąc błyskotliwym wojskowym planistą, wnioskował na podstawie dostępnych mu planów, że konfrontacja na linii Wschód – Zachód oznaczałaby właśnie zamienienie naszego bożego igrzyska tym razem, dla odmiany, w zgliszcza nuklearne.

ZAKŁAMANIE

Choć nie miejsce tu rozważać, dlaczego ongiś tak do bólu wyrażana przezorność i artykułowana zarazem bojaźń ustąpiły dziś miejsca wspomnianemu już odczuciu abstrakcji, by nie powiedzieć: otępienia w kwestiach możliwej konfrontacji nuklearnej, to trzeba właśnie podkreślić i podważyć to rozpowszechnione zupełnie nonszalanckie i negujące podejście do możliwej konfrontacji atomowej. Jest w tym zresztą bardzo duży paradoks, by nie powiedzieć zakłamanie, kiedy swego rodzaju domyślna narracja propagowana przez media, polityków, a nawet – co jednak zaskakuje – samych czynnych i najwyższej rangi wojskowych (jak np. w przypadku gen. Kukuły, który raz po raz wierzga z ochotą rozprawienia się z Moskalami), głosi, że konfrontacja z Rosjanami jest jak najbardziej możliwa, jeśli nie wręcz pewna (biorąc gen. Kukułę za słowo), a zarazem, strasząc nas nieustannie widmem tej wojny, narracja ta w ogóle nie wspomina, a wręcz jakby celowo pomija, że mogłaby to być jednak, mimo wszystko, wojna nuklearna.

Otóż paradoks ten i jednocześnie zakłamanie (podważające skądinąd racjonalność tej narracji) leżą w tym, że akurat jedną wielką lekcją płynącą z zimnej wojny była właśnie ta, że należało za wszelką cenę uniknąć konfrontacji NATO z Układem Warszawskim, gdyż jeśliby nastąpiła, to bardzo szybko – jeśli nie wręcz od razu – przybrałaby ona postać wojny nuklearnej, w której nie byłoby zwycięzców (mimo, być może, przeciwnych ówczesnych złudzeń sowieckich wojskowych, których spuścizna mogłaby tłumaczyć naszą obecną nonszalancję, razem ze złudnym spokojem „końca historii", obwieszczonym przez Fukuyamę, a przyjętym po 1989 r. za usypiający pewnik).

Tak, skoro nie zdajemy sobie z tego sprawy i jakby celowo nie dopuszczamy takiego scenariusza do słowa, to trzeba

eprasa.pl 031a5817fa

FOT. ADOBE STOCK

wojna, głupcze!

stanowczo podkreślić i przypomnieć: zimna wojna miała wszelkie potrzebne składniki do przerodzenia się w kolejny konflikt światowy o charakterze masowej zagłady, a jeśli to nie nastąpiło, to właśnie dzięki racjonalności i powściągliwości polityków po obu stronach barykady, którzy ostatecznie akurat pod tym względem wykazali się odpowiedzialnością.

ROSJANIE ZMIENILI DOKTRYNĘ

To właśnie z tego powodu należy choćby przyjąć do wiadomości wrześniową modyfikację rosyjskiej doktryny odstraszania nuklearnego, o której pisaliśmy już wcześniej na łamach „Do Rzeczy"; modyfikację stanowiącą w praktyce jej liberalizację w oparciu o doświadczenia i możliwe dalsze perspektywy – nie daj Boże! – wojny rosyjsko-ukraińskiej, a szczególnie w związku z sierpniową inkursją kurską, z której skutkami Rosjanie (a także Ukraińcy!) borykają się aż do dziś.

Samo wyrażenie doktryny odstraszania nuklearnego może być wykorzystane do narracji również stricte propagandowej i z pewnością Rosjanie skorzystali z tej sposobności, ale nie znaczy to, że to sama doktryna jest czystym teatrem, blefem czy propagandą. Wręcz przeciwnie – w tym wypadku zachodni przywódcy najwyraźniej odczytali ją jednak jako wiarygodny przekaz polityczny i, jak się wydaje, dokonali również kroku wstecz, a przynajmniej okazali zasadniczą powściągliwość w kwestii wspierania ataków ukraińskich w głąb Rosji – i to nawet w przypadku dotychczas bardzo pewnych siebie Anglików, o czym dopowiem za chwilę.

A zatem pod koniec września Rada Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej w swej doktrynie rozszerzyła zarówno pojęcie tego, co rozumie przez zasadnicze („egzystencjalne") zagrożenie dla państwa, jak i pojęcie współodpowiedzialności napastniczej, dopuszczając w praktyce możliwość wykorzystania broni atomowej do dodatkowych casusów, powiększając przy tym listę krajów i sojuszów wojskowych, wobec których Rosja prowadzi politykę odstraszania nuklearnego.

Po pierwsze, atak na Rosję ze strony kraju nieposiadającego broni jądrowej, jednakże przy wsparciu bądź udziale państwa nuklearnego, będzie uznawany za wspólny atak. W dobie obecnej jest jasne, że chodzi o mocarstwa atomowe, ze Stanami Zjednoczonymi na czele, wspierającymi Ukrainę, i bez których udziału, choćby wywiadowczo-technicznego, zaatakowanie przez Ukrainę celów w głębi terytorium Federacji Rosyjskiej nie byłoby możliwe.

Po drugie, Białoruś, jako państwo związkowe wobec Federacji Rosyjskiej, zostaje objęta parasolem nuklearnym, czyli atak na Białoruś może się spotkać z odpowiedzią wobec agresorów za pomocą broni jądrowej. Jeśli casus ten, w przeciwieństwie do pierwszego, może na pierwszy rzut oka wydawać się mocno teoretyczny, w praktyce ze strony ukraińskiej zdaje się rozważano, czy opłaca się otworzyć drugi front na Białorusi, wykorzystując antyrządowe nastroje wśród populacji, co ewidentnie, w przypadku np. wojny domowej, przysporzyłoby Moskwie sporo kłopotów w związku z niemałymi tarapatami jej mińskiego wasala.

Zmiana w rosyjskiej doktrynie jest w każdym razie wyraźnym sygnałem wobec Kijowa, doprecyzowanym zresztą później przez Dmitrija Miedwiediewa (wiodącego rzecznika retoryki propagandowej Kremla, a także członka wspomnianej Rady Bezpieczeństwa przy prezydencie Federacji Rosyjskiej), który explicite powiedział, że atak Ukrainy na Białoruś oznaczałby atomowe zniszczenie Kijowa, ku jego uciesze. Casus Białorusi przestaje być również czysto abstrakcyjny, jeśli bierzemy pod uwagę potencjalne starcie na linii Rosja – państwa bałtyckie lub NATO w ogóle, gdyż wedle tych nowych postanowień ewentualna dywersja na terenie Białorusi mogłaby, teoretycznie, spotkać się z odpowiedzią atomową.

Można by jak najbardziej zarzucić, że buńczuczne zmiany doktryny nuklearnej na papierze nie oznaczają z automatu wykorzystania broni jądrowej

eprasa.pl 031a5817fa

w danym przypadku, co zaraz rzeczywiście doprecyzujemy, a także że równie dobrze można przecież zrównać ziemią i samą Białoruś, tyle że w tej ostatniej konfiguracji nie jest żadnym pocieszeniem, iż Warszawa nie poszłaby na dno w samotności, będąc nadal de facto przedpolem konfrontacji atomowej.

Po trzecie, ostatnia znacząca zmiana rozszerzająca omawianą doktrynę stanowi, że dostateczną racją do użycia przez Federację Rosyjską broni jądrowej może być zmasowany atak powietrzny przy użyciu lotnictwa, rakiet balistycznych i supersonicznych oraz dronów – coś, do czego w pewnych warunkach Ukraina, znów ze wsparciem Zachodu, byłaby militarnie zdolna, przeciążając chwilowo zdolności obronne Rosji i zadając jej wówczas dotkliwe straty w pewnych obszarach. Przy czym, tak jak wspomniałem, te trzy nowe kategorie zagrożeń definiujące możliwość zastosowania broni jądrowej nie stanowią automatycznej podstawy, a jedynie obszar możliwości, co potwierdziły oficjalne moskiewskie komunikaty, kładąc nacisk, że ostateczna decyzja o wykorzystaniu broni jądrowej musiałaby uwzględniać również inne czynniki (nie precyzując jakie) i zostać podjęta przez naczelnego dowódcę, w tym wypadku Władimira Putina.

TO JEST CZERWONA LINIA

Kreśląc to podsumowanie wprowadzonych nowości, nie podważam bynajmniej form samoobrony, do których Ukraina ma prawo, i nie ma wątpliwości, że tak sprecyzowana doktryna nuklearna stanowi po prostu brutalne wyrażenie asymetrii sił, dyktowane przez regionalne (światowe?) mocarstwo na swych peryferiach i podane zainteresowanym do wiadomości, bez pytania o ich akceptację. Nie piszę też o tym fakcie gwoli taniej sensacji lub wywołania trwogi, choć osobiście za naprawdę zatrważające uważam, jak już wspomniałem, że zagrożenie, które było oczywiste dla pokoleń zimnej wojny, jest w naszej dobie zbywane jako abstrakcja, a jego podnoszenie spotyka się nawet z zarzutem naiwnego traktowania na poważnie rzekomych blefów Putina. Myślę, że reakcja zachodnich państw ściśle związanych z bieżącym poszerzeniem rosyjskiej doktryny odstraszania nuklearnego wskazuje, przeciwnie, dość wyraźnie, że zostało ono potraktowane jako wiarygodna potencjalna groźba i, mimo wszystko, pewna nieprzekraczalna czerwona linia. Deklaracja ta wiązała się przecież w czasie z „negocjacjami" Kijowa ze swymi partnerami w kwestii możliwości wykorzystania ich pocisków manewrujących w głąb terytorium Federacji Rosyjskiej. Jak wiadomo, Stany Zjednoczone ostatecznie nie udzieliły swej zgody na taki ruch, argumentując do wiadomości publicznej, że Waszyngton obecnie nie widzi znaczących korzyści takiego rozwiązania, ale nie dopowiadając już, co jednak oczywiste, że widzi bardzo poważne zagrożenia związane z takim ruchem.

Waszyngton, Londyn czy Paryż nie chcą wybuchowych konsekwencji dźgania rosyjskiego niedźwiedzia

Bardzo wymowny jest przypadek Wielkiej Brytanii, która już znacznie wcześniej udzieliła swego zielonego światła, przynajmniej medialnie, na tego typu wykorzystywanie swych pocisków Storm Shadow, a która obecnie wycofała się z tej decyzji, zasłaniając się brakiem zgody USA, których systemy nawigacyjne są ponoć potrzebne do obsługi lotu tych rakiet. Media przedstawiły to jako błąd nowego premiera Keira Starmera, który miał niepotrzebnie prosić Joe Bidena o taką zgodę, której nie uzyskał, jednak w rzeczywistości taki rzekomy „błąd" wydaje się o wiele bardziej zakamuflowanym krokiem w tył, skoro Brytyjczycy mieli już świadomość, że z taką decyzją łączy się spore ryzyko, i je na bieżąco ewaluowali.

Z kolei ze strony Francji, która jeszcze na początku roku ustami swego prezydenta i premiera mówiła, że za „wszelką cenę" nie można pozwolić Rosji wygrać na Ukrainie – Francji, która wespół z Wielką Brytanią produkuje wspomniane pociski Storm Shadow – wybrzmiewała w ostatnim czasie, pod pretekstem wymiany rządu, kłopotliwa cisza po spektaklu igrzysk olimpijskich, natomiast obecny nowy i kruchy rząd Michela Barniera w Paryżu nie ma w ogóle najmniejszej ochoty na dodatkowe ryzyka.

Nie przejaskrawiając więc znaczenia liberalizacji doktryny odstraszania nuklearnego Federacji Rosyjskiej, można stwierdzić, że obecnie Waszyngton, Londyn czy Paryż ewidentnie nie chcą potencjalnie wybuchowych konsekwencji dźgania rosyjskiego niedźwiedzia na jego terytorium, a tym bardziej w dodatkowych okolicznościach bardzo niepokojącej eskalacji na Bliskim Wschodzie, która ich także dotyczy. Kijów jest w tej chwili zatem w bardzo trudnym położeniu, ponieważ to dotychczasowe deklarowane cele o przywróceniu Ukrainie jej granic z 1991 r. okazały się jednym wielkim blefem dla naiwnych, obrona reszty terytorium kraju przez ostatnie dwa i pół roku została okupiona bardzo wielkim kosztem ludzkim i materialnym – a i tak ustępuje pod naporem sił rosyjskich, z perspektywą pęknięcia frontu w Donbasie i w Zaporożu – okienko zaś rokowań na korzystniejszych dla Kijowa warunkach zaczęło się mocno zawężać po zerwaniu rozmów w Istambule wiosną 2022 r., a po inkursji kurskiej po prostu zostało obecnie zamknięte.

W takich chwilach pokusa sięgnięcia po kolejną wunderwaffe mogącą odmienić koleje losu, a przynajmniej ratować chwilowo narrację zwycięstwa i sensu wszystkiego, jest jak najbardziej zrozumiała. Pokusie takiej, ma się rozumieć, towarzyszą inherentne dla aktów desperackich ryzyka „na dobre i na złe". Otóż jesteśmy w momencie, w którym Moskwa jednostronnie i z powagą oświadczyła, że możliwe konsekwencje tego typu ruchów poniosą bardzo dotkliwie Kijów i sojusznicy jego desperacji. Warszawa, ustami ministra Sikorskiego, a wcześniej ustami Zjednoczonej Prawicy, dotychczas odrzucała wszelkie tego typu groźby jako blef Putina. Przepraszając za brak delikatniejszego stwierdzenia, trzeba jednak zadać pytanie, jaki jest sens dalszej licytacji w ukraińskiej „rozgrywce", skoro dla „pierwszego żołnierza RP" gen. Kukuły potrzebne podwojenie stawki oznacza wysłanie do gry polskich sił zbrojnych, a wówczas scenariusz atomowy na naszym podwórku na pewno przestaje być czystą abstrakcją. No jaki jest tego sens i gdzie tu jest odpowiedzialność? Kukliński i zimna wojna, głupcze!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

Dla żołnierza astma jak katar

Dariusz Wieromiejczyk

Czy obniżenie kryteriów zdrowotnych zapełni szeregi armii brytyjskiej skutecznymi w walce i gotowymi do najwyższych poświęceń żołnierzami? Można mieć co do tego uzasadnione wątpliwości

Godne uwagi zmiany zachodzą właśnie w siłach zbrojnych Wielkiej Brytanii. Tamtejszy minister obrony, John Healey, ogłosił obniżenie kryteriów zdrowotnych, którym sprostać muszą kandydaci do służby wojskowej. Stwierdził on, że pora już wyrzucić na śmietnik „przestarzałe zasady", niepozwalające potencjalnym rekrutom na dołączenie do szeregów. Na corocznej konferencji Partii Pracy minister Healey ogłosił, że brytyjskie siły zbrojne z wytęsknieniem czekają na młodych pasjonatów gier komputerowych. „Jeśli jesteś świetnym graczem – to twój kraj potrzebuje właśnie ciebie" – stwierdził minister. „Potrzeba nam pilotów dronów. Szybko zmienia się współczesne pole walki, co pokazała wojna na Ukrainie. Ogromna większość strat na tej wojnie to dzieło dronów i artylerii. Umiejętności, które posiadają piloci dronów, w dużej części pokrywają się z tymi, którymi w cywilnym życiu pochwalić się mogą komputerowi wojownicy spędzający czas nad konsolami do gier" – optymistycznie ocenił brytyjski minister.

Kłopot polega na tym, że „wojownicy znad konsoli" często nie odznaczają się najlepszą kondycją fizyczną. W Wielkiej Brytanii istną plagą wśród młodych ludzi stała się chorobliwa otyłość. Liczba cierpiących na nią Brytyjczyków zwiększa się bardzo szybko. W 2021 r. wśród populacji w wieku 25–34 lata chorobliwie otyłych („obese") było 24 proc. Anglików, 34 proc. walczyło ze znaczną nadwagą („overweight"), a jedynie 41 proc. odznaczało się normalną sylwetką. W grupie wiekowej 35–44 lata wskaźniki te były jeszcze gorsze, w normie wagowej utrzymywało się jedynie 34 proc. populacji. Badania dotyczące zwyczajów żywieniowych i trybu życia brytyjskich dzieci wskazują, że w następnych pokoleniach sytuacja może się znacząco pogorszyć.

Dotychczasowe „przestarzałe zasady" przyjmowania do armii wykluczały ze służby wojskowej osoby chore na serce, mające kłopoty z kręgosłupem, ze wzrokiem, słuchem, a także chorujące na schorzenia przewlekłe – takie jak astma. W najnowszych ministerialnych wskazówkach zasady te zostały znacznie poluzowane. „Jeśli leczyłeś się w przeszłości na astmę, to wszystko zależeć będzie od tego, jak dawno temu to było, ile miałeś wtedy lat, jakie były symptomy, a także jak długo i jak ciężko przechodziłeś chorobę" – głoszą najnowsze reguły rekrutacji. Marzeń o mundurze nie muszą już odkładać na przyszłość osoby cierpiące na ciężkie przypadki trądziku. Wskazania z roku 2019 wykluczały ze służby osoby, których trądzik „miałby wpływ na możliwość noszenia ekwipunku wojskowego lub używania specjalistycznego sprzętu". Jeszcze kilka lat temu mogły one rozpocząć służbę „dopiero po udanym wyleczeniu swojego schorzenia", dziś zastrzeżenie to zostało cofnięte.

Czy astmatycy pokryci trądzikiem odwrócą negatywne tendencje w brytyjskiej armii? Pomimo dokonanej w tym roku sześcioprocentowej podwyżki żołdu liczba brytyjskich żołnierzy spada. Rośnie jedynie liczba zaciąganych do zamorskiej służby Nepalczyków – służących w jednostkach Gurkhów. Do wszystkich rodzajów brytyjskich sił zbrojnych, które liczą sobie jedynie 130 660 wyszkolonych i służących w pełnym wymiarze żołnierzy, lotników i marynarzy, wstąpiło w ubiegłym roku 10 660 osób, a opuściło służbę aż 16 140 członków personelu wojskowego. Co warto podkreślić, nie garną się do służby wojskowej liczni w społeczności brytyjskiej muzułmanie. W brytyjskich siłach zbrojnych stanowią oni ok. 0,4 proc., co niepokojąco odbiega od procentowego udziału muzułmanów w społeczności Zjednoczonego Królestwa. Tendencja ta zmniejsza zasoby potencjalnych rekrutów.

> **Czy astmatycy pokryci trądzikiem odwrócą negatywne tendencje w brytyjskiej armii? Pomimo dokonanej w tym roku sześcioprocentowej podwyżki żołdu liczba brytyjskich żołnierzy spada**

Czy obniżenie kryteriów zdrowotnych zapełni szeregi armii brytyjskiej skutecznymi w walce i gotowymi do najwyższych poświęceń żołnierzami? Można mieć co do tego uzasadnione wątpliwości. Podobną metodę stosowano już, bez szczególnych sukcesów, w armii austro-węgierskiej. Tak opisano ją na kartach „Przygód dobrego wojaka Szwejka": „Spośród siedemdziesięciu pacjentów ocalało tylko dwóch: jednemu granat urwał nogę, a drugi miał prawdziwą gruźlicę kości. Tylko ci dwaj nie usłyszeli słówka »tauglich« (zdatny), wszyscy inni, nie wyłączając trzech umierających suchotników, uznani zostali za zdatnych do pełnienia służby wojskowej na froncie".

Sytuacja opisana przez Jarosława Haszka miała miejsce podczas pierwszej wojny światowej, kiedy w imperium Habsburgów kończyło się mięso armatnie. Wielka Brytania wojny dziś jeszcze nie prowadzi, a kandydatów do wojska już rozpaczliwie brakuje. Czy polityka tego państwa wobec konfliktu na Ukrainie – zachęcająca Ukraińców do trwania w nieustępliwym oporze – nie jest też konsekwencją opisanego stanu rzeczy? ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

FOT. MONKPRESS/EAST NEWS

Do czego nam religia w szkole?

Paweł Chmielewski

Nauczanie religii w szkole to gorący temat politycznego sporu. Problem w tym, że w ogniu dyskusji całkowicie ginie podstawowe pytanie: Czemu to nauczanie ma w ogóle służyć?

Przez kilka tygodni toczyła się w Polsce bardzo agresywna debata medialna i polityczna dotycząca lekcji religii w szkole. Obserwowałem ją z dużym zażenowaniem, bo w zdecydowanej większości pomijano w niej to, co najważniejsze, to znaczy pytanie o celowość i skuteczność nauczania tego przedmiotu.

ZABOBON CZY TALIZMAN

Strona rządowa próbowała sprowadzać rzecz do walki z rzekomym zabobonem, sugerując, że religia jest w szkole zasadniczo w ogóle niepotrzebna: zabiera tylko czas, który lepiej byłoby przeznaczyć na angielski albo informatykę, a jeżeli trzeba ją w oświacie w ogóle tolerować, to tylko ze względu na archaiczne zapisy konstytucji, powstałej w dobie nadmiernych wpływów kleru.

Większość krytyków polityki rządu broniła z kolei religii w szkole jako symbolu zwycięstwa z komunizmem, widząc w niej – w całkowitym oderwaniu od faktów – jakiś rodzaj talizmanu mający powstrzymywać Polskę przed upadkiem w aksjologiczną pustkę i ostatni bastion przed totalną ateizacją. Strona kościelna, podzielając w dużej mierze opisane przed chwilą przekonania, wydawała się zainteresowana przede wszystkim jednym, to znaczy utrzymaniem nauczania religii w szkole jako potencjalnego stabilnego źródła finansowania części duchowieństwa. Kwestia pieniędzy wydaje się zresztą kluczowa również dla rządu. Jego przedstawiciele z lubością podkreślali, jak wiele uda się zaoszczędzić dzięki zmianom forsowanym przez Barbarę Nowacką.

SPADEK ZAINTERESOWANIA

Spór był na tyle zajadły i uwarunkowany politycznie, że ostatecznie trafił do Trybunału Konstytucyjnego. Trzeba przyznać, że sytuacja, w której w formalnie zdominowanym przez katolików kraju biskupi toczą z władzami kraju batalię sądową na najwyższym poziomie formalnym, jest wyjątkowo kuriozalna. Jak ta bitwa ostatecznie się zakończy, czas pokaże. Tak naprawdę jednak kwestie dotyczące liczby godzin lekcyjnych w tygodniu, wliczania oceny do średniej oraz ewentualności łączenia grup są, owszem, ważne, ale drugorzędne wobec fundamentalnego pytania: Do czego jest współczesnym Polakom religia w szkole?

Należę do pokolenia, które przeszło w szkole publicznej pełny kurs lekcji religii, od podstawówki aż do liceum. Polska szkoła ma poważny problem z dyscypliną wśród uczniów, a kiedy lekka atmosfera dotyka rzeczy świętych, robi się naprawdę niebezpiecznie. Zwłaszcza wtedy, kiedy – zgodnie z wytycznymi Episkopatu – część przygotowania do sakramentów

eprasa.pl 031a5817fa

odbywa się w przestrzeni kościelnej. Nauczanie religii w szkole – tak to wspominam – było jednym wielkim ośmieszaniem religii. Wiem, że to doświadczenie nie jest odosobnione; zresztą – wystarczy spojrzeć na liczby. Owszem, wśród uczniów szkół podstawowych – to dane przedstawione przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego w 2023 r. – w skali całego kraju na lekcję religii chodzi 88,9 proc. uczniów. Dużo? Tak, ale kiedy tylko dzieci mogą podjąć w tej sprawie samodzielną, niezależną od rodziców decyzję – następuje szybki odpływ. W liceach ogólnokształcących na religię chodzi już tylko 60,1 proc. uczniów, w technikach i szkołach branżowych wynik jest lepszy tylko o kilka punktów procentowych. W przypadku największych miast wygląda to jeszcze gorzej. Ograniczając się do Warszawy: w podstawówkach na religię chodzi 65 proc. uczniów, w liceach już tylko… 27 proc. Spadek zainteresowania lekcjami religii jest w całym kraju duży, a w metropoliach – wprost dramatyczny. W najbliższych latach będzie się tylko pogłębiać, co dla każdego jest oczywiste. Brakuje też coraz bardziej nauczycieli katechetów. Stąd zmiany w organizacji lekcji religii w Polsce są konieczne i same w sobie nie są niczym złym, choć następują w wyjątkowo barbarzyńskiej atmosferze politycznej.

Mnie jako wierzącego katolika najbardziej interesuje jednak to, jak tę okoliczność wykorzysta sam Kościół katolicki. Przyznam, że jestem pełen najgłębszych obaw, bo na razie wszystko wskazuje na to, że nie wykorzysta w ogóle. Kilka tygodni temu uczestniczyłem w konferencji prasowej Episkopatu, w której o przyszłości lekcji religii opowiadały trzy osoby związane z Komisją Wychowania Katolickiego KEP: jej przewodniczący bp Wojciech Osial oraz dwoje konsultorów, ks. dr Marek Studenski oraz dr hab. Aneta Rayzacher-Majewska. Wnioski ze spotkania? Robić dalej to samo, co najwyżej w mniejszym wymiarze godzinowym. Śladów refleksji nad w sumie katastrofalnym stanem nauczania religii w Polsce nie odnotowałem, tak jakby w ogóle nie było się nad czym zastanawiać. Co ciekawe, konferencja promowała „Tydzień Wychowania", inicjatywę Episkopatu, która odbywała się już po raz XIV. Brzmi pięknie i chwalebnie, ale zadam jedno pytanie: Czy ktoś z państwa o tym słyszał, a jeżeli nawet, to czy potrafi wskazać jeden konkretny efekt tych „tygodni"?

Duże wrażenie zrobił też na mnie plan „pozytywny", który przedstawił bp Wojciech Osial. Wychodząc od zmieniającej się sytuacji społecznej, to znaczy marginalizacji chrześcijaństwa, mówił, że nauczanie religii w szkołach może pomóc w humanistycznym oraz etycznym kształceniu dzieci i młodzieży. Bez chrześcijańskiego kodu kulturowego – przekonywał – nie da się przecież zrozumieć naszej historii. Dlatego religia w szkole powinna pozostać, tak jak jest w większości państw Unii Europejskiej. Ten wątek jest bardzo ważny – pojawia się niemal przy wszystkich oficjalnych wystąpieniach strony kościelnej. Humanizm, etyka, zachodnioeuropejska norma. Cóż, po ludzku doskonale to rozumiem. W niektórych krajach unijnych nauczanie religii jest nawet obowiązkowe, a to dla Kościoła i innych związków wyznaniowych oznacza dużą stabilność: jest praca dla duchownych i duchownych katechetów, są środki na utrzymanie wydziałów teologicznych kształcących nauczycieli, jest wpływ – a przynajmniej iluzja wpływu – na profil kształconego obywatela… Także w Polsce nauczanie religii w szkole mogłoby odgrywać w przyszłości wskazaną tu rolę.

NIE KĄSA SIĘ RĘKI, KTÓRA KARMI

Problem pojawia się wtedy, kiedy zadamy pytanie o efekty modelu zachodnioeuropejskiego. Jaki jest poziom religijnej i etycznej świadomości społeczeństwa niemieckiego albo austriackiego, które obowiązkowo nauczane jest religii? Jak wygląda sytuacja we Włoszech, gdzie lekcje religii, choć dobrowolne, są obecne w szkołach dość powszechnie? Odpowiedź jest jasna. W całej Europie Zachodniej utrzymuje się od lat wysokie poparcie dla legalności aborcji, in vitro, antykoncepcji, związków homoseksualnych, konsumpcjonizmu i hiperindywidualizmu. Szerzą się rozwody, rodzina się zwija, nie rodzą się dzieci. Mówiąc krótko, państwowo-kościelna współpraca w dziele edukacji etyczno-religijnej nie przynosi tam żadnych widzialnych pozytywnych owoców. Ponadto państwowa gwarancja dla Kościoła w postaci etatów szkolnych i uniwersyteckich jest dobrym narzędziem choćby pośredniego wymuszania uległości. Nie, żeby Kościół w jakimś kraju ogłosił pełne poparcie dla aborcji, ale biskupi mogą powiedzieć, że legalne dzieciobójstwo jest „filarem życia społecznego" (abp Vincenzo Paglia, Włochy), albo stwierdzić, że w tej sprawie trzeba rozważyć relację między „wagą ochrony życia a prawem do samostanowienia kobiety" (rozliczni biskupi niemieccy). Cóż, nie kąsa się ręki, która karmi. Trzeba pamiętać, że nauczanie religii w szkole publicznej, także w Polsce, było owocem świata, w którym państwo przynajmniej starało się prowadzić chrześcijańską politykę. Religia w szkole prowadzonej przez państwo, które jest programowo ateistyczne i antyklerykalne, to absurd, który kończy się albo z tą religią walką (Francja), albo asymilacją nauczania religii do postaci rozmiękłej etyczności typowej dla systemu demokracji liberalnej (większość Europy).

Co zatem? Czy religię ze szkół należy wyprowadzić, żeby w ogóle odciąć się od związków z laickim państwem? Bynajmniej. Bo kluczowa kwestia nie dotyczy formy nauczania religii w szkole (albo braku tego nauczania), ale tego, co chce osiągnąć Kościół. Czy chce wychować dobrych obywateli demokratycznego państwa liberalnego czy też raczej dobrych katolików? Jeżeli to pierwsze, to niech układa się z rządem, jak mu się podoba. Mnie to w ogóle nie interesuje. Jeżeli jednak to drugie, to powinniśmy pilnie zastanowić się nie nad wymiarem godzinowym, ale nad przekazywaną treścią i jakością nauczania. Dla wychowania dobrego katolika istotne jest ostatecznie nie to, czy będzie mieć jedną godzinę religii w tygodniu ani czy ocena wliczy się do średniej, ale czy dowie się prawdy o Jezusie Chrystusie i Kościele katolickim.

Niczego nie osiągnie się nawet przez 10 godzin lekcyjnych w tygodniu, jeżeli katecheci będą głosić relatywizm, dialogizm i dobroludzizm. Kościół silny, o zdecydowanej tożsamości, zdziała wiele nawet mniejszymi środkami. W dyskusji o przyszłości religii w szkole trzeba sobie postawić najpierw właśnie to fundamentalne pytanie: Czy chcemy, aby lekcje były okazją do poznania jedynego Zbawiciela ludzkości czy też raczej wykładem z „humanistycznej" interpretacji Ewangelii?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 031a5817fa

Popiełuszko na ustach świata

Grzegorz Majchrzak

Wiadomość o zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki wstrząsnęła światową opinią publiczną. Jak reagowały media?

19 października 1984 r. w późnych godzinach wieczornych w okolicy miejscowości Przysiek został uprowadzony przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa (dowodzonych przez Grzegorza Piotrowskiego) ks. Jerzy Popiełuszko. Jego zwłoki jedenaście dni później – przynajmniej oficjalnie – wyłowiono z zalewu na Wiśle w okolicach Włocławka. I stało się jasne to, co wydawało się prawdopodobne już kilka dni wcześniej – od konferencji prasowej ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka, w czasie której ujawniono, że jeden z porywaczy miał się przyznać do zamordowania porwanego księdza – iż Popiełuszko nie żyje. W związku z tymi tragicznymi zdarzeniami Polska po raz kolejny znalazła się w centrum zainteresowania zagranicznych mediów. Porwanie, a potem pogłoski i na końcu potwierdzenie informacji o zabójstwie warszawskiego kapłana były oczywiście szeroko komentowane na Zachodzie. Towarzyszyły temu spekulacje dotyczące głównie tego, czyim mogło ono być dziełem, a także jego potencjalnych konsekwencji.

CZOŁÓWKI ZACHODNICH GAZET

Informacja o morderstwie znalazła się na czołówkach zachodnich (m.in. włoskich) gazet. I tak np. komunistyczny „Il Manifesto" swój artykuł zatytułował „Policja zamordowała kapelana Solidarności". Z kolei jeden z największych opiniotwórczych dzienników „La Stampa" komentarzowi redakcyjnemu nadał tytuł „Brygadziści polskiej rewolucji". Była to wyraźna aluzja do skrajnie lewicowej terrorystycznej organizacji Czerwone Brygady, której członkowie m.in. porwali i zamordowali w 1978 r. włoskiego premiera Aldo Moro.

Z kolei na łamach „Corriere della Sera" stwierdzano: „Za wcześnie dzisiaj na

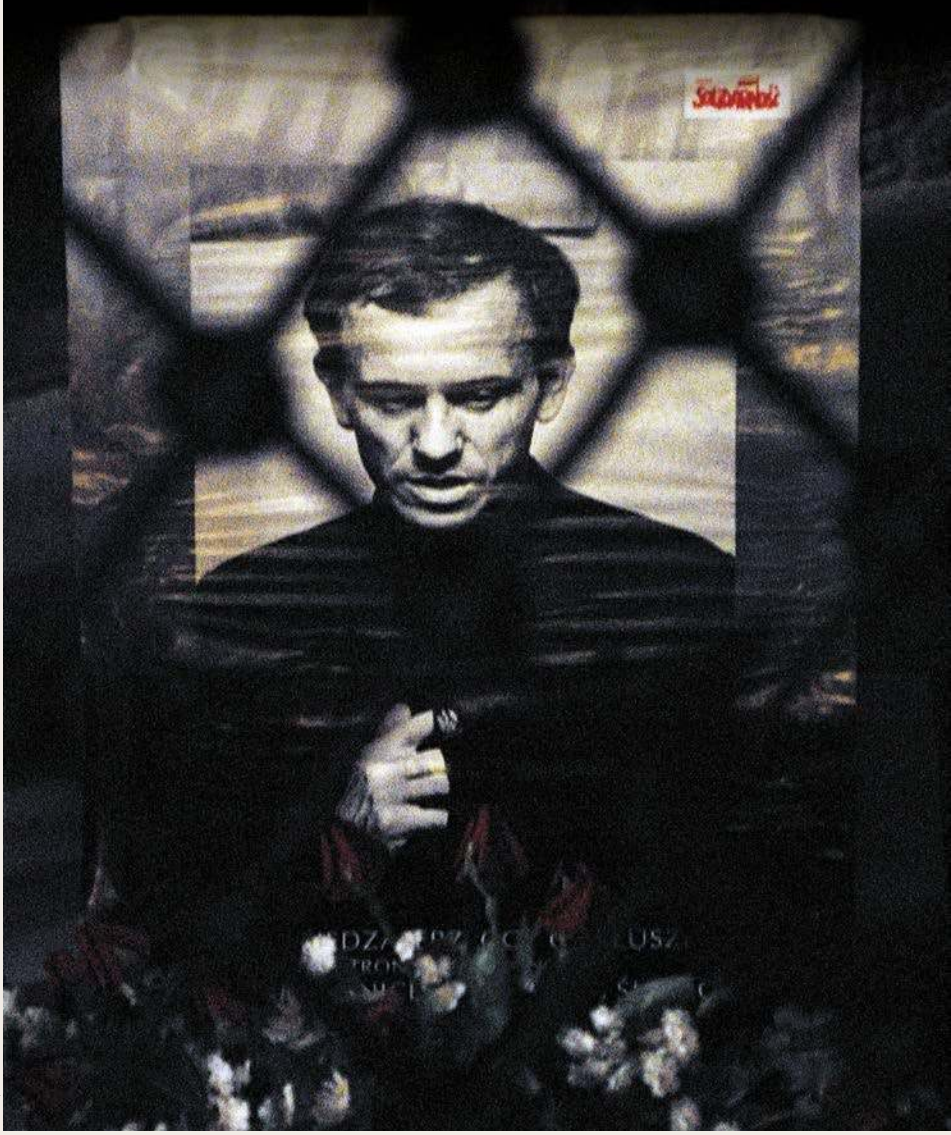

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/EAST NEWS

eprasa.pl 031a5817fa

stawianie pytania, czy zabójstwo Popiełuszki prędzej czy później doprowadzi do zbliżenia pomiędzy rządem i Kościołem. W tej chwili powiedzieć trzeba, że reżim jest wyizolowany, znajduje się pomiędzy młotem tłumionej wściekłości dziesiątek tysięcy robotników, którzy okrzyknęli Popiełuszkę męczennikiem, a kowadłem dogmatyków coraz bardziej niecierpliwych, którzy prowadzą swą działalność na korytarzach Komitetu Centralnego, jednocześnie wysyłając karne ekspedycje w dół hierarchii i na ulice". Natomiast w „Il Giornale" w komentarzu zatytułowanym „Dni zła" pisano m.in.: „Jeżeli Jaruzelski jest w opałach, to Kościół ma ambaras. Kościół starał się zachować powściągliwość w polemice z rządem. Dziś wszakże zmuszony jest stanąć w otwartym polu. Musi oddać cześć swemu poległemu, a także wyrazić oburzenie wiernych".

Z kolei komunistyczny dziennik „L'Unita" podsumowywał, że „nigdy nie doszło jeszcze do tego, by jedna z działających w Polsce grup ekstremistycznych podjęła się samowolnie zamordowania postaci tak emblematycznej, jak ksiądz Jerzy Popiełuszko".

Zamordowanie warszawskiego kapłana odbiło się również szerokim echem we Francji. Jak informował w poniedziałek 29 października „Głos Ameryki": „W sobotę i niedzielę o ks. Popiełuszce mówiono w dziennikach telewizyjnych i radiowych. W poniedziałek sprawie tej poświęcono cały niemal poranny przegląd radia francuskiego »France Interu«". Mord szeroko komentowała oczywiście też francuska prasa. W dzienniku „Le Quotidieri de Paris" Philippe Marcovici stwierdzał, że traktuje go „jako przykład potwierdzający regułę", którą nazwał „po prostu naturą komunizmu". Publicyści innych francuskich gazet zastanawiali się, komu mogło posłużyć zamordowanie popularnego warszawskiego kapłana. Część z nich szła zresztą dalej, np. na łamach „Le Matin" stwierdzano, że należy zastanowić się, „komu została przekazana ofiara", a także „żywa czy martwa". W katolickim „Le Croix" komentarz redakcyjny zatytułowano „Ręka Moskwy". Stwierdzano w nim: „Jeśli nawet przyjąć, że sprawcami uprowadzenia i śmierci księdza byli rzeczywiście działający na własną rękę funkcjonariusze MSW, jeśli rzeczywiście przyjąć, że trwa wewnątrzpartyjna wojna jastrzębi z gołębiami, to stwierdzić należy, czego ani Urban, ani Kiszczak nie uczynili, że partyjni twardogłowi są zdalnie sterowani z Moskwy". I dodawano: „Jaruzelski być może wyciągnie korzyści z tej dramatycznej historii. On – generał wojsk Układu Warszawskiego, wykonawca kremlowskich rozkazów – przedstawi się narodowi jako szczery Polak dzielący ból i oburzenie po owym akcie politycznego bandytyzmu", tym bardziej że – jak zauważano – „Solidarność i Kościół swymi apelami o spokój i wybaczenie przyczyniają się do podtrzymania wersji o spisku partyjnej prawicy".

Również Bernard Margueritte na łamach prestiżowego „Le Figaro" oceniał, że Wojciech Jaruzelski „wyjdzie z twarzą z tej ponurej sytuacji". Twierdził wręcz, że postawa, którą Jaruzelski przyjął po porwaniu znanego warszawskiego kapłana, „pozwoli mu zdobyć społeczne zaufanie", gdyż „decydując się na ujęcie, oficjalne ujęcie sprawców porwania, poniekąd swoich podwładnych, decydując się tym samym na napiętnowanie ludzi prawego skrzydła partyjnego, na powiedzenie całej prawdy i respektowanie prawa jednako wobec wszystkich, pokaże się społeczeństwu jako przywódca, któremu można i trzeba zaufać".

Komunistyczny „Il Manifesto" swój artykuł zatytułował „Policja zamordowała kapelana Solidarności"

Z kolei w lewicowym „Liberation" – w reakcji na informację PAP o wyłowieniu zwłok zamordowanego kapłana – pisano, że pogłoski na ten temat krążyły już pięć dni wcześniej, a informacje na temat porwania i zabójstwa były „dozowanie po kropelce".

AMERYKA KOMENTUJE

Jak informował z kolei na antenie Radia Wolna Europa Jacek Kalabiński: „Jest w amerykańskich komentarzach na temat zamordowania ks. Popiełuszki coś więcej niż samo tylko oburzenie, zgroza i potępienia sprawców zbrodni". W USA spekulowano, że mord jest dziełem „twardej frakcji Służby Bezpieczeństwa", wymieniając dodatkowo w tym kontekście nazwisko członka Biura Politycznego KC PZPR i czołowego reprezentanta „partyjnego betonu" Mirosława Milewskiego. Ale jednocześnie zauważano, że jest to efekt stworzenia przez Jaruzelskiego i Kiszczaka po wprowadzeniu stanu wojennego „policyjnego reżimu". I tak np. nowojorski „Nowy Dziennik" stwierdzał: „Metodą sprawowania władzy stały się więzienia, represje i ustawy zagrażające społeczeństwu. Bez brutalności i bezkarności, jaką planowo wprowadzono, nie byłoby morderstwa ks. Popiełuszki. Jest to morderstwo politycznie i niezależnie od tego, na jakim szczeblu zostało dokonane, odpowiedzialność za nie spada na reżim". I dodawano: „Reżim Jaruzelskiego utrzymuje, że odpowiedzialność spada na opozycję składającą się ze skrajnego betonu wewnątrz partii. Nie robi to najmniejszej różnicy. Beton partyjny jest taką samą częścią systemu, jak tzw. reżimowi liberałowie, którzy wypowiedzieli wojnę własnemu narodowi".

Z kolei w „The New York Times" konkludowano: „Jakiekolwiek są okoliczności tej brutalnej zbrodni reżim Jaruzelskiego nie może po prostu zrzucić z siebie odpowiedzialności za jej dokonanie". I – po przypomnieniu casusu Grzegorza Przemyka – dodawano: „Nigdy jednak w ciągu ubiegłych lat nie miał miejsca atak tak bezczelny, jakiego przykładem jest uprowadzenie ks. Jerzego Popiełuszki". Zdaniem dziennikarzy tego jednego z najważniejszych amerykańskich dzienników „do odpowiedzialności za działanie jego podwładnych powinien zostać pociągnięty przede wszystkim minister spraw wewnętrznych gen. Czesław Kiszczak". Jak bowiem argumentowali: „Po prostu nieprawdopodobne jest to, aby w dzisiejszej Polsce tego rodzaju czyny miały swój początek i koniec na niższych szczeblach władzy państwowej. Wątpliwe jest również to, by minister spraw wewnętrznych popełnił zbrodnię bez akceptacji wyższych władz".

Z kolei na łamach „Albuquerque Tribune" komentowano: „Jeśli kiedykolwiek zostanie napisana historia policyjnej głupoty, to z pewnością znajdzie się tam nazwisko zarówno kapitana Piotrowskiego, jak i nazwiska dwóch jego podwładnych poruczników". Stwierdzano też, że zamordowanie ks. Popiełuszki – mimo apeli polskiego Kościoła i liderów

eprasa.pl 031a5817fa

The Washington Post

FINAL

WEDNESDAY, OCTOBER 31, 1984

107TH YEAR .... No 331

Gunmen Assassinate Prime Minister Gandhi

Polish Priest's Body Found in Reservoir

By Bradley Graham
Washington Post Foreign Service

WARSAW, Oct. 30—The body of the Rev. Jerzy Popieluszko, one of Poland's most celebrated militant priests, was found today by searchers using drag nets in a reservoir at Wloclawek, about 120 miles northwest of Warsaw.

The discovery came 11 days after the charismatic 37-year-old cleric was kidnaped, reportedly by three security police officers who have since been arrested. The kidnaping and subsequent disclosures have shaken the government of Polish leader Gen. Wojciech Jaruzelski.

Confirming the death, which had been widely feared, Polish television this evening said that an autopsy was being conducted and that representatives of the powerful Roman Catholic episcopate were being kept informed of developments.

Throughout the ordeal of Popieluszko's disappearance, church leaders and activists of the banned Solidarity movement have appealed to Poles to show restraint and not be provoked.

In an emotional statement tonight from his home in Gdansk, Solidarity leader Lech Walesa declared sadly, "The worst has happened," but he urged that Popieluszko's death lead to a reconciliation between communist authorities and society and to the start of a new dialogue. "We will all meet at the funeral," he said.

An intensive investigation continued, meanwhile, into who had masterminded the murder. Government spokesman Jerzy Urban told reporters today that there was still no proof of any high-level political or military complicity in the crime. But he hinted at the possibility several times in a prepared statement.

Citing concern for the safety of the three security agents being held on charges of abducting Popieluszko, Urban said the men are under special protection with their guards doubled and their food checked.

The precautions appeared to reflect suspicions that powerful figures in the Polish leadership may try to stop the accused officers from talking. If there were accomplices, Urban observed, they "could be capable of a great deal." Adding to the mystery, Urban also dis-

See POLAND, A12, Col. 2

She Is Shot Repeatedly; Sikhs Claim Attack

From News Services

NEW DELHI, Oct. 31 (Wednesday)—Prime Minister Indira Gandhi was shot to death by her own security detail, last night outside her residence, the United News of India reported.

Gandhi was rushed to the All-India Institute of Medical Sciences, the country's most prestigious hospital, where she died of her wounds.

Sources at the hospital told the Indian news agency that she was shot in the heart and that four bullets lodged in her abdomen. The agency said that according to one report, she had 16 bullet wounds, but this was not confirmed.

The news agency said she was shot by two members of her own security detail and that the two were killed on the spot by other security guards. Without elaborating, the agency also said an officer of the security police was injured and "overpowered."

Several hours after the shooting, an unidentified caller told The Associated Press, "We have taken our revenge, long live the Sikh religion."

[Rasiku Roy, of The Washington Post New Delhi office reported by telephone that hospital sources said Gandhi died shortly after 11 a.m. Indian time. Roy said doctors removed seven bullets.

[Earlier, thousands gathered outside the hospital, a five-minute drive from the site of the shooting. "Everyone leaving the hospital was very grim-faced and rumors repeatedly swept the crowd that Gandhi had died," Roy said.]

The 66-year-old prime minister came out of her house at about 9:20 a.m. to make a video recording when "suddenly, out of the blue, two persons carrying [submachine] guns—one uniformed and one in civilian clothes—shot at Mrs. Gandhi," the Indian news agency said.

"Eight to 10 bullets from the gun hit her. The two persons, stated to be on security duty at the prime ministers' residence, were instantly shot dead," the agency said. Gandhi fell down with a cry, it added, and members of the household and other security personnel rushed to the spot. She was immediately taken to the hospital.

One of the guards allegedly involved in the shooting was identified as Satwant Singh. Singh, which means "lion" in Punjabi, is part of the name of virtually every Sikh. Singh was reported to be injured.

The prime minister had been under heavy security in recent weeks

See GANDHI, A12, Col. 1

Gandhi died of wounds after being rushed to hospital for emergency surgery.

„The Washington Post" z 31 października 1984 r.

opozycji – „nie przebrzmi bez potężnego echa" i „na pewno pogłębi jeszcze przepaść dzielącą, co jest prawdziwie polskie, a więc patriotyzm, katolicyzm i pragnienie wolności, od tego, co jest Polakom obce, to jest narzuconego przez znienawidzoną Rosję komunizmu". I dodawano: „Władcy zasiadający w pałacach w Warszawie i w Moskwie nie usłyszeli jeszcze ostatniego słowa tego dzielnego kapłana, który w chwili śmierci z rąk morderców liczył zaledwie 37 lat. Kościół jego w Warszawie staje się miejscem świętym. Policja reżimu zdusiła fizyczny głos, ale stworzyła męczennika, być może nawet świętego, który zza grobu będzie nadal służył sprawie Polski".

W DALEKIEJ AUSTRALII

Zamordowanie ks. Jerzego Popiełuszki komentowała również prasa austriacka. I tak np. w dzienniku „Krohnen Zeitung" – gazecie o największym nakładzie w tym kraju – napisano: „Polacy w historii zawsze jednoczyli się wokół symboli męczeństwa. Krzyż drewniany, z kwiatów, z drutu kolczastego lub żelaza. Biskup Szczepanowski, ojciec Kolbe, Popiełuszko. Poznań 1956, Gdańsk i Szczecin 1970. Pyjas, Barbara Sadowska i jej syn Przemyk […], katowiccy górnicy, Bartoszcze, Przemyśl, Nowa Huta […]. Żywy ksiądz Popiełuszko był zadrą w oku reżimu. Usunięty Popiełuszko stał się palem wbitym w ciało komunistów". I dalej: „Jest obojętne, czy kiedyś Watykan podniesie go do rangi błogosławionego czy wyniesie na ołtarze. Popiełuszko już dzisiaj stał się dla całego narodu polskiego świętym".

W innym austriackim dzienniku „Kurier" zestawiono mord na warszawskim kapłanie z zabójstwem premier Indii Indiry Gandhi 31 października 1984 r.

Nie zabrakło też komentarzy szwajcarskich. I tak np. na łamach „Neue Zuercher Zeitung" stwierdzano: „Pozbawiony aprobaty społecznej i opierający się wyłącznie na aparacie policyjnym i wojsku rząd partyjno-wojskowy nie może tak łatwo wyprzeć się współodpowiedzialności za dokonaną zbrodnię". Jak bowiem tłumaczono: „Wystarczająco udokumentowana jest wielomiesięczna kampania oszczerstw, pogróżek czy represji przeciwko ks. Popiełuszce. Nie stanowi ona wprawdzie o bezpośredniej współodpowiedzialności za porwanie i zabójstwo, czyni jednak z aparatu rządowego moralnego inspiratora morderstwa". Jak dodawano: „Ta kampania zastraszania, skierowana przeciwko żoliborskiemu duszpasterzowi robotniczemu, rozpoczęła się wkrótce po wizycie gen. Jaruzelskiego w Moskwie. Konstantin Czernienko udzielił mu podobno ostrej nagany za jego politykę wobec Kościoła".

Z kolei belgijski „Le Soir" napisał o możliwych reperkusjach. Na jego łamach stwierdzono, że Wojciech Jaruzelski „marnuje być może historyczną szansę przekształcenia dramatu narodowego w pojednanie z narodem", jego reakcja „w obliczu żałoby narodu" potwierdza zaś, że „nawet jeśli bezpośredni winowajcy zostaną ukarani, to władze nie zmienią się". I dodawano, że będą kolejne ofiary „szwadronów śmierci w Polsce". – „Te ofiary są nieuniknione, gdyż prowokacja stanowi element logiki systemu". Pytaniem – według tego belgijskiego dziennika – pozostawały, kto będzie tą kolejną ofiarą, oraz rola Moskwy. Na koniec zaś stwierdzano: „Generał Jaruzelski przyrzekł przeprowadzenie śledztwa w szeregach Służby Bezpieczeństwa. Jeden z jego poprzedników obiecał to samo po nadużyciach epoki stalinowskiej. Inny po poznańskim powstaniu robotniczym w 1956 r. Jeszcze inny po rewolcie z roku 1968. Żaden z nich nie dotrzymał słowa, nie dotrzyma go też Jaruzelski – nie obcina się gałęzi, na której się siedzi".

Niektóre światowe media porównywały mord na ks. Popiełuszce z zabójstwem premier Indii Indiry Gandhi 31 października 1984 r.

W ETERZE

Do mordu na warszawskim kapłanie odnosiły się również media elektroniczne. I tak np. na antenie Deutschlandfunk Eduard Neumayer spekulował m.in.: „Motywów zamordowania ks. Popiełuszki nie trzeba długo szukać. Była to prowokacja, po której inspiratorzy znajdujący się również w szeregach polskiej Służby Bezpieczeństwa spodziewali się pogłębienia trudności, najwyraźniej także dla reżimu Jaruzelskiego. Być może ich celem było przysporzenie gen. Jaruzelskiemu tylu trudności, by spowodowały one jego upadek. Nie odpowiada im jego polityka normalizacji. Występują oni na rzecz znacznie ostrzejszych środków. A że cel ten – upadek Jaruzelskiego – może jeszcze zostać osiągnięty, nie jest do wykluczenia, nawet jeśli w Polsce po raz pierwszy od

eprasa.pl 031a5817fa

grudnia 1981 r. wydaje się istnieć koalicja wielkiego rozsądku reżimu, Kościoła i zakazanego związku Solidarność, nawołując do zachowania spokoju i rozsądku".

Neumayer – jak wynika z jego komentarza – przychylał się do tezy udziału w tej zbrodni Sowietów, zwłaszcza KGB. I przypominał w tym kontekście nie tylko zamach na Jana Pawła II z maja 1981 r., lecz także na Stefana Banderę z października 1959 r. w Monachium. Z kolei Marek Łatyński (pod pseudonimem Michał Suszycki) w Radiu Wolna Europa rozważał polityczne reperkusje mordu. Co ciekawe, również według niego była to „gra, której celem było odsunięcie od władzy, a co najmniej nieodwracalne skompromitowanie gen. Jaruzelskiego", a „jako pionek w gambicie, który był otwarciem tej gry, poświęcony być miał katolicki ksiądz, znieważony przedtem w bezprzykładny sposób przez Jerzego Urbana – jednego z głównych urzędników gen. Jaruzelskiego – i znieważany czynem przez policję polityczną, na której czele stoi gen. Kiszczak, główny pomocnik gen. Jaruzelskiego". A to – zdaniem Łatyńskiego – odbierało im obu „resztki wiarygodności".

W efekcie – według niego – „dwaj kluczowi ludzie gen. Jaruzelskiego zostali skompromitowani nieodwracalnie". I dodawał: „Terenem owej gry, która się toczy, jest przede wszystkim […], wynika to z wydarzeń ostatnich dni, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych". Ministerstwo, które rzekomo miało nie być w pełni kontrolowane przez Czesława Kiszczaka, a za jego pośrednictwem przez samego Wojciecha Jaruzelskiego. Uważał zresztą, że „tam ekipie gen. Jaruzelskiego najtrudniej poradzić sobie z konkurentami, bo to ona przecież wynosiła publicznie i nieustannie SB i MO ponad inne służby państwowe. To ona dała policji politycznej glejt bezkarności i pozwoliła jej zabić Grzegorza Przemyka oraz tylu innych, których nazwisk nawet czasami się nie zna. Tam, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, jest źródło władzy reżimu komunistycznego Polski lat 80. i to jest miara zwyrodnienia systemu".

Jak dodawał dziennikarz RWE: „Czystka więc w policji w celu przywrócenia jej lojalności wobec rządzącej ekipy musiałaby, żeby być skuteczna, być gruntowna, a to zapewne osłabiłoby policję polityczną nadmiernie, jak na wymagania doktryny, osłabiłoby najsilniejszy wspornik reżimu i nie wiadomo, czy zgodzono by się na to w Moskwie. Oto właśnie dżoker w talii kart, którą jest grana ta gra. Oto ślad moskiewski". Bez zgody bowiem Moskwy – zdaniem komentatora Radia Wolna Europa – Wojciech Jaruzelski nie mógł się pozbyć swoich przeciwników w kierownictwie partii. I dodawał: „Generał Jaruzelski mógłby teraz właśnie, w tej sytuacji psychologicznego szoku, spróbować politycznego otwarcia. Mógłby spróbować poszerzyć podstawy polityczne reżimu, wychodząc naprzeciw aspiracjom społeczeństwa. Gdyby to się mu udało, byłby nad swoimi konkurentami górą".

„Le Soir" pisał o możliwych reperkusjach. Na jego łamach stwierdzono, że Wojciech Jaruzelski „marnuje być może historyczną szansę przekształcenia dramatu narodowego w pojednanie z narodem"

Jednak Łatyński był pesymistą i stwierdzał: „Ale wydaje mi się to opcją nierealną, bo jest jak najbardziej wątpliwe, czy ekipa ta potrafiłaby się na polityczne otwarcie zdobyć i czy gdyby się na nie zdobyła, uwierzono by jej. Wydaje się, że nie". A to miało oznaczać, że „toczyć więc się będzie zapewne dalej, nie jest przecież chyba zakończona, owa gra o władzę wśród nich. Gra, w której w każdym razie jedna z konkurencyjnych grup nie zawahałaby się przed przeniesieniem gry na ulice, przed rozlaniem nieswojej krwi".

Kwestię prowokacji na antenie RWE analizował również Jeremi Sadowski (pod pseudonimem Piotr Sawicki). Mówił on o lansowanej przez władze PRL – różnymi zresztą kanałami – wersji, że porwanie i zabójstwo ks. Jerzego Popiełuszki było rzekomo prowokacją przeciwko ekipie Wojciecha Jaruzelskiego. Według niego miała ona zresztą „niepośledni walor propagandowy". Pozwalała bowiem nie tylko na zrzucenie z niej odpowiedzialności, lecz także dawała możliwość, aby „rozprawić się z własnymi przeciwnikami politycznymi w łonie aparatu". Przy czym „teoria wielkiego spisku" miała też swoje wady. Przypomniała o zależności od Moskwy, a także „zmuszała do postawienia przed sądem" funkcjonariuszy SB, co z kolei miało mieć „oczywisty posmak skandalu".

I trzeba dodać, że choć mordercy stanęli przed sądem, to trudno się oprzeć wrażeniu, że współoskarżonym w ich propagandowym procesie był zamordowany kapłan.

ROGER-VIOLLET : LA MORT DANS UN SIECLE D'IMAGE

Libération

Mineurs anglais : échec de la reprise des négociations

Les tarifs des carburants partiellement libérés en France

PRIX : BÉRÉ LÂCHE LES POMPES

Après l'arrêt de la Cour européenne hier matin, le prix de l'essence commence à baisser en France mais reste en liberté surveillée. Pendant ce temps à Genève, les ministres de l'OPEP négocient un compromis difficile sur la baisse du brut et la bourse de Londres a chuté hier pour le deuxième jour consécutif. Lundi déjà la livre était tombée à son plus bas niveau. Lire pages 2 à 5.

Le spleen des ramasseurs de crottes de chiens

PROCES POPIELUSZKO : LE PROCUREUR RECLAME LA PEINE DE MORT

„Liberation" z 31 stycznia 1985 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl 031a5817fa

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Nowa władza, nowa historia

Oficjalne uroczystości państwowe i samorządowe w Warszawie 26 sierpnia br. ku czci poległych AL-owców to radykalna zmiana tego, co było przez 35 lat. Armia Ludowa była organizacją komunistyczną, podległą Sowietom, i miała określone zadania. Było to przede wszystkim rozpoznawanie organizacji niepodległościowych, zwalczanie ich (w tym napady i morderstwa), czasem nawet wspólnie… z gestapo!

Mijają lata, a podziały w sprawach historycznych są bardzo trwałe. „Komuniści trzymają się mocno", parafrazując Wyspiańskiego. Konieczne jest zatem przypominanie elementarnych faktów, ocenę może sobie każdy sam wyrobić. Jadowita propaganda po 1944 r. miała wyrobić przekonanie, że AL była potężną siłą (towarzysz Gomułka doliczył się aż 100 tys. ludzi, choć przez ich szeregi przewinęło się najwyżej 20 razy mniej bojców), a w powstaniu warszawskim wzięli na siebie… „główny ciężar walki". Natomiast AK jakoby uzgodniła jego wybuch i przebieg z Abwehrą. Nic dziwnego, że dokumenty AL stwierdzały, iż „mamy przed sobą siły dwóch wrogów: faszystę niemieckiego i polskiego"! Ich stan przed powstaniem miał wynosić nieco ponad 400 osób (z tego część wysłano poza Warszawę), a uzbrojenie było szczątkowe: zaledwie 50 sztuk, w tym aż 40 pistoletów.

Raporty dowództwa powstania są dla komunistów kompromitujące. Dezercje ze Starego Miasta, siłowe przejmowanie zrzutów, sztuczne powiększanie stanów. W chwili kapitulacji Starówki mieli w „grupie bojowej" zaledwie 35 osób i 13 sztuk broni (w tym sześć pistoletów). Są też dane z momentu kapitulacji powstania (sami je podali): 278 osób, w tym kobiety, ale razem z tzw. Polską Armią Ludową.

Ważnym szczegółem było przyznanie pod koniec powstania dwóch krzyży VM dla rzekomych oficerów: „por. AL." Edwina Rozłubirskiego (w WP nie służył) i „por. AL." Jana (Jakowa) Szelubskiego (kaprala WP). Miał to być szczególny gest wobec Stalina: oto dwóch żydowskich komunistów odznaczonych przez dowódcę AK! Ale Stalin zapewne nawet o tym nie wiedział.

Ważne jest to, jak Armia Ludowa widziała swe zwycięstwo w powstaniu i co miało wtedy nastąpić: otóż chcieli postawić „poza prawem" i aresztować przywódców „wrogich organizacji". Powstania jednak nie wygrali i nie spełnili swych zdradzieckich, zbrodniczych planów. Ale niestety stało się to nieco później. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Debiut złotego

Przez większość epoki jagiellońskiej polska waluta była jednym z największych problemów gospodarczych kraju. Problemy zaczęły się w czasach Władysława Warneńczyka, którego polityka węgierska zrujnowała skarb państwa. W efekcie mennica królewska w Krakowie produkowała tak słabej jakości denary, że kupcy z obcych krajów nie chcieli ich w ogóle przyjmować. Nie zmienia to jednak tego, że wybito ich ponad 40 mln (!), a każdy z nich zawierał niewiele ponad 10 proc. srebra. Sytuację usiłował ratować Kazimierz Jagiellończyk, ale ogromne koszty wojny trzynastoletniej spowodowały, że mógł tylko powstrzymywać inflację. Nie na wiele zdało się też przyznanie prawa do bicia waluty Gdańskowi, Toruniowi i Elblągowi, gdzie znajdowały się dawne krzyżackie mennice. Teoretycznie podstawowym pieniądzem był jeden półgrosz, który dzielił się na 18 denarów, ale w praktyce większość poważnych transakcji realizowano w walutach uważanych za stabilne. Nie bez powodu gdy król polski wykupywał z rąk najemników krzyżackich zamek w Malborku, miał zapłacić w złotych florenach.

Inflacja była jednak coraz większa i pod koniec XV w. szlachta prosiła króla podczas obrad sejmowych, by „już bardziej nie psuł waluty". Srebra w polskich monetach było jednak coraz mniej, a do tego krajowy handel zalewały półgrosze wybijane w Świdnicy na Śląsku. Były one jeszcze gorszej jakości niż polskie i powiększały inflację, ograniczając też dochody skarbu.

Sytuacja wymagała pilnej interwencji. Jeszcze za czasów Jana Olbrachta ustalono, że złote monety wybijane w Polsce będą się dzielić na 30 groszy (ten podział miał się utrzymać aż do połowy XIX w., kiedy to Rosja oficjalnie wprowadziła ruble zamiast złotych w Królestwie Kongresowym).

Problemem było jednak to, że chociaż oficjalnie wprowadzono złotego polskiego, to jednak moneta ta jeszcze nie istniała. Była to tylko jednostka obrachunkowa, a płacono złotymi florenami czy weneckimi cekinami mającymi identyczną wartość.

Zygmunt Stary, chcąc uporządkować sytuację, wydał kolejno siedem ordynacji menniczych (pierwsza 15 października 1526 r.), a osiem lat później pojawiły się polskie talary, czyli srebrne monety o wartości florena. Niebawem zaczęto na nie mówić złote.

Elżbieta Habsburżanka, wychodząc za Zygmunta Augusta, otrzymała w posagu 105 kg złota, co wreszcie umożliwiło emisje prawdziwych złotych. Ważniejsze było jednak, że polską walutę oparto na stabilnych kursach w stosunku do metali szlachetnych, co zapewniało bezpieczny eksport na Zachód zboża i drewna, a zatem wzrost zamożności szlachty. ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

FOT. ADOBE STOCK

ROŚLINY MOGĄ NAZYWAĆ MIĘSEM

Francuski rząd dwa lata temu wprowadził ograniczenia dla producentów wegetariańskiej żywności. Od tej pory nie mogli nazywać swoich roślinnych produktów kiełbasą, szynką czy stekiem. Chodziło m.in. o to, by konsumentów nie wprowadzać w błąd. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzekł, że zakaz był niezgodny z prawem, bo jeśli powszechnie używane terminy nie mają definicji prawnych, to nie można zakazać ich stosowania.

DZIEŁO SZTUKI DO KOSZA

Konserwator windy holenderskiego muzeum LAM w Lisse znalazł w niej dwie puszki po piwie. Skoro znalazł śmieci, to wziął je i wyrzucił do kosza. Okazało się, że to ręcznie malowane „dzieło sztuki", które postanowiono prezentować w nietypowym miejscu. Kuratorka muzeum zauważyła je w koszu i zdążyła uratować. Puszki umieszczono na cokole, by nikt już nie miał wątpliwości, że to sztuka.

BOŻE NARODZENIE W WENEZUELI

1 października rozpoczęły się w Wenezueli święta Bożego Narodzenia. Bo tak zarządził w tym roku prezydent Nicolas Maduro. Ciepła atmosfera miała prawdopodobnie przykryć wiele kłopotów, z którymi jego wyborcy się borykają. Nie przykryła. Mimo dekoracji w miastach i sklepach ludzie twierdzą, że nie ma radości i że często brakuje im pieniędzy na jedzenie.

PREZYDENCKI PLAGIAT?

Prezydent Argentyny wygłosił ogniste przemówienie na sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku. Zebrał brawa i pochwały. Zachwyt jednak szybko minął, gdy dziennikarze wskazali, że treść przemówienia Javiera Milei do złudzenia przypominała monolog wygłoszony przez aktora Martina Sheena, który grał Jeda Bartleta ponad dwie dekady temu w serialu „Prezydencki poker".

PODANIE ZWRÓCONE PO 50 LATACH

Tizi Hodson z Wielkiej Brytanii, gdy miała 20 lat, marzyła o karierze kaskaderki motocyklowej. W 1976 r. w odpowiedzi na ofertę wysłała list motywacyjny. Nigdy nie otrzymała odpowiedzi. Do teraz. Czterdzieści osiem lat później zwrócono jej przesyłkę z adnotacją, że list znaleziono za szufladą urzędu pocztowego – nigdy nie dotarł do adresata. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trump, Harris i Polacy

Wybory w USA już za trzy tygodnie (we wtorek 5 listopada). Najnowsze sondaże pokazują, że na ostatniej prostej kandydaci idą łeb w łeb. Kamala Harris w niektórych badaniach ma jeszcze dwa–trzy punkty procentowe przewagi, w innych podobnym rezultatem pochwalić się może Donald Trump.

Korzystny dla byłego prezydenta trend widać np. na platformie Polymarket, na której gracze głosują własnymi pieniędzmi. Trump wygrywał tam w zeszłym tygodniu 53,3 proc. do 46 proc. Sytuacja robi się tak napięta, że część członków Partii Demokratycznej zaczyna się zastanawiać, czy nominacja Harris, która wciąż unika tych dziennikarzy, od których mogłaby usłyszeć trudniejsze pytanie, nie była błędem. Sondaże pokazują, że Amerykanie bardziej ufają Trumpowi w kwestiach gospodarki (kluczowych dla wielu Amerykanów). Harris ma też kiepskie notowania u mężczyzn – i to nie tylko białych, lecz także czarnych i Latynosów. Walka o wynik głosowania będzie więc bardzo zacięta.

Harris i Trump biją się więc o każdy głos, w tym o poparcie mieszkających w USA Amerykanów polskiego pochodzenia. Podczas wrześniowej debaty telewizyjnej Harris sugerowała, że gdyby to Trump był teraz prezydentem, to „Putin siedziałby już w Kijowie i spoglądał na Polskę". Zwróciła się też do Trumpa, aby powiedział Amerykanom polskiego pochodzenia w Pensylwanii, co oddałby za przysługę od Putina...

Donald Trump oznajmił w ubiegłym tygodniu, że to kłamstwo, iż zostawiłby Polskę na pożarcie Rosji. – Nikt nie zrobił więcej dla Polaków niż ja – podkreślił w wywiadzie dla TV Republika, dodając, że „kocha Polaków" i liczy na ich głosy... ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

Manifestacja szyitów w Libanie potępiająca zabójstwo przez Izrael przywódcy Hezbollahu Hassana Nasrallaha FOT. R.SATISH BABU/AFP/EAST NEWS

Izrael, ojciec chrzestny Hezbollahu

Witold Repetowicz

Hezbollah nie jest błogosławieństwem Libanu, lecz jego przekleństwem. Nie powstałby jednak, gdyby nie Izrael. To owoc pierwszej wojny libańskiej, a druga spowodowała, że Liban stał się jego zakładnikiem. Optymiści twierdzą, że obecna trzecia wojna libańska spowoduje jego zniszczenie, ale może też doprowadzić do pełnego zawłaszczenia państwa przez tę organizację

Pół wieku temu, przed wybuchem wojny domowej w Libanie, ojcowie i dziadowie dzisiejszych bojowników Hezbollahu, czyli szyiccy Libańczycy, mieli dość ambiwalentny stosunek do Izraela i Palestyńczyków. Szyici w Libanie byli zbyt zajęci własnymi problemami, by przejmować się losem znacznie zamożniejszych przybyszów z południa. Poza tym Palestyńczycy byli sunnitami, a ci w Libanie pod rządami osmańskimi byli faworyzowani. W rezultacie przez kilkaset lat szyici stanowili najniższe warstwy w tym kraju o niezwykle skomplikowanej mozaice religijno-etnicznej. Byli po prostu biedotą wykorzystywaną przez sunnickich, druzyjskich i chrześcijańskich feudałów. Orzącą w polu i niemającą czasu na politykowanie, gdyż ten trzeba było poświęcić na wiązanie końca z końcem.

Po rozpadzie imperium osmańskiego i ustanowieniu w Libanie mandatu francuskiego faworyzowani zaczęli być chrześcijanie, zwłaszcza maronici, co przyczyniło się do narastania antagonizmu sunnicko-chrześcijańskiego. Chrześcijanie chcieli Libanu niepodległego, ale ściśle związanego z europejskim Zachodem, a nie ze światem arabskim. Dotyczyło to w szczególności założonej w 1936 r. przez Pierre'a Dżumajjila nacjonalistycznej Falangi, wzorującej się na włoskich faszystach i hiszpańskich frankistach. Tymczasem sunnici widzieli

eprasa.pl 031a5817fa

Liban jako sztucznie oderwany od świata arabskiego, a zwłaszcza Wielkiej Syrii, która jeszcze nie była wówczas rządzona przez alawickich sekciarzy z rodziny Asadów. Szyici niczego nie widzieli, bo się nie liczyli, a także nie mieli znikąd wsparcia, bo jedyny szyicki kraj w regionie, czyli Iran, był daleko, a szach był zajęty ważniejszymi sprawami niż jacyś arabscy wieśniacy.

W tym czasie chrześcijanie w Libanie stanowili ponad 55 proc. populacji, podczas gdy sunnitów było niespełna 20 proc., a szyitów – 17 proc., resztę zaś stanowili Druzowie. Gdy w 1943 r. Liban uzyskał niepodległość, zawarto też Pakt Narodowy, zgodnie z którym sunnici zobowiązali się nie dążyć do zjednoczenia Libanu z Syrią, a chrześcijanie zaakceptować arabski charakter Libanu i nie dążyć do wzmacniania wpływów europejskich. Podzielono też stanowiska: chrześcijanie utrzymali najważniejszy urząd, tj. prezydenta (a także szefa armii), sunnici dostali bardzo ważny urząd premiera, a szyici najmniej ważne stanowisko przewodniczącego parlamentu. Poza tym szyitom przypadło osiem miejsc w 55-osobowym parlamencie. Później, wraz ze zwiększeniem liczby miejsc w parlamencie do 99, ich udział został powiększony do 19 miejsc.

NIECHCIANY SĄSIAD

Rok 1948 przyniósł niezwykle istotną zmianę na mapie Bliskiego Wschodu. Liban zyskał niechcianego sąsiada w postaci Izraela, a następnie wziął udział w przegranej wojnie koalicji państw arabskich, po czym do Libanu ściągnęło ok. 100 tys. palestyńskich uchodźców, w większości sunnitów, naruszając w ten sposób konfesyjną równowagę tego niewielkiego państwa. Gdy wybuchła wojna sześciodniowa, ówczesny prezydent Charles Helou zdołał powstrzymać wzięcie udziału w niej przez Liban, ku niezadowoleniu panarabsko nastawionych sunnitów i Druzów. Po arabskiej klęsce w Libanie powstał propalestyński Libański Ruch Narodowy, w którym byli sunniccy nacjonaliści panarabscy, sympatycy Syrii, a także komuniści i lewicowo-panarabscy chrześcijanie oraz Druzowie. Szyitów trzeba by tam było ze świecą szukać. W 1971 r. król Jordanii miał dość Organizacji Wyzwolenia Palestyny i ta przeniosła się do Libanu, skąd zaczęła ostrzeliwać Izrael. W latach 80. ich głównym patronem stał się sunnicki władca Iraku Saddam Husajn, prowadzący jednocześnie wojnę z Iranem i mordujący szyitów w swoim kraju. Ale wcześniej rodzina Dżumajjilów miała dość Palestyńczyków, więc bojówki Falangi ruszyły robić z nimi swoje porządki. Tak w 1975 r. zaczęła się libańska wojna domowa, w której po jednej stronie stanęli prawicowi chrześcijanie, a po drugiej panarabscy sunnici i lewicowi sympatycy Palestyńczyków.

Gdy w zdominowanym przez szyitów południowym Libanie Palestyńczycy stworzyli antyizraelską guerillę, a następnie w 1978 r. Izrael dokonał pierwszej inwazji i utworzył buforowe państewko marionetkowe o nazwie Państwo Wolnego Libanu pod rządami grupy maronickich kolaborantów, szyici nadal nie odgrywali większej roli, choć istniał już wówczas ruch Amal (o którym za chwilę). Od „Republiki Południowego Libanu" odcięła się większość libańskich chrześcijan, ale gdy w czerwcu 1982 r. Izrael zaczął nową inwazję na Liban, Dżumajjilowie zaczęli rozważać dogadanie się z nim. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, bo gdy w sierpniu 1982 r. Baszir Dżumajjil został prezydentem, nie dożył zaprzysiężenia, gdyż wcześniej zamordowali go prosyryjscy nacjonaliści.

Żeby zrozumieć, jak szyici weszli do gry, trzeba się cofnąć do lat 60., gdy do Libanu z Iranu przybył Musa Sadr, najważniejsza postać w historii libańskich szyitów. Urodzony w irańskim Kom Sadr pochodził z bardzo wpływowej rodziny szyickich ajatollahów, mającej liczne rozgałęzienia w Iraku, Iranie i Libanie. Korzenie Sadrów tkwiły jednak w południowolibańskim Dżabal Amal, w którym aktywność religijną prowadził na przełomie wieków XVIII i XIX patriarcha rodu Sadr ad-Din bin Saleh. Misją Musy Sadra było zorganizowanie społeczności szyickiej w Libanie, tak by przestała ona być najbardziej upośledzoną warstwą tamtejszego społeczeństwa w czasach, gdy napięcia między grupami konfesyjnymi narastały. W tym celu w 1969 r. założył Najwyższą Radę Islamską Szyicką, a rok przed wybuchem wojny domowej – Ruch Amal. W tworzeniu tej organizacji brali zresztą udział też chrześcijanie, w tym duchowni, tacy jak arcybiskup melkicki Grégoire Haddad.

Sadr pozostawał w ścisłym kontakcie z irańskimi islamistami, w tym Ruhollahem Chomejnim, ale jego celem nie było doprowadzenie do rewolucji islamskiej w Libanie. Wręcz przeciwnie – po wybuchu wojny domowej ogłosił nawet głodówkę, by zaprotestować przeciwko walkom między grupami konfesyjnymi, a Amal pod jego przywództwem nie włączył się do działań zbrojnych. Sadr zrobił jeszcze jedną ważną rzecz – przekonał irańskich szyitów, że syryjska sekta alawitów, rządząca Syrią od 1971 r., to również szyici (co z religijnego punktu widzenia jest wielce wątpliwe). Chodziło o to, by zapewnić szyitom w Libanie zewnętrzne wsparcie kraju, który od 1976 r. okupował znaczną część Libanu. W 1978 r. Sadr poleciał do Libii spotkać się z Muammarem Kaddafim i w czasie tej podróży zniknął. Według najbardziej prawdopodobnej wersji libijski dyktator kazał go zamordować w trakcie spotkania ze względu na różnice zdań.

Rok później w Iranie wybuchła rewolucja islamska, ale Amal nadal nie chciał brać udziału w libańskiej wojnie domowej, i to mimo że w 1980 r. OWP próbowała zamordować jego lidera Husajna al-Husejniego za to, że jej nie wspierał przeciwko chrześcijanom. Husejni wycofał się jednak, a nowym przywódcą Amalu został Nabih Berri, który jest nim do dziś. Brak Musy Sadra spowodował jednak osłabienie więzi między Syrią a irańskimi islamistami, którzy w tym czasie przeprowadzili w Iranie rewolucję i stworzyli Republikę Islamską. Ortodoksyjny religijnie Chomejni nigdy tak naprawdę nie uznał Asadów i innych alawitów, pijących alkohol i pozwalających swoim kobietom chodzić bez chust, za muzułmanów. Z kolei Syria była wówczas znacznie silniejsza, niż jest obecnie, i nie potrzebowała wsparcia Iranu. Dlatego młoda Republika Islamska Iranu tylko czekała na okazję, by wbić nóż w plecy Amalowi i syryjskim wpływom w Libanie.

Tą okazją była inwazja izraelska na Liban w 1982 r. Pustka, która została stworzona w południowym Libanie po wyparciu OWP, stworzyła Iranowi niepowtarzalną i świetnie wykorzystaną okazję, by namówić bardziej

eprasa.pl 031a5817fa

radykalną grupę szyickich duchownych i działaczy Amalu do stworzenia nowej organizacji, czyli Partii Boga, Hezbollahu. Szyici, którzy jak dotąd nie widzieli ani w chrześcijanach, ani w Żydach swoich wrogów, nagle stali się główną siłą antyizraelską w Libanie. Po latach jeden z izraelskich premierów, Ehud Barak, powiedział: „Kiedy weszliśmy do Libanu… nie było Hezbollahu. Zostaliśmy przyjęci perfumowanym ryżem i kwiatami przez szyitów na południu. To nasza obecność tam stworzyła Hezbollah".

CELE HEZBOLLAHU

Od samego początku aktywność Hezbollahu odbywała się na trzech odcinkach. Po pierwsze, walczył z izraelską okupacją południowego Libanu, stosując walkę partyzancką. Uderzył też w siły międzynarodowe stacjonujące w Bejrucie, mordując 368 osób w dwóch zamachach przeprowadzonych 18 kwietnia i 23 października 1983 r., w tym ponad 250 Amerykanów i 58 Francuzów z sił pokojowych. Po drugie, zwalczał wszelką konkurencję wśród szyitów. Amal pierwsze swoje starcia zaliczył nie z chrześcijanami czy Izraelem, ale właśnie z Hezbollahem. Amal początkowo zresztą był górą, ale po wycofaniu się Syrii z Libanu w 2005 r. stracił protektora, a druga wojna libańska w 2006 r. ostatecznie spowodowała dominację Hezbollahu. Po raz drugi Izrael zrobił wielki prezent tej organizacji i Iranowi, niszcząc tym samym piękny kraj cedrów. Wreszcie po trzecie, celem Hezbollahu było ustanowienie w Libanie republiki islamskiej na wzór irański, przy czym Najwyższym Przywódcą miał być Chomejni, a następnie Chamenei. Hezbollah odrzucał więc suwerenność Libanu na rzecz pełnego podporządkowania Iranowi, a chrześcijanie mieli się po prostu podporządkować. Już w 1982 r. w Dolinie Bekaa Hezbollah proklamował powstanie „Islamskiej Republiki Libanu", a na kontrolowanych przez siebie terenach wprowadził zakaz alkoholu, obowiązek noszenia chust przez kobiety oraz inne islamskie zasady, takie jakie już obowiązywały w Iranie.

W 1989 r. wojna domowa się zakończyła zawartym w Taif porozumieniem, które zwiększyło udział muzułmanów, w tym szyitów, we władzach. Wojna spowodowała też zmianę demograficzną, zwiększając odsetek szyitów do ponad 30 proc., głównie kosztem chrześcijan. Szyici zadowolili się jednak 27 miejscami w 128-osobowym parlamencie, gdy chrześcijanie mają ich 64. Hezbollah rozwinął natomiast taktykę organizowania zamachów na przeciwników politycznych, a także wymuszania ustępstw poprzez blokowanie wyboru prezydenta. Pierwszy prezydent, wybrany po porozumieniu w Taif, René Moawad, został zamordowany po dwóch tygodniach. W 2005 r. zamordowany został natomiast sunnicki premier Rafik Hariri, co spowodowało wybuch rewolucji cedrów i ostatecznie wycofanie się wojsk syryjskich.

Izrael dziesiątkuje kierownictwo Partii Boga, ale wątpliwe, by zdołał ją zniszczyć. Hezbollah zachowa zdolność do walki o swą pozycję w Libanie

W 1992 r. Izrael de facto utorował drogę do przejęcia władzy w Hezbollahu Hassanowi Nasrallahowi, zabijając jego poprzednika Abbasa Musawiego. Nowy lider okazał się znacznie bardziej szczwanym lisem zdolnym do manipulowania libańską polityką, a atak Izraela w 2006 r., ochrzczony drugą wojną libańską, pozwolił mu ogłosić się zwycięzcą i obrońcą Libanu. Przy okazji Hezbollah schował swój cel, tj. wprowadzenie ustroju republiki islamskiej, ale nigdy go nie wykreślił ze swoich dokumentów. Warto dodać, że po zakończeniu wojny domowej bojówki wszystkich stron zostały rozbrojone. Z wyjątkiem Hezbollahu, który w ten sposób zignorował kilka rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ i ogłosił się „ruchem oporu" przeciwko okupacji izraelskiej. Wprawdzie ta zakończyła się w 2000 r., ale pretekstem było niezwrócenie skrawka Wzgórz Golan, tj. Farm Szeba.

Pozycja, którą Hezbollah zyskał po wojnie w 2006 r., pozwoliła mu na kontrę wobec rewolucji cedrów i zbudowanie własnego obozu o nazwie Sojusz 8 Marca. Oprócz Hezbollahu znaleźli się w nim skanibalizowany Amal, którego starzejący się lider Nabih Berri jako przewodniczący parlamentu (od 1992 r.) stawał się powoli bezwolnym narzędziem Partii Boga, a także polityczni klienci z różnych innych grup konfesyjnych, pozyskani dzięki odpowiednio skonstruowanej ordynacji wyborczej oraz polityce kija i ołowiu stosowanej wobec konkurentów politycznych. Ostatni przekonał się o tym polityczny aktywista i dziennikarz szyicki, przeciwnik Hezbollahu, Lukman Slim, zamordowany w 2021 r. Do bloku tego dołączył też owładnięty ambicją zostania prezydentem Michel Aoun, stojący na czele Wolnego Ruchu Patriotycznego. Hezbollah dał mu urząd głowy państwa w 2016 r., po dwóch i pół roku blokowania wyborów, w zamian za kolejne wzmocnienie własnej pozycji. Po ośmiu latach, gdy podobny układ z Hezbollahem próbował zawrzeć Dżebran Bassil, zięć Aouna, Partia Boga już tego nie potrzebowała, gdyż uczyniła Liban swoim zakładnikiem.

ISLAMSKA REPUBLIKA LIBANU?

Gdy w 2011 r., w konsekwencji wybuchu arabskiej wiosny, zaczęła się wojna domowa w Syrii, Hezbollah pomagał Asadowi w walce z sunnitami. Dominujący w świecie arabskim sunnici nastawili się zatem negatywnie do tej organizacji, a relacje Hezbollah – Hamas uległy pogorszeniu. Jednakże ostatnie działania Izraela zmieniły ten trend i uczyniły z Hezbollahu bohatera świata arabskiego. Chociaż więc Izrael dziesiątkuje obecnie kierownictwo Partii Boga, to wątpliwe, by zdołał ją zniszczyć. A osłabiony Hezbollah wciąż będzie miał zdolność do zbrojnej walki o swoją pozycję w Libanie. Druga wojna domowa lub „Islamska Republika Libanu" może stać się koszmarem wdzierającym się do rzeczywistości. Znów dzięki Izraelowi. Rektor ormiańskiego uniwersytetu Haigazian w Bejrucie Paul Haidostian powiedział mi pół roku temu, że Izrael chce uzurpować sobie rolę jedynego „zachodniego" państwa na Bliskim Wschodzie i dlatego nie może znieść istnienia Libanu. Chce go zatem zniszczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jacek Żakowski ma rację?

Jak wiadomo, w Polsce nawet wielkie katastrofy szybko przegrywają walkę o uwagę opinii publicznej ze sprawami nierzadko naprawdę błahymi.

Tak jak ostatnia „powódź stulecia", która została wyparta z pola widzenia opinii publicznej przez komiczne wzmożenie ekipy Tuska w sprawie „wódki w tubkach". I do której wrócimy pewnie w roku 2051, czyli za kolejne 27 lat – tak jak do „powodzi stulecia" z 1997 r. wróciliśmy w 2024 r. – gdy wielka woda kolejny raz zaleje „kompletnie nią zaskoczony", a więc też „kompletnie na nią nieprzygotowany" Dolny Śląsk.

To chyba jednak polska specyfika – dodajmy: specyfika niewystawiająca nam dobrego świadectwa – że nawet największe tragedie nie są w stanie niczego nas nauczyć. Tak jak trwająca od prawie trzech lat wojna na Ukrainie nie była w stanie sprawić, żebyśmy ułatwili sobie dostęp do broni i zaczęli budować schrony, tak po 27 latach od „powodzi stulecia" z 1997 r. nadal nie mamy dostatecznej liczby zbiorników retencyjnych, nadal zabudowujemy osiedlami mieszkaniowymi jeden teren zalewowy po drugim i nadal mało chętnie się ubezpieczamy, nawet jeśli dalej uparcie mieszkamy na takich terenach, które po prostu muszą – będąc położone w tym, a nie innym miejscu – zostać co kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt lat, w mniejszym lub większym stopniu zalane.

Ba, jest jeszcze gorzej. Populizm, który ostatnio rozparł się w Polsce i już niepodzielnie w niej panuje, dopuszcza dziś licytowanie się jedynie na poziom współczucia dla powodzian i na skalę niesionej im pomocy – i to najlepiej za publiczne pieniądze. Choć tej prywatnej też na szczęście nie brakuje. Debata o powodzi sprowadzała się więc – bo już się nie sprowadza, bo już o niej, m.in. dzięki tuskowym „tubkom z wódką", „zapomnieliśmy" – prawie wyłącznie do przerzucania się przez polityków kwotami, które powodzianie powinni dostać „z budżetu państwa", „broń Boże w formie pożyczek".

A rada, z którą Jacek Żakowski pospieszył (na łamach „Gazety Wyborczej") już w tytule swego felietonu – „Odbudowa? A może przeprowadzka?" – przyjęta została gorzej niż chłodno. A przecież nie napisał on w sprawie uporu życia na terenach zagrożonych powodzią niczego niestosownego, w dodatku taktownie zastrzegając się na początku, że „gdy trwa walka o życie i mienie, lepiej jest pomagać niż pouczać". No tak, ale teraz – w Polsce rządzonej wyłącznie przez zamieniających się miejscami populistów – takie rady są nie do przyjęcia, podobnie jak ta z powodzi w 1997 r., wyrażona przez szefa ówczesnego rządu Włodzimierza Cimoszewicza – to prawda, wyrażona mocno obcesowo – że „trzeba się było ubezpieczyć". Dziś na to już nikt by się nie odważył. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Demokracja walcząca à rebours

Trzeba wiedzieć kiedy ze sceny zejść
Niepokonanym
Wśród tandety lśniąc jak diament
Być zagadką której nikt
Nie zdąży zgadnąć nim minie czas.

Tak śpiewał zespół Perfect w jednej z najbardziej znanych piosenek. Zgoda, że może nie jest to arcydzieło poezji, ale w tej strofie zapisana jest jednak zasada uniwersalna: jedną z najważniejszych rzeczy w życiu jest umiejętność zejścia ze sceny w momencie, gdy nie zaczął się jeszcze nasz upadek. Dotyczy to także polityków.

Z punktu widzenia prezesa PiS lepiej, gdyby tego wywiadu w ogóle nie było

Niestety, wszystko wskazuje na to, że Jarosław Kaczyński ten moment popisowo przegapił, a ostatecznym tego dowodem jest wywiad, którego prezes PiS udzielił tygodnikowi „Sieci". Z punktu widzenia samego prezesa oraz jego gorących zwolenników – lepiej, gdyby tego wywiadu w ogóle nie było. Z dwóch powodów.

Pierwszy to taki, że pan prezes pokazuje w nim całkowitą niezdolność do jakiejkolwiek refleksji nad przyczynami swojego niepowodzenia w utrzymaniu się przy władzy. Ta niezdolność jest zresztą okazywana bardzo konsekwentnie od 15 października ubiegłego roku i symboliczny wymiar ma, że tak mocno zostaje podkreślona właśnie w rocznicę tamtych wyborów.

Drugi powód to, mówiąc najdelikatniej, kuriozalne elukubracje pana Kaczyńskiego na temat sposobów, w jakie w przyszłości PiS miałby sobie poradzić z sytuacją, do której doprowadziła obecna koalicja. Nie ma tu więc mowy o jakimkolwiek porządkowaniu państwa, ale o twórczej adaptacji pojęcia demokracji walczącej. Nie czekając na konstytucyjną większość, miałby powstać – nie bardzo wiadomo, w jakim trybie i na jakiej podstawie – jakiś tymczasowy „akt zasadniczy", coś jakby zastępcza konstytucja. Wyroki sądów wobec obecnych „męczenników" miałyby zostać uznane za niebyłe – również nie wiadomo, na jakiej podstawie i które konkretnie. Wreszcie miałaby powstać Rada Stanu, tworzona poprzez „kooptację".

Można łagodnie powiedzieć, że to fantazje starszego pana, który nie do końca już wie, co się dzieje dookoła. Ale można też podejść do tego poważnie i wtedy będziemy mieć przed oczami wizję anarchii i bezładu nie mniejszych niż obecne – tyle że z przeciwnym znakiem. Demokracja walcząca à rebours. ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

Kto zastąpi Zełenskiego

Maciej Pieczyński

Dopóki trwa wojna, dopóty nie będzie zmiany władzy nad Dnieprem. Ale gdy tylko działa ucichną, wybuchnie polityczna wojna domowa, w której obecna ekipa rządząca będzie na straconej pozycji. Kto może zostać następcą Zełenskiego?

Zgodnie z ukraińską konstytucją głowa państwa sprawuje urząd przez pięć lat i wykonuje obowiązki do momentu przejęcia ich przez nowo wybranego następcę. Kadencja Zełenskiego skończyła się 20 maja 2024 r. Następcy jednak nie było, ponieważ na mocy obowiązującego ustawodawstwa w czasie stanu wojennego w kraju nie mogą odbywać się wybory. Sondaże pokazują, że brak wyborów nie budzi szczególnego oburzenia nad Dnieprem. 70 proc. Ukraińców uważa, że Zełenski powinien pozostać prezydentem do końca wojny. Tak wynika z sondażu przeprowadzonego w czerwcu przez Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii (KMIS). W większości uważają też, że w obecnej sytuacji należy albo konstruktywnie krytykować władzę, albo w ogóle powstrzymać się od krytyki.

PRYSKAJĄCY CZAR

Co więcej, nawet opozycja, zamiast protestować przeciwko odwołaniu wyborów, poparła ten pomysł władzy. Po pierwsze, podziela powszechne nad Dnieprem (i logiczne) przekonanie, że w warunkach wojny głosowanie byłoby zbyt trudnym i niebezpiecznym przedsięwzięciem, a wyniki łatwo można byłoby kwestionować. Po drugie – i najważniejsze – w sytuacji, gdy telewizja zdominowana jest przez państwową propagandę wojenną (tzw. Telemaraton), a naród skupia się wokół flagi, skuteczne konkurowanie z prezydentem czy partią rządzącą jest praktycznie niemożliwe.

Zełenski wciąż jest liderem sondaży zaufania wśród polityków. W czerwcu, w badaniu dla Centrum Razumkowa, osiągnął wynik 53,8 proc. Tendencja jest jednak spadkowa. W styczniu 2024 r. zaufanie do prezydenta deklarowało 69 proc. badanych. A jeszcze w lipcu 2022 r. Zełenskiemu ufało 80,8 proc. respondentów. Największą popularność zdobył tuż po wybuchu pełnoskalowej wojny. W maju 2022 r. cieszył się zaufaniem 90 proc. Ukraińców. W dużej mierze była to zasługa pozytywnego zaskoczenia, które sprawił, gdy wbrew prognozom nie tylko nie uciekł z kraju, lecz także świetnie wszedł w rolę męża stanu.

Jednak czar zaczął powoli pryskać – w miarę, jak stawało się jasne, że wojna potrwa długo i niekoniecznie zakończy się pełnym zwycięstwem. Ukraińcom przestały wystarczać osobista odwaga i talent krasomówczy prezydenta, a opozycja i media (poza oficjalnym przekazem Telemaratonu) zaczęły stawiać niewygodne pytania o to, dlaczego państwo nie było dobrze przygotowane na odparcie agresji, dlaczego tak szybko został zajęty obwód chersoński, dlaczego nie zarządzono na czas ewakuacji mieszkańców zagrożonych terenów.

W tej chwili Zełenski nie ma z kim przegrać. Ale gdy tylko zniesiony zostanie stan wojenny i ruszą przygotowania do zaległych wyborów (zarówno prezydenckich, jak i parlamentarnych), spadek sondażowy obecnego prezydenta tylko przyspieszy. Skoro zostanie zniesiony stan wojenny, to pewnie dlatego, że nastąpi zawieszenie broni lub pokój. Ani jedno, ani drugie nie jest dziś możliwe bez ustępstw na rzecz Rosji. Ukraińcy nie są na nie gotowi, więc oskarżą Zełenskiego o zdradę. A skoro wojny już nie będzie, to prorządowy Telemaraton straci rację bytu, opozycja zaś zyska nie tylko moralne prawo do ostrej krytyki władzy, lecz także większy dostęp do mediów. I wtedy wszystkie niewygodne pytania wybrzmią ze zdwojoną siłą. Prezydent, który obronił kraj przed agresją, stanie się prezydentem, który źle przygotował kraj do wojny i oddał część terenów wrogowi.

Zełenski obiecywał, że nie będzie ubiegać się o reelekcję. Później sugerował, że jedna kadencja to za mało, by spełnić swoje obietnice. Po agresji rosyjskiej zadeklarował, że gdyby wybory odbyły się podczas wojny, toby w nich wystartował, żeby nie porzucać swojego narodu. W lipcu portal RBK-Ukraina opisał dylematy głowy państwa związane z ewentualnym startem w wyborach. Wszystko ma zależeć od sondaży. Jeśli powszechna będzie opinia, że Ukraina przegrała wojnę, i to z winy prezydenta, to Zełenski nie zaryzykuje wyborczej klęski. Podobno jego marzeniem jest, aby odnieść na wojnie bezsprzeczne, przekonujące zwycięstwo i na fali tego sukcesu odejść z polityki niepokonanym. To jednak w tej chwili niemożliwe.

GIEŁDA NAZWISK

Kto więc może w przyszłości wygrać albo z Zełenskim, albo (jeśli prezydent zrezygnuje ze startu) po prostu wygrać wyścig o najważniejszy fotel w państwie? Długo spekulowano, że najpoważniejszym kandydatem na następcę „sługi narodu" jest gen. Wałerij Załużny. Jeszcze jako głównodowodzący w rankingach zaufania wyprzedzał prezydenta, co też najpewniej sprawiło, że Zełenski go zwolnił i „zesłał" na stanowisko ambasadora w Wielkiej Brytanii. W marcu, miesiąc po dymisji, centrum badań SOCIS opublikowało wyniki sondażu prezydenckiego. Były one sensacyjne. Załużny wygrałby z Zełenskim w drugiej turze, zdobywając 67,5 proc. głosów.

eprasa.pl 031a5817fa

Co istotne, sam Załużny nigdy nie zadeklarował ambicji politycznych. Nie wiadomo, jakie ma poglądy. Otwarcie wyzwania Zełenskiemu nigdy nie rzucił. Może dlatego, że wojna to nie czas na bunt. A może dlatego, że Załużny do polityki się nie nadaje – ani charakterologicznie, ani intelektualnie.

To nie zmienia tego, że istnieje zapotrzebowanie na generałów w polityce. Według sondażu Centrum Razumkowa z kwietnia 45 proc. Ukraińców zagłosowałoby na partię założoną przez żołnierzy. Armia zapewne nie straci tego potencjału nawet po zawarciu pokoju na niekorzystnych warunkach. Winni będą przecież politycy. Żołnierze będą wręcz ofiarami, bo przelana przez nich krew pójdzie na marne. Załużny, wchodząc do polityki, nie musi jednak rywalizować z Zełenskim. Pojawił się pomysł, by generała wciągnąć w przyszłości na listy wyborcze Sługi Narodu i wykorzystać jego popularność. Drogą Załużnego może podążyć Kyryło Budanow. Medialna aktywność i rozpoznawalność szefa wywiadu wojskowego ponoć budzą niepokój w otoczeniu Zełenskiego. Sam Budanow, podobnie jak Załużny, ambicji politycznych nie zdradza.

Politycy opozycyjni mogą tylko pomarzyć o poparciu, którym cieszą się Zełenski czy Załużny. Jako pierwszy i na razie jedyny chęć rywalizacji o fotel prezydenta zadeklarował Ołeksij Arestowycz. Przedstawił nawet swój program polityczny. Jednak – jak przyznał w wywiadzie dla „Do Rzeczy" – wystartuje, jeśli sondaże będą dla niego optymistyczne. Na razie przebywa za granicą, w kraju zaś jest bardzo niepopularny.

W sondażach na Ukrainie mierzy się najczęściej poziom zaufania i braku zaufania. Czerwcowe badanie KMIS wykazało, że tylko trzech „polityków, urzędników i działaczy społecznych" ma w tym zakresie dodatni bilans: Zełenski, szef SBU Wasyl Maluk i gubernator obwodu mikołajowskiego Witalij Kim. Nic nie wskazuje na polityczne ambicje Maluka, który cieszy się zaufaniem, ale już niekoniecznie popularnością czy poparciem. Kim to przypadek podobny do Zełenskiego. Ukraińcy pokochali go w pierwszych tygodniach wojny za optymizm i energię, którymi zarażał za pośrednictwem mediów społecznościowych, wyśmiewając Rosjan i dodając otuchy obrońcom. Zarazem deklarował lojalność wobec prezydenta. Gdy jednak front się oddalił od Mikołajowa, gwiazda Kima przygasła, a codzienne obowiązki urzędnika w pewnym sensie przerosły.

Największe szanse, by wygrać przyszłe wybory wydają się w tej chwili mieć Petro Poroszenko i Serhij Prytuła. Nawiązać walkę mogą również Julia Tymoszenko, Witalij Kłyczko, Dmytro Kułeba czy Dmytro Razumkow, o ile oczywiście wystartują. Kułeba cieszył się sporą popularnością jeszcze w czerwcu. To jednak bardziej dyplomata niż polityk, raczej bez zaplecza, więc dymisja nie powinna popchnąć go do walki o władzę. Razumkow to były przewodniczący Rady Najwyższej z ramienia Sługi Narodu, który przeszedł do opozycji i założył partię Rozumni Ludzie. W wypadku Tymoszenko rozpoznawalność nie oznacza popularności. Po wybuchu wojny najgłośniej o byłej premier zrobiło się, gdy media przyłapały ją na plaży w Dubaju. Niemniej doświadczonej populistki nie można lekceważyć.

Poważniej brzmi ewentualna kandydatura mera Kijowa. Witalij Kłyczko, podobnie jak Kim czy Zełenski, zyskał na pierwszych miesiącach wojny – jako dobry gospodarz i obrońca stolicy przed oblężeniem. Były bokser, były współpracownik Poroszenki, jeden z liderów Euromajdanu, lider opozycyjnej partii Ukraiński Demokratyczny Alians na rzecz Reform (UDAR) niejednokrotnie krytykował Zełenskiego na łamach zachodnich mediów. Oskarżył prezydenta o niewłaściwe przygotowanie do wojny, przez co Rosjanie byli w stanie dojść pod Kijów. „Zełenski ryzykuje samobójstwem politycznym" – tak z kolei skomentował potencjalne ustępstwa terytorialne wobec Rosji. W kampanii wyborczej, jako „obrońca Kijowa", może te zarzuty powtórzyć.

Nie można skreślać Petra Poroszenki. Wojna wyciszyła podejrzenia pod jego adresem o współpracę z „kumem Putina" Wiktorem Medwedczukiem. Były prezydent zaciągnął się do obrony terytorialnej i wspomagał finansowo Siły Zbrojne Ukrainy. A potem zdjął mundur i w garniturze wrócił do ław poselskich, by (ostrożniej niż przed wojną, ale jednak) krytykować poczynania władzy. Między styczniem a czerwcem zaufanie do niego wzrosło z 18,7 do 24,2 proc. Wciąż jednak nie ufa mu ponad 67 proc. Ukraińców. Ponadto w majowym sondażu partyjnym jego Solidarność Europejska zajęła drugie miejsce, otrzymując 23 proc. głosów zaufania. Zwyciężyła wówczas… nieistniejąca partia Serhija Prytuły. Poparcie dla niej zadeklarowało 28 proc. badanych. Sondażowy sukces wirtualnej partii wiele mówi o „dojrzałości" ukraińskiej demokracji.

KOMIK ZA KOMIKA?

Prytuła jest często przedstawiany jako główny (poza Załużnym) faworyt w przyszłych wyborach prezydenckich. Podobnie jak Zełenski do polityki przyszedł z show-biznesu. Był prezenterem radiowym i telewizyjnym, aktorem, komikiem. Pionier ukraińskiego stand-upu, w swoich występach – w odróżnieniu od Zełenskiego – zrezygnował z żartowania po rosyjsku. W 2017 r. prowadził krajowe eliminacje do Eurowizji. W 2019 r. porzucił karierę w mediach. Bez powodzenia kandydował w wyborach do Rady Najwyższej czy na mera Kijowa, z poparciem partii Głos (Hołos), której działaczem był przez dwa lata. Chciał nawet zostać jej liderem, ale usłyszał, że to ciężka praca, a nie występy w klubach czy na stadionach. Odszedł więc i ogłosił zamiar utworzenia własnego ugrupowania.

Minęły trzy lata od tej deklaracji, a partia Prytuły nadal istnieje wyłącznie w sondażach, co swoją drogą pokazuje popularność polityka. A właściwie nie tyle polityka, ile wolontariusza. Bo właśnie wejście w tę rolę przysporzyło byłemu aktorowi ogromnej popularności. Jego fundacja organizuje zbiórki na wyposażenie armii ukraińskiej. Podobną działalnością Prytuła zajmował się już w 2014 r., wspierając żołnierzy walczących na Donbasie. W lutym–marcu 2023 r. cieszył się zaufaniem 65 proc. Ukraińców, wśród polityków ustępując jedynie Zełenskiemu. W czerwcu 2024 r. – już tylko 40,8 proc., co i tak nadal sytuuje go w czołówce.

Prytuła swego czasu krytykował Zełenskiego za niedostateczne starania o wejście do NATO i UE. Po wybuchu wojny zadeklarował, że powstrzyma się przed krytyką prezydenta. Ale gdy nastanie pokój, popularny wolontariusz może stać się poważnym rywalem dla „sługi narodu". I drugim w historii, a nawet drugim z rzędu komikiem, który został prezydentem Ukrainy. O ile oczywiście Zełenski nie postanowi znaleźć sposobu, żeby utrzymać się na stanowisku za wszelką cenę. Jednak Ukraińcy już dwa razy w tym stuleciu siłą obalali niechcianą władzę…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

Europa kroczy ku postępowi

Robert Bogdański

Europa żyje zawieszona między zamiarami technokratów, którzy chcieliby z niej uczynić sprawny organizm biznesowo-finansowy, a marzeniami Dobrych-Ludzi-Pragnących-Żyć-W-Dobrobycie-I-Zgodzie-Z-Planetą. Wygląda na to, że Ursula von der Leyen postanowiła wziąć na pokład jednych i drugich

FOT. ADOBE STOCK

Ich przekonania tylko pozornie są głęboko sprzeczne. Łączy ich przekonanie, że z Unii należy stworzyć jednolite i scentralizowane państwo, a także pomysły na finansowanie.

Raport Maria Draghiego jest wyrazem przekonań technokratów. Sądzą oni, że uda się tchnąć życie w europejską gospodarkę i uczynić ją bardziej konkurencyjną i innowacyjną dzięki workom pieniędzy władowanym w biznesy oraz dzięki ułatwieniom technicznym, które sprowadzają się do ujednolicenia warunków działania w całej Unii. To wszystko ma się odbyć bez zasadniczych zmian w politycznych celach, a zwłaszcza bez rezygnowania z tzw. ambitnych celów klimatycznych. Nie ma także mowy o poluzowaniu gorsetu socjalnego. Bez złośliwości można więc podsumować, że konkurencyjności i innowacyjności osiągnąć się w takim układzie zapewne nie da, ale worki pieniędzy z pewnością posłużą. Na pewno wszystkim tym, którzy będą się trudzili nad realizacją planu. Nie pierwszego przecież.

Już 25 lat temu w pięknym dokumencie nazywanym strategią lizbońską zapisano bowiem, że Unia ma się stać „najbardziej konkurencyjną i dynamiczną opartą na wiedzy gospodarką w świecie, zdolną do zrównoważonego wzrostu gospodarczego, tworzenia większej liczby lepszych miejsc pracy i o większej społecznej spójności". W ten sposób miała „doścignąć i prześcignąć" Stany Zjednoczone. Efekt był łatwy do przewidzenia: różnica potencjałów gospodarczych między Europą a USA zamiast się zmniejszyć, zwiększyła się i w tej chwili europejskie PKB na głowę wynosi tylko nieco więcej niż połowę amerykańskiego.

Nic dziwnego, że z raportu Draghiego zniknął tromtadracki język strategii lizbońskiej, a pojawił się ton kasandryczny: „Jeżeli Europa nie stanie się bardziej wydajna, to będzie musiała wybierać. Nie będziemy w stanie jednocześnie być liderem w nowych technologiach, forpocztą odpowiedzialności klimatycznej i niezależnym graczem na scenie światowej polityki. Nie będziemy w stanie finansować naszego modelu socjalnego. Będziemy musieli ograniczyć niektóre, o ile nie wszystkie, z naszych ambicji".

Wydawałoby się więc, że o ile Europa chciałaby osiągnąć swoje cele, o tyle powinna zabrać się do roboty i porzucić mrzonki o czterodniowym tygodniu pracy, bezwarunkowym dochodzie gwarantowanym, bezpieczeństwie zatrudnienia oraz o ratowaniu planety dzięki powszechnej elektryfikacji wszystkiego. Nic z tych rzeczy. Raport proponuje tylko usprawnienie działania europejskich rynków i gospodarek, ale nie mówi nic o rezygnacji z „ambitnych celów". Co prawda, wynika z niego jasno, że za jakiś czas trzeba będzie podejmować decyzje, z czego rezygnować. Ale z czego w pierwszej kolejności? Tak daleko Draghi nie śmie się posunąć. Trzyma się

eprasa.pl 031a5817fa

podstawowych elementów europejskiej ortodoksji: święte są transformacja energetyczna i dekarbonizacja gospodarki, święte są system socjalny i prawo pracy.

LEKTURA OBOWIĄZKOWA

Ursula von der Leyen umieściła raport na liście lektur obowiązkowych dla swoich komisarzy. Każdy z nich otrzymał list, którego część pierwsza to wspólne dla wszystkich zalecenia, wśród nich raport znalazł się jako jedno z podstawowych źródeł inspiracji, z których należy czerpać. Jednocześnie jednak na scenie pojawił się były europoseł i przewodniczący europejskiej frakcji Zielonych, Belg Philippe Lamberts, który został doradcą przewodniczącej Komisji Europejskiej do spraw klimatu. Jest to postać niezwykle ciekawa: zręczny polityk, któremu udało się w czasie swoich trzech kadencji podnieść promowaną przez siebie sprawę do rangi tematu, na który debatowano trzy dni w głównej sali Parlamentu Europejskiego, a uczestniczyły w tym Ursula von der Leyen i Roberta Metsola, a cała konferencja miała oficjalny stempel nie tylko Zielonych, lecz także Europejskiej Partii Ludowej.

Chodziło o – ni mniej, ni więcej – promowanie idei postwzrostu, czyli czegoś, co po angielsku nazywa się de-growth i jest ulubionym tematem zwolenników ratowania planety. Konferencja taka odbyła się w maju 2023 r., uczestniczyło w niej kilkudziesięciu radykalnie nastawionych prelegentów, którzy chcieli m.in. zlikwidować produkcję wołowiny i broni oraz zakazać reklam, od działalności przedsiębiorców oczekiwali zaś, że przyniesie korzyści wszystkim, tylko nie ludziom, którzy zainwestowali w nie własne pieniądze. Jak by się taka ekonomia utrzymywała? Prosta rzecz – z subsydiów, grantów i dotacji. Przez salę przewinęło się także 7 tys. entuzjastycznie nastawionych do takich idei młodych ludzi, którzy pewnie byli przekonani, że te granty trafią właśnie do nich i jakoś się przy okazji ratowania planety pożywią.

Philippe Lamberts patronował całemu wydarzeniu i mógł faktycznie uznać je za swój niekłamany sukces, bo pięć lat wcześniej podobną konferencję musiał organizować w bocznej sali i o zaproszeniu ówczesnego szefa Komisji Junckera mógł tylko pomarzyć. Wydawałoby się, że w 2024 r. polityczne koniunktury się od pana Lambertsa i jego Zielonych odwróciły, bo partia straciła wiele w wyborach do europarlamentu. Pozostała jednak zwornikiem układanki, dzięki której Ursula von der Leyen może rządzić. Stąd belgijski polityk odnalazł się na stanowisku, które da mu ogromny zakulisowy wpływ na bieg spraw. A jego gładkość i zręczność gwarantują, że będzie umiał to wykorzystać. Jak? Można się domyślać.

TE SAME DANE, INNE WNIOSKI

Lamberts do ekipy von der Leyen wnosi w wianie raport o wiele mniej znany niż raport Draghiego, ale także istotny. W podtytule ma słowa o „spójnej społeczno-ekologicznej przyszłości Unii Europejskiej". Został opublikowany na początku roku, jeszcze gdy Zielonym wydawało się, że idą po zwycięstwo, ale warto się mu przyjrzeć, bo kilka pomysłów, które tam się znajdują, może się zmaterializować. Pierwszym z nich jest idea „europejskiej gwarancji zatrudnienia", która przede wszystkim dotyczyłaby miejsc pracy w „zielonej gospodarce". Program byłby oczywiście finansowany ze środków publicznych i zapewniałby wynagrodzenie minimalne wystarczające do przeżycia. Jak to się da pogodzić z projektami Draghiego, aby wzmóc produktywność? Zapewne autorzy raportu Lambertsa będą w stanie to wyjaśnić, bo są to ludzie wykształceni: pracują na dobrych uniwersytetach (Sciences Po, Stanford, Lozanna) i wykładają przedmioty związane z wpływem zmian klimatycznych na społeczeństwo. Innymi słowy: meblują głowy absolwentom swoich uczelni.

Co zabawne, w ich raporcie znajdują się podobne dane o potrzebach finansowych jak w raporcie Draghiego, bo w końcu wszystkie liczby, którymi się żongluje, pochodzą od Komisji Europejskiej. Tylko oni wyciągają z tej wiedzy zgoła inne wnioski. Krytykują oszczędne nastawienie Komisji, która „ślepo preferuje redukcję długu i deficytu ponad kluczowe polityczne cele Unii, którymi są Zielony Ład i spójność społeczna". Mniej zabawne jest natomiast to, jaki mają pomysł na to, skąd wziąć pieniądze. Ich pomysłem jest ogólnounijny podatek od majątków ludzi najbogatszych. Taki podatek mógłby przynieść według ostrożnych rachunków 213 mld euro rocznie, a według rachunków mniej ostrożnych – 1,4 bln euro. I byłyby to pieniądze znajdujące się w gestii Komisji!

Dalej autorzy raportu Lambertsa zdecydowanie opowiadają się za trwałym zintegrowaniem mechanizmu finansowego stworzonego do likwidacji skutków pandemii, do budżetu. Zostałoby to zrobione w formie stałego europejskiego funduszu inwestycyjnego, który miałby prawo zaciągać dług dla finansowania wspólnych inwestycji. I w tym miejscu panowie Lamberts i Draghi się spotykają. Obaj do realizacji swoich planów potrzebują pieniędzy. Trzeba je pożyczyć, tu panuje między nimi zgoda, a następnie trzeba oddać. Z czego? Draghi o tym nie mówi, ale Lamberts przychodzi mu z pomocą: z podatku, którym obciążymy bogatych! Politycznie rzecz jest bardzo łatwa, bo według danych Eurobarometru z 2022 r. 67 proc. Europejczyków opowiadało się za tym, aby rządy opodatkowały bogatych i wspomogły biednych.

Powstaje oczywiście pytanie o definicję: kto jest bogaty, a kto biedny. I tu może się okazać, że ankietowani nie zdawali sobie sprawy z tego, że to oni jednak są daniem głównym na bankiecie postępu. Spójrzmy radykalniej: ostatnio „Krytyka Polityczna" opublikowała tekst amerykańskiego autora, Richarda Heinberga, o tym, jak dokonać „prawdziwej transformacji energetycznej". Przede wszystkim trzeba zmniejszyć konsumpcję energii: ustanowić górny pułap wydobycia paliw kopalnych i konsekwentnie go zmniejszać, a energię racjonować, karząc tych, którzy używają jej za dużo. (Ale karząc – jak pisze autor – delikatnie. Trzeba przyznać, że ma poczucie humoru).

Trzeba też przekuć umysły: wytłumaczyć ludziom, że muszą mniej używać, a ich szczęście nie jest związane z posiadaniem. Poziom szczęścia należy przy tym starannie monitorować. Nie ma (na razie) mowy o delikatnym karaniu tych, którzy wykazują niedobory szczęścia, ale artykuł ma charakter kierunkowy, więc pewne szczegóły wymagają dopracowania.

Wreszcie – tu klucz do sprawy – należy systematycznie zmniejszać populację zamieszkującą Ziemię. Przyniesie to dwa zbawienne skutki: po pierwsze, łatwiej będzie podzielić dostępną energię, a po drugie, pieniądze, które pozostaną po tych, którzy zostaną zmniejszeni, posłużą na podwyżki dla tych, którzy zostaną. Powie ktoś, że się czepiam i Unia żadnego Heinberga nie słucha. Oczywiście, że nie słucha. Na razie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

Z Michałem Kędzierskim, ekspertem do spraw Niemiec z Ośrodka Studiów Wschodnich
rozmawia Piotr Włoczyk

Cena uzdrowienia Volkswagena

FOT. ADOBE STOCK

PIOTR WŁOCZYK: Czy w Berlinie wszczęto już alarm z powodu problemów Volkswagena?

MICHAŁ KĘDZIERSKI: Kryzys o potencjalnie historycznych rozmiarach od razu trafia na czołówki gazet. VW to w końcu największy niemiecki producent aut, symbol potęgi eksportowej tego kraju, więc o tych niepokojących informacjach Niemcy rozmawiają w domu przy stole. A to się przekłada na poważny problem dla rządu. Tym bardziej że złe wieści z VW zbiegają się z innymi złymi tendencjami obserwowanymi w sektorze chemicznym, stalowym czy wśród poddostawców branży motoryzacyjnej. O masowych zwolnieniach w tej ostatniej nie mówi się tak głośno, ponieważ te firmy nie mają aż tak wielkiego znaczenia symbolicznego, ale to już nie są groźby, jak w przypadku VW, tylko to już się dzieje.

Rząd zapewnia, że szykuje dla branży auto-moto pomoc, ale na obecnym etapie te plany są jednak wciąż dość mgliste. Negatywne informacje płynące z gospodarki przyczyniają się z kolei do spadku popularności rządu. Będący w opozycji chadecy mają obecnie wyższe poparcie niż trzy partie koalicyjne razem wzięte…

We wrześniu szefostwo VW ogłosiło, że rozważane jest zamknięcie dwóch fabryk. A przecież nigdy w 87-letniej historii tej firmy nie doszło do takiego wydarzenia.

Ostatni większy kryzys dotknął VW w latach 90. Wtedy jednak udało się uniknąć tak radykalnych działań, które teraz zostały zapowiedziane. Oprócz potencjalnego zamknięcia fabryk drugim historycznym krokiem, który częściowo został już zrealizowany, było wycofanie gwarancji zatrudnienia dla stałych pracowników Volkswagena w Niemczech. Trzydzieści lat temu VW zobowiązał się, że nie będzie zwalniał ludzi bez porozumienia. Na początku września kierownictwo firmy wypowiedziało układy zbiorowe z 1994 r., które to gwarantowały. To z kolei otwiera drogę do tego, by w połowie 2025 r. rozpoczęły się zwolnienia. Te groźby zelektryzowały niemiecką opinię publiczną, ponieważ byłyby to wydarzenia bezprecedensowe.

VW wciąż zarabia. Skąd zatem te problemy i niepokój o przyszłość?

W ostatnich latach marka Volkswagen przynosi coraz mniejsze zyski. W pierwszej połowie 2024 r. marża spadła do 2,3 proc., a tymczasem koncern celuje w 6,5 proc. Dlaczego odpowiedni poziom zysków jest tak istotny? Chodzi o finansowanie rozwoju marki – o jej przyszłość. Koncern, podobnie jak cała branża, znajduje się w procesie transformacji ku elektromobilności. Rywalizacja z konkurentami z USA i Chin się zaostrza. Im mniej będzie pieniędzy na badania i rozwój, tym gorsza będzie pozycja firmy w przyszłości.

Trzeba tu jednak zrobić wyraźne rozróżnienie na markę i koncern VW. Inne marki działające w ramach tego koncernu, jak Škoda, Seat, Audi i Porsche, radzą sobie o wiele lepiej, ale jednak marka Volkswagen odpowiada za dwie trzecie sprzedaży całego koncernu.

Z czego wynika różnica w rentowności między tymi markami?

Audi i Porsche działają w segmencie aut luksusowych, gdzie marże są siłą rzeczy wyższe. Natomiast czeska Škoda i hiszpański Seat mają inne koszty pracy oraz produkcji i pod względem marży radzą sobie nawet trzy razy lepiej niż Volkswagen. Dlatego część ekspertów motoryzacyjnych sugeruje, że reszta marek koncernu w pewien sposób subsydiuje produkcję VW w Niemczech.

A z czego wynikają te problemy? Zacznijmy od tego, że rynek się zmienia i generalnie sprzedaż samochodów spada. O ile w 2019 r., przed pandemią, marka VW sprzedawała prawie 6,3 mln aut, o tyle w zeszłym roku było to 4,9 mln. Natomiast zatrudnienie i moce produkcyjne niemal się nie zmieniły. To z kolei powoduje, że fabryki Volkswagena w Niemczech wykorzystują przeciętnie dwie trzecie swoich możliwości. Niektóre zakłady pracują na 50 proc. swoich mocy, w tym najważniejsza fabryka w Wolfsburgu, ale np. zakład w Osnabrück działa na poziomie 20–30 proc. swoich możliwości.

eprasa.pl 031a5817fa

Najważniejszą przyczyną niskiej marży są koszty pracy. VW jest jednym z najlepszych pracodawców w Niemczech, jeżeli chodzi o przywileje, które wywalczyły sobie przez dekady związki zawodowe, a także wysokość zarobków. W momencie, gdy konkurencja na rynku staje się coraz trudniejsza, koszty pracy stanowią niebezpieczny balast.

Niedawno opublikowany został tzw. raport Draghiego, w którym pokazano, jak ogromny problem z konkurencyjnością ma UE.

Kryzys w Volkswagenie zdecydowanie wpisuje się w ten obraz. Kolejnym ważnym problemem są koszty energii. Niemiecki biznes szacuje, że w porównaniu z USA czy Chinami są one w Niemczech nawet trzy–pięć razy wyższe...

Chińczycy bardzo szybko przestawiają swój rynek motoryzacyjny na elektromobilność. Jak ta sytuacja odbija się na pozycji VW?

W ostatnich latach niemieckie koncerny motoryzacyjne bardzo uzależniły się od zbytu na chińskim rynku – osiągały tam nawet 40 proc. zysków. Tymczasem ten ogromny rynek przechodzi wielkie przeobrażenia. W Chinach gwałtownie rośnie sprzedaż samochodów elektrycznych i hybrydowych, a spada popyt na auta spalinowe. A to właśnie w tej tradycyjnej technologii napędu Niemcy mieli przewagę i osiągali wysokie zyski. Z kolei w segmencie aut elektrycznych Niemcy są wciąż dość słabi i nie radzą sobie dobrze z chińską i amerykańską konkurencją. I dlatego zyski, które VW czerpie z chińskiego rynku, gwałtownie się kurczą.

Do tego wszystkiego dochodzą jeszcze narzekania na spadającą jakość niemieckich samochodów, przede wszystkim Volkswagena. Te problemy szczególnie widać właśnie w segmencie „elektryków". Generalnie klienci byli dotychczas gotowi więcej zapłacić za niemieckie auta właśnie dlatego, że były uważane za lepsze. Obecnie jednak ta reputacja się zmienia, co przekłada się też na niższą sprzedaż.

Premier landu Dolna Saksonia, gdzie VW ma swoją siedzibę, zasiada w radzie nadzorczej koncernu. A jak wiadomo, dla polityków masowe zwolnienia to jeden z najgorszych koszmarów. Czy polityczny czynnik nie grozi storpedowaniem programu naprawczego?

Upolitycznienie to jedna z istotnych barier na drodze do uzdrowienia VW. Dolną Saksonią od lat rządzi SPD, której elektorat stanowią pracownicy przemysłu, związki zawodowe. Stephan Weil, premier landu, już zapowiedział wyraźnie, że jest przeciwko zamykaniu fabryk. Mimo że Dolna Saksonia ma jedynie 20 proc. udziałów w koncernie, jednak ma możliwość zablokowania kluczowych decyzji. Wydaje się, że politycy z Dolnej Saksonii będą robili wszystko, by uniknąć zamykania fabryk w tym landzie. Z drugiej strony czołowi eksperci z branży auto-moto mówią, że bez gruntownej kuracji odchudzającej przyszłość VW będzie zagrożona.

W zakładach VW w Niemczech pracuje 120 tys. osób. Szacuje się, że redukcji powinno ulec nawet 20–30 tys. etatów. Przy czym to nie jest coś, co spadło na Niemców jak grom z jasnego nieba. Już poprzedni prezes VW Herbert Diess mówił na wewnętrznych spotkaniach, że redukcja tylu etatów jest konieczna, by marka mogła się stabilnie rozwijać. Efekt był taki, że to Diess sam został wyrzucony z koncernu – związki zawodowe pokazały wówczas swoją siłę. Teraz zresztą również zanosi się na ostre starcie. Związki zawodowe w VW zapowiadają walkę wszelkimi metodami o utrzymanie wszystkich zakładów i obecnego poziomu zatrudnienia. Żądają też siedmioprocentowych podwyżek.

4,9 mln aut

TYLE MARKA VW SPRZEDAŁA W 2023 R. PRZED PANDEMIĄ BYŁO TO PRAWIE 6,3 MLN

Na ile obecne problemy VW wynikają z trudności w przestawianiu się na „elektryki"?

Ten problem nie ogranicza się jedynie do VW. Niemieckie koncerny, próbując nadgonić amerykańską i chińską konkurencję, a także w odpowiedzi na politykę UE i Berlina, poczyniły ogromne inwestycje w produkcję aut elektrycznych. Tymczasem ten rynek rozwija się wolniej niż planowano, a niemieckie „elektryki" nie sprzedają się tak dobrze jak zakładano. Do tego w zeszłym roku w Niemczech, z powodu kryzysu budżetowego, wycofano nagle sowite rządowe dopłaty do zakupu elektryków, co spowodowało spadek ich sprzedaży aż o 30 proc. Niemieckie władze planują wprawdzie nowy program wsparcia dla tego segmentu aut, ale sytuacja budżetowa wciąż jest napięta, więc skala pomocy na pewno nie będzie tak duża jak wcześniej.

Niemcy przegrały właśnie w UE walkę o cła na chińskie „elektryki". Czy ich koncerny, czyli m.in. VW, nie boją się zalewu tanich aut elektrycznych Made in China?

Trzeba tu podkreślić ważną kwestię – cła mają dotyczyć aut produkowanych w Chinach, a nie tylko chińskich producentów. Uderzą one też w Niemców, którzy wytwarzają tam samochody i eksportują je do UE. Berlin obawia się również ceł odwetowych na auta spalinowe, które mogą poważnie uderzyć w zyski ich koncernów.

Niemcy są dużo bardziej uzależnieni od rynku chińskiego niż np. Francuzi, którzy są zwolennikami ceł. I wbrew temu, co powszechnie sądzi się o sprawczości Niemców w UE, Francja lepiej rozegrała tę kwestię, przez co Komisja Europejska stanęła po ich stronie.

Na razie nasi zachodni sąsiedzi nie obawiają się poważnie rywalizacji na unijnym rynku z chińskimi producentami aut elektrycznych – obecnie ich udział jest niewielki. Do tej pory niemieckie firmy stawiały głównie na budowę wysokomarżowych większych aut elektrycznych klasy premium, ale w ciągu dwóch lat na rynku mają w końcu się pojawić tańsze modele, dostępne dla „mas". Niemcy liczą na to, że wypełni to rynkową lukę i przyspieszy rozwój rynku. Wierzą też, że po trudnym okresie rozwoju własnych elektryków będą w stanie skutecznie rywalizować z chińską i amerykańską konkurencją. Najbliższe lata pokażą, czy ten optymizm jest uzasadniony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Michał Kędzierski jest analitykiem do spraw polityki energetycznej, klimatycznej i transportowej RFN w Zespole Niemiec i Europy Północnej Ośrodka Studiów Wschodnich.

eprasa.pl 031a5817fa

Żabka wskakuje na parkiet

Jacek Przybylski

Sieć ponad 10,6 tys. sklepów osiedlowych wchodzi na giełdę. Największa od lat oferta na rynku pierwotnym objęła akcje wycenione na 6,4 mld zł. Tym samym to jedna z największych IPO w historii polskiej giełdy. Mimo jesiennej pogody debiut Żabki rozgrzał więc świat polskich finansów do czerwoności

Ochciałoby się wykrzyknąć: nareszcie! Wprawdzie polska gospodarka od trzech dekad rozwija się w wyjątkowo szybkim tempie, ale warszawski parkiet średnio radzi sobie z zachęcaniem do większej aktywności inwestorów indywidualnych. Starsi czytelnicy pamiętają zapewne, jak w 1994 r. na Giełdzie Papierów Wartościowych zadebiutowały akcje Banku Śląskiego. Była to ostatnia wielka prywatyzacja przed wielkim krachem, a na akcje banku zapisało się wówczas 820 tys. osób. Kolejna wielka oferta – tym razem Banku Handlowego – pojawiła się w roku 1997, a po niej jeszcze kilka ofert prywatyzowanych dużych spółek Skarbu Państwa, jak JSW, Energa czy PGE.

W drugiej dekadzie XXI w. to źródło zaczęło wysychać. Dużych ofert publicznych spółek będących przedstawicielami biznesu prywatnego na warszawskim parkiecie w ciągu ostatniej dekady było zaś jak na lekarstwo. Ostatnim głośnym debiutem było wejście na giełdę Allegro 12 października 2020 r. Ta największa w historii warszawskiej giełdy oferta publiczna dała wówczas okazję do spektakularnego zarobku: na otwarciu inwestorzy kupowali papiery po 65 zł – cena była więc wtedy niemal 50 proc. wyższa niż ta w ofercie publicznej (43 zł).

Po kilku latach posuchy na rynku pierwotnym wreszcie nastąpił przełom. Oferta Żabki obejmująca 300 mln istniejących już akcji – skierowana zarówno do inwestorów instytucjonalnych, jak i indywidualnych – rozbudziła wyobraźnię zarówno profesjonalistów, jak i drobnych „niedzielnych" giełdowych inwestorów. Proces zwany book buildingiem wśród inwestorów instytucjonalnych rozpoczął się 1 października. I – według informacji podanych przez „Rz" – księga popytu na akcje już pierwszego dnia została pokryta w całości przy cenie maksymalnej. Biura maklerskie przyjmowały zapisy inwestorów indywidualnych od 2 do 9 października.

W czwartek ogłoszono ostateczną cenę akcji. Debiut na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie zaplanowano zaś wstępnie na czwartek 17 października. Nie wiadomo więc jeszcze, czy udział w ofercie publicznej był świetną okazją do dużego zarobku czy lepiej było poczekać na debiut, aby kupić akcje Żabki taniej.

GIGANTYCZNE IPO

Wiadomo już natomiast na pewno, że oferta publiczna (IPO) Żabki na warszawskim parkiecie przyciągnęła ogromne pieniądze. Biura maklerskie obserwowały zaś prawdziwy szturm inwestorów indywidualnych, przez co maklerzy zapowiedzieli już ogromną redukcję zleceń. Oferta publiczna obejmowała do 300 mln akcji po cenie z przedziału 20–21,5 zł. Ogromny popyt sprawił, że akcje Grupy Żabka na GPW zostały ostatecznie sprzedane po cenie 21,5 zł. Wartość oferty wynosiła więc 6,4 mld zł. W dotychczasowej historii polskiej giełdy więcej pieniędzy od inwestorów żądały jedynie PKO BP (oferta o wartości 7,9 mld zł), PZU (8,1 mld zł) czy Allegro (9,182 mld zł).

Kapitał zakładowy Żabki podzielony jest na 1 mld akcji. Rynkowa wycena całej spółki, po cenie 21,5 zł, wynosi więc 21,5 mld zł. Jak do takiej wyceny odnoszą się eksperci? Zdaniem wielu analityków cena akcji Żabki w ofercie publicznej została określona na atrakcyjnym poziomie. Zwłaszcza że jeszcze kilka miesięcy temu spekulowano, że cena jednej akcji w ofercie pierwotnej może oscylować w granicach 30 zł, a nieoficjalnie wyceny opiewały na 30–32 mld zł.

Jak podał w ubiegłym tygodniu „Parkiet", BM Pekao wyceniło wartość Żabki na 18,74–23,81 mld zł, z kolei Trigon DM oszacował jej wartość na 23,3–26,1 mld zł. Aby łatwiej sobie było tak duże pieniądze wyobrazić, można napisać, że wartość Żabki szacowana jest na prawie dwie trzecie wartości sieci sklepów Dino, która jest jedną z największych spółek na polskiej giełdzie. Z kolei „Puls Biznesu" przytoczył wycenę analityka branży z Biura Maklerskiego mBanku, który wycenił Żabkę na 31,4–39,2 mld zł. Patrząc z kolei chłodnym okiem choćby na wskaźnik cena/zysk, wynosi on 60,3. Sporo. Dla porównania: wskaźnik C/Z sieci sklepów Dino (choć nie jest ona bezpośrednim konkurentem Żabki) wynosi 24,7.

Jeśli w dniu debiutu na warszawskim parkiecie potwierdzą się pozytywne wyceny analityków, a cena po rozpoczęciu notowań wzrośnie na tyle, aby Żabka

eprasa.pl 031a5817fa

dała przyzwoicie zarobić inwestorom detalicznym, to ta oferta może doprowadzić do długo oczekiwanego przełomu na warszawskiej giełdzie. Niestety, zgodnie z założeniem tej oferty dla inwestorów detalicznych przeznaczono zaledwie 5 proc. liczby akcji sprzedawanych, czyli 15 mln akcji. Konieczna była więc duża redukcja zapisów.

POTĘŻNY APETYT ŻABKI

Powstała w roku 1998 sieć małych i wygodnych sklepów do robienia niewielkich zakupów – której założycielem był Mariusz Świtalski – przez nieco ponad ćwierć wieku zdołała wypracować na silnie konkurencyjnym polskim rynku handlu detalicznego pozycję lidera segmentu modern convenience. W 2011 r. od Penta Investments Żabkę za ok. 400 mln euro kupił fundusz Mid Europa Partners. Sześć lat później akcje spółki odkupił od Mid Europa Partners amerykański fundusz CVC (wartość transakcji wyniosła wówczas nieco ponad 1 mld euro, czyli równowartość mniej więcej 4,3 mld zł).

W historii polskiej giełdy większą wartość miały tylko oferty publiczne PKO BP, PZU oraz Allegro

Zysk netto sieci sklepów za ubiegły rok wyniósł ponad 356 mln zł. Żabka obsługuje ok. 3,6 mln transakcji dziennie. Sieć franczyzowa liczy zaś już ponad 10,5 tys. sklepów, które są już w Polsce niemal na każdym rogu (według informacji spółki ponad 17 mln osób mieszka nie dalej niż 500 m od najbliższej Żabki). Menedżerowie sieci z logo sympatycznego zielonego płaza widzą potencjał, aby otwierać 1,1 tys. nowych sklepów rocznie i podwoić poziom sprzedaży do klientów końcowych do 2028 r. w stosunku do 2023 r. (w 2028 r. firma planuje mieć 14,5 tys. sklepów). Jak wynika z prospektu emisyjnego, dotychczas średniorocznie liczba sklepów rosła o 15 proc., a sprzedaż o 23 proc. Sieć do analizy potencjalnie najlepszych adresów i wyboru nowych lokalizacji wykorzystuje m.in. model oparty na algorytmach sztucznej inteligencji.

Spółka rozwija także nowe formaty sklepów: mobilne, Non-Stop, a także Nano (czyli umożliwiające bezobsługowe zakupy bez żadnych kas) czy Drive (w takim sklepie można odebrać zamówione z oferty produkty bez wychodzenia z auta). Jednocześnie sieć inwestuje w rozszerzenie oferty Żabka Cafe, dodając do kawy, hot dogów, burgerów i panini również frytki, nuggetsy, zapiekanki czy churrosy i przekształcając w ten sposób osiedlowe sklepy w miejsca, w których można szybko coś przekąsić.

W Żabkach można już również np. odebrać paczkę, kupić los na loterii czy opłacić rachunki, co generuje nie tylko dodatkowe przychody, lecz także dodatkowy ruch w sklepie. Spółka jest już obecna nie tylko w Polsce, lecz także w Rumunii, gdzie również planuje dalszą ekspansję. Czy Żabce uda się też rozruszać warszawski parkiet? Przekonamy się już wkrótce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 031a5817fa

Pomruki włoskich wulkanów

Erupcja wulkanu Stromboli FOT. ADOBE STOCK

Adam Zubek

Włosi wiedzą, że Wezuwiusz może ich w każdej chwili zaskoczyć. Że Stromboli zapewni regularne spektakle typu „światło i dźwięk". Że muszą być przygotowani na niespodzianki ze strony podwodnych wulkanów. Ale trudno im przyzwyczaić się do myśli, że mają pod bokiem wulkan, który – niedawno zdefiniowany przez naukowców – od razu otrzymał „siódemkę" w ośmiostopniowej skali VEI

Zanosiło się, że tego lata Europa zostanie wzięta w dwa ognie. Dosłownie. Najpierw alerty płynęły z północy, z Islandii, a potem z południa kontynentu – z Włoch, konkretnie z okolic Neapolu. Islandzka prowincja wulkaniczna spełniła swoją groźbę, doprowadzając do kolosalnej, wciąż trwającej erupcji i niszcząc jedno z większych miast Islandii. Włoski wulkan, bardzo zagadkowy i potencjalnie najgroźniejszy dla Europy, znany pod nazwą Campi Flegrei (Pola Flegrejskie, Płonące Pola), wciąż jeszcze drzemie. Ale jest to drzemka, która wywołuje dreszcze wśród mieszkańców prawie milionowego Neapolu i całego regionu Kampanii zamieszkiwanego przez ponad 5 mln ludzi.

Włoska strefa wulkaniczna, ciągnąca się od Cieśniny Sycylijskiej na południu aż do Larderello w Toskanii, jest dzieckiem kolizji płyt tektonicznych. Inaczej niż na Islandii, gdzie mamy do czynienia z rozsuwaniem się płyt tektonicznych, w regionie włoskich Apeninów zachodzi podsuwanie się jednej płyty pod drugą. Jedna i druga sytuacja sprzyja rozwojowi procesów wulkanicznych. Na Islandii są to zazwyczaj stosunkowo spokojne, widowiskowe, linearne wypływy lawy, natomiast w rejonie Półwyspu Apenińskiego wulkanizm funkcjonuje zgodnie z włoskim temperamentem – momenty spokoju i wyciszenia przeplatają się z gwałtownymi wybuchami. Nie brak i spektakularnych „pokazówek".

Do tego wszystkiego Włosi są przyzwyczajeni. Wiedzą, że Wezuwiusz może ich w każdej chwili zaskoczyć. W przeciwieństwie do Etny, która zachowuje się w sposób dość przewidywalny. Że Stromboli zapewni regularne spektakle typu „światło i dźwięk". Że muszą być przygotowani na niespodzianki ze strony podwodnych wulkanów Marsili i Ferdinandea. Ale trudno im (i wszystkim Europejczykom) przyzwyczaić się do myśli, że mają pod bokiem wulkan, który – niedawno zdefiniowany przez naukowców – od razu otrzymał „siódemkę" w ośmiostopniowej skali VEI (indeks eksplozywności wulkanicznej) i uważany jest za jeden z najniebezpieczniejszych wulkanów planety.

WULKAN, KTÓRY NIE WYGLĄDA

Pola Flegrejskie, „siódemka" na liście VEI, to wulkan, którego, odwiedzając Neapol, można w ogóle nie zauważyć. O ile, gdy się spogląda z murów Zamku Sant'Elmo na wschód, oko natychmiast zatrzymuje się na majestatycznym stożku Wezuwiusza, o tyle krajobraz na zachód od centrum miasta nie zwiastuje niczego nadzwyczajnego. Czyż może być groźny wulkan, który nie wygląda jak wulkan? Który nie zbudował charakterystycznej stożkowatej góry? Który w ogóle nie wygląda? Tak zwykle jest z wulkanami, które w przeszłości „przesadziły" ze swoją eksplozywnością. Tak było

eprasa.pl 031a5817fa

z superwulkanem Yellowstone (ostatni wybuch 640 tys. lat temu). I tak wygląda pozostałość po wybuchu superwulkanu Taupo z Nowej Zelandii (26,5 tys. lat temu) czy po najmłodszej aktywności wulkanu Toba na Sumatrze.

Przez kilka dziesięcioleci geolodzy zastanawiali się nad pochodzeniem pewnego rodzaju skał (tefry), które obficie występują na lądzie i w osadach morskich w rejonie Morza Śródziemnego, a także dużo dalej – we wschodniej Europie aż do Uralu, w zachodniej Azji, północnej Afryce. Nie ulegało wątpliwości, że pokłady tej skały powstały w wyniku kolosalnego wybuchu wulkanu, ale skład mineralny skały „nie pasował" do żadnego wulkanu w tej części świata. Dopiero w drugiej połowie XX w. uzyskano dowody, że sprawcą musiał być wulkan, którego pozostałością są Pola Flegrejskie.

Geolodzy podjęli próbę rekonstrukcji przebiegu katastrofy na obszarze dzisiejszych Pól Flegrejskich. Przed 39 tys. lat pierwsza faza aktywności wulkanicznej wygenerowała stożek o wysokości ponad 4 km, z którego rozprzestrzeniło się 54 km sześc. osadów na terenie obecnych południowych Włoch. Podczas drugiej fazy zostało rozproszone 154 km sześć. drobniejszego materiału, który dotarł m.in. aż do Syberii. Objętość osadów wulkanicznych, jak obrazowo ocenili polscy geolodzy, specjaliści od geozagrożeń, W. Mizerski i M. Graniczny, stanowiła w przybliżeniu ekwiwalent ośmiu masywów najwyższego szczytu Ziemi, Mount Everestu (dla porównania: Wezuwiusz podczas swojej katastrofalnej erupcji w 79 r. wrzucił do atmosfery osady o objętości 4 km sześc.). Erupcja spowodowała również przedostanie się ogromnych ilości pyłu oraz aerozoli do stratosfery, co zainicjowało „wulkaniczną zimę". W jej efekcie globalne średnie temperatury na Ziemi obniżyły się o 2 st. C, a w Europie o 5 st. C. Spowodowało to spowolnienie rozwoju wczesnych cywilizacji na obszarze Europy.

ŻYCIE NA WULKANIE

Jakkolwiek brak jest typowego stożka wulkanicznego, krajobrazowy efekt tej katastrofy jest dobrze czytelny. Powstała gigantyczna kaldera o średnicy ok. 13 km, częściowo pod wodami zatoki Pozzuoli. W części lądowej kaldery, w dużym stopniu zasiedlonej, utworzyły się 24 kratery, z których nieustannie wydobywają się para wodna i inne gazy (dwutlenek węgla, tlenek siarki). Świadczy to o tym, że podziemny zbiornik magmy (na głębokości ok. 3 km) jest już ponownie wypełniony, a płynna skała przemieszcza się ku powierzchni. Najbardziej niepokojące dla mieszkańców są jednak pionowe ruchy gruntu. Zwykle rzędu kilku centymetrów. Jednak w skali dziesięcioleci doszło w okolicy miasteczka Pozzuoli do wypiętrzenia podłoża o ok. 4 m. Ruchom towarzyszą trzęsienia ziemi, zazwyczaj niegroźne, ale wiosną tego roku doszło do wstrząsów o magnitudzie 4,4.

Wielu wulkanologów uznało to za zwiastun rychłego wybuchu. Modelowanie sytuacji przez badaczy z University College London wykazało, że fragmenty powierzchni wulkanu są już rozciągnięte do granic i wzrost ciśnienia w zbiorniku może doprowadzić do spękań skalnej skorupy i uwolnienia magmy w sposób trudny do przewidzenia. Wiosną i latem tego roku, gdy niepokojące zjawiska przybrały na sile, włoscy i brytyjscy naukowcy alarmowali, że erupcja superwulkanu, ukrytego pod Polami Flegrejskimi, jest coraz bardziej prawdopodobna. Włoska obrona cywilna opracowała plan ewakuacji obejmujący dwie strefy. Strefa czerwona, która odpowiada bezpośrednio polu wulkanicznemu, jest zamieszkana przez 750 tys. osób i musiałaby zostać ewakuowana przed erupcją. Strefa żółta, zamieszkana przez niecałe 900 tys. osób, która obejmuje również część Neapolu, będzie musiała zostać ewakuowana w zależności od skali erupcji. A władze rozważają nawet wariant finansowej rekompensaty dla osób, które zdecydują się na opuszczenie zagrożonego regionu.

Grozę potęguje hipoteza, zgodnie z którą Pola Flegrejskie są połączone z Wezuwiuszem. Jednoczesny wybuch obu wulkanów zdewastowałby znaczną część włoskiego buta i na co najmniej kilka lat zmienił klimat nie tylko w regionie, lecz także na całej planecie.

PAPIESKI WULKAN

Na oficjalnej liście Smithsonian Institution we Włoszech jest 14 wulkanów, ale tak naprawdę to trudno je policzyć. Są bowiem liczne wulkany uważane za wygasłe, a także takie, które pod jedną nazwą występują w formie kompleksów wulkanów (np. Góry Albańskie w pobliżu Rzymu czy Monti Sabatini). Na tej liście znajduje się też, jak się niedawno okazało, jeden „oszust". Chodzi o Larderello w Toskanii. Podczas weryfikacji zapisów stwierdzono, że nie ma żadnych dowodów na zaistnienie kiedykolwiek w tym miejscu wulkanu. Nie znaleziono żadnych śladów wylewów magmy, ale jest to bez wątpienia region o bardzo wysokiej aktywności geotermalnej. Doszło tu rzeczywiście w przeszłości do wybuchów, które ukształtowały kilka kraterów, ale był to skutek zjawisk freatycznych (erupcje spowodowane ciśnieniem pary wodnej).

Włoskie wulkany są bardzo zróżnicowane, zarówno pod względem budowy, urody, jak i zwyczajów. Cztery obiekty (właściwie kompleksy wulkanów) wulkanolodzy odesłali na emeryturę, traktując je jako wygasłe. Kompleks znany pod nazwą Gór Albańskich, położonych praktycznie na przedmieściach Rzymu, należy bez wątpienia do najpiękniejszych. Dwa połączone kratery wulkanu wypełnia jezioro Albano, na którego południowym brzegu znajduje się miejscowość Castel Gandolfo z powszechnie znaną letnią rezydencją papieży. Obserwacje wulkanologów wskazują, że wulkan Gór Albańskich należałoby jednak przenieść z kategorii wygasłych do kategorii drzemiących. Obserwuje się tu wydobywanie się dwutlenku węgla oraz znaczne wahania poziomu wody w jeziorze. Doszło nawet w czasach historycznych do przelania się jego wód, co doprowadziło do niszczycielskiej powodzi w Rzymie. Ale sam wulkan wybuchł ostatni raz ok. 5 tys. lat temu.

W Apeninach, na północ od Rzymu, można spotkać liczne ślady prawdziwie wygasłych wulkanów, a za takie uważa się te, które nie wykazywały aktywności od ponad 10 tys. lat. Jest wśród nich Monti Cimini (z malowniczym jeziorem kalderowym Vico), który był aktywny ponad 300 tys. lat temu. Jest też Monti Sabatini (z jeziorem Bracciano) nieczynny od 100 tys. lat. Za wygasły uważa się też wulkan Amiata, który milczy od ponad 10 tys. lat. Wygląda na to, że strefa aktywnych wulkanów przesunęła się w ciągu ostatnich kilkuset tysięcy lat na południowy zachód półwyspu, obejmując wybrzeża Morza Tyrreńskiego. To tam, w strefie od Neapolu do Sycylii, czai się zagrożenie dla Włoch i dla Europy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 031a5817fa

CUPRA FORMENTOR VZ 1.5 E-HYBRID

FOT. JAP

To auto dla tych, którzy lubią samochody z ognistym temperamentem i oryginalnym designem, a zwłaszcza dla tych, którzy bardzo lubią wyróżniać się w tłumie. Muskularna sylwetka tego crossovera w połączeniu z głębokimi przetłoczeniami nadwozia, agresywnie zarysowanym przodem oraz z lakierem Century Bronze Matt wpada w oko i błyskawicznie przyciąga wzrok przechodniów (a także kupujących – Formentor jest bowiem jednym z bestsellerów tej marki).

Ten design można albo kochać, albo nienawidzić, ale na pewno nie można przejść obok tego auta obojętnie. Sercem testowanej wersji Formentora jest napęd e-Hybrid o mocy 272 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 250 Nm, który tworzą czterocylindrowy silnik spalinowy o pojemności 1,5 l oraz jednostka elektryczna. Prędkość maksymalna to 220 km/h. Przyspieszenie tym autem od zera do 100 km/h zajmuje jednak aż 7 s. W porównaniu z mocniejszymi wariantami Formentora dużo trudniej jest więc o sportowe emocje. Jednak coś za coś. Hybrydowa odmiana (typu plug-in) pozwala przejechać w trybie elektrycznym ok. 100 km (podczas testu po mieście udało mi się zrobić 110 km). To zaś dystans, który przeciętnemu Kowalskiemu w zupełności powinien wystarczyć na codzienne dojazdy z domu do pracy i z powrotem. Średnie spalanie z pustą baterią (miasto, drogi krajowe, autostrady) wyniosło podczas testu 7,4 l/100 km.

Wnętrze jest wykończone materiałami wysokiej jakości z typowymi dla Cupry miedzianymi akcentami. Nie jest to może poziom klasy premium, ale wnętrze jest naprawdę przytulne. Nie można się też przyczepić do działania systemu multimedialnego, którym steruje się za pomocą 12,9-calowego wyświetlacza. Wszystko śmiga (i wreszcie nic się nie zawiesza). Auto mogłoby być jednak lepiej wygłuszone.

W wersji hybrydowej wadą tego auta jest kuferek o pojemności zaledwie 345 l (inne wersje silnikowe Formentora mają bagażnik 450-litrowy). Można go powiększyć, składając tylną kanapę do 1185 l.

Formentor może być uzbrojony m.in. w nowoczesne systemy monitorowania martwego pola, jazdy w korku, Pre-Crash Assist czy w inteligentnego asystenta utrzymania pasa ruchu.

Ceny Cupry Formentora z 1,5-litrowych silnikiem e-TSI zaczynają się od 151,4 tys. zł (150 KM). Testowany wariant 1.5 e-Hybrid o mocy 272 KM to wydatek co najmniej 257,3 tys. zł. Przyciągający wzrok matowy lakier Century Bronze wymaga dopłaty 10,9 tys., a obudowa lusterek z włókna węglowego zwiększy rachunek o nieco ponad 3 tys. zł. Dopłacić trzeba też za pakiety zwiększające bezpieczeństwo jazdy. Ostateczna cena bardzo przyjemnie skonfigurowanego egzemplarza testowego Formentora wynosiła więc 298,6 tys. zł.

HUAWEI WATCH D2

Funkcja całodobowego monitorowania ciśnienia tętniczego, monitoring jakości snu, możliwość zrobienia podstawowego EKG, elegancki wygląd, wytrzymała bateria (524 mAh) oraz wysoka odporność na kurz i wodę (IP68) – to największe zalety nowego smartwatcha chińskiej firmy Huawei.

Huawei Watch D2 nie wygląda jak urządzenie medyczne, lecz jak typowy inteligentny zegarek: ma 1,82-calowy wyświetlacz AMOLED o wysokiej jasności maksymalnej (1500 nitów). Najważniejsze jest zaś to, że ten model smartwatcha to zgrabnie wyglądające połączenie osobistego trenera z pielęgniarką z oddziału kardiologicznego i lekarzem z poradni leczenia zaburzeń snu. Watch D2 umożliwia 24-godzinne, automatyczne monitorowanie parametrów systemu krążenia. I nie chodzi tylko o puls, lecz także o ciśnienie tętnicze. Dzięki wąskiej mechanicznej poduszce powietrznej (ukrytej pod tradycyjnym paskiem) zegarek potrafi błyskawicznie przejść do pomiaru i pokazać odczyty ciśnienia skurczowego i rozkurczowego. Huawei Watch D2 jest certyfikowany jako urządzenie medyczne, a margines błędu w pomiarze wynosi ±3 mmHg. I rzeczywiście, gdy porównałem wyniki pomiarów za pomocą smartwatcha i zaawansowanego ciśnieniomierza, były one zazwyczaj bardzo zbliżone. Huawei Watch D2 ma zaś tę przewagę, że można go mieć przy sobie podczas dojazdów do pracy, w czasie nerwowej narady w biurze czy podczas wytężonego wysiłku w ogródku, czyli tam, gdzie zazwyczaj nie zabiera się ciśnieniomierza.

Testowany smartwatch potrafi wykonywać podstawowe EKG. Nie zastąpi ono profesjonalnego badania, ale uzyskiwane tak regularnie dane mogą pomóc w rozpoznaniu typowych chorób kardiologicznych. Zegarek monitoruje też jakość snu (a także ułatwia zasypianie przez emitowanie białego szumu czy odtwarzanie muzyki relaksującej). D2 sprawdza poziom natlenienia krwi (SpO2), a także ostrzega, gdy poziom stresu jest zbyt wysoki. Wszystkie parametry można sprawdzić w bezpłatnej aplikacji, np. w formie przejrzystych cotygodniowych raportów. Do wyboru jest też ponad 80 trybów treningowych, co utrudnia szukanie codziennych wymówek.

Wady? Testowanym smartwatchem nie można niestety płacić w sklepach. Watch D2 nie obsługuje technologii eSIM. Brakuje też np. możliwości podglądu mapy podczas biegu. Cena: 1599 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 031a5817fa

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Karczma na bagnach

Karczma na bagnach" to film fantastyczno-historyczny z 1981 r. w reżyserii Zygmunta Lecha i na podstawie opowiadania Jerzego Gierałtowskiego. Kultowa pozycja dla miłośników dawnej Rzeczypospolitej. Jednocześnie „półkownik", który zatrzymany przez cenzurę przeleżał w archiwum aż do 1989 r. Opowiada o poruczniku wojska koronnego, który w 1770 r., jadąc do Łęczycy, zatrzymuje się w tytułowej karczmie na bagnach. Tutaj staje się świadkiem, jak trzy diabły – moskiewski Dytko Smoleński, pruski Smętek i polski Łęczycki – przeprowadzają rozbiór Rzeczypospolitej. Być może jednak dla opowiadania i filmu inspiracją było prawdziwe zdarzenie, które miało miejsce w styczniu 1733 r. w Krośnie Odrzańskim. Król Polski August II Mocny jadący do Warszawy spotkał się wówczas z pruskim ministrem Friedrichem Wilhelmem von Grumbkowowem.

RYS. QBA

Król był w fatalnym stanie, trapiła go cukrzyca, ledwo trzymał się na nogach. Kiedy zaprosił Grumbkowa do swego pokoju, upadł na niego. Pruski minister posadził go na krześle, wtedy August przedstawił propozycję – zamierzał doprowadzić do częściowego rozbioru Rzeczypospolitej w zamian za pomoc Prus i Moskwy w obróceniu pozostałej części w dziedziczne państwo Wettynów. Jak pisał Grumbkow w raporcie: „[August] dał hojnie [królowi Prus] Toruń i duży pas z miastami Prus Królewskich z wyjątkiem Gdańska. Sobie zarezerwował Wielkopolskę, Małopolskę i Wilno, a reszta przypadłaby Rosji [...]. Bez tego nie chce sukcesji w Polsce, mój syn nie wytrzyma tego, co ja wytrzymałem przez lat trzydzieści".

Następnie rozmowy przeniosły się do stołu. August II był w dobrym nastroju: „Od kiedy jestem w Dreźnie, nigdym tak dużo nie jadł" – powiedział, biesiadując przez sześć godzin. Spytał, czy Grumbkow ma szampana. Kiedy okazało się, że tak, kazał go podać i zaczął mocno pić. Zlitował się jednak nad gościem, pozwalając mu wznosić toasty przegotowaną wodą. „Kazawszy sobie podać mapę Polski, raz dawał dyspozycje, jak mają wszyscy trzej [zaborcy] działać łącznie, kiedy indziej wolał zaczekać, aż Prusy i Rosja zaczną i zaproszą go do współdziałania" – podsumował pruski minister.

Następnego dnia August II czuł się jeszcze gorzej, przed szóstą wezwał jednak Grumbkowa. „Siedział przed kominkiem z gołymi nogami i rzekł: Ładnieś mnie pan urządził? Tak to się żyje trzeźwo? Czuję w głowie zupełną pustkę. Jakżeś ty to zrobił? Wyglądasz całkiem świeżo!". „Jednego dnia uda się wypić lepiej, kiedy indziej gorzej" – odpowiedział Prusak. Na co król rzekł: „Mój drogi Grumbkowie, postaraj się, proszę, stanąć jak najprędzej w Berlinie i poprosić króla, żeby tego wszystkiego nie rozgłaszał, bo mi Polacy gotowi skręcić kark, słyszysz? Ja na to: „Wasza Królewska Mość, od króla to na świat nie wyjdzie, ale jeśli wielu ludzi wie o pewnej sprawie, to jak ona ma pozostać w ukryciu?". Król: „To też proszę cię o to bardzo: ty nie znasz Polaków!". Wczoraj potraktował ich jak nikczemną hołotę. Wreszcie, aby go uspokoić, obiecałem wszystko, czego chciał, a on powiedział: „To jeszcze położę się spać". I położył się do łóżka.

Raport Grumbkowa kreśli przerażającą scenę. Oto król Polski sam przygotowuje rozbiór kraju. Szok? Być może nie do końca, bo historycy jak Władysław Konopczyński uważali, że już w 1721 r. jego nadworni Żydzi próbowali przedstawić Prusom i Austrii rozbiór kraju w zamian za pomoc w przeprowadzeniu reform w duchu absolutystycznym. Wówczas sprzeciwił się temu... car Piotr I, odsłaniając całą intrygę, aby skłócić Polaków z królem i umocnić swoje wpływy.

August II Sas nie pożył długo. Wróciwszy do Warszawy, zmarł w męczarniach 1 lutego, gdyż otworzyły mu się rany na nodze i wdała się gangrena.

Dziś tylko możemy się domyślać, gdzie w Krośnie odbyło się spotkanie króla i Grumbkowa. Zapewne w domu zajezdnym, lecz przecież nie w zwykłej karczmie. Być może był to wzniesiony przy rynku w 1709 r. hotel Pod Złotym Słońcem. Nie przetrwał drugiej wojny światowej, kiedy w 1945 r. miasteczko zalały sowieckie hordy, niszcząc zabudowę, a powojenne władze rozebrały prawie wszystkie stare kamienice, wysyłając cegły m.in. na odbudowę Warszawy.

Czy rzeczywiście król August II Mocny dwa tygodnie przed śmiercią przygotowywał rozbiór Polski i Litwy? Wybitny badacz jego czasów Jacek Staszewski uważa, że wszystko to wymyślił Grumbkow, który w bezczelny sposób sfałszował raport. W rzeczywistości to właśnie pruski dyplomata przedstawił Augustowi ofertę, w której w zamian za część ziem Polski miały zagwarantować one sukcesję tronu dla syna Fryderyka Augusta II, a król Polski nie zgodził się na to. Wydaje się to najbliższe prawdy. ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Sałatka festiwalowa

Na początku października byłyśmy na Festiwalu Filmowym NNW w Gdyni. To przegląd filmów fabularnych i dokumentalnych z Polski i ze świata, których osnową są wydarzenia historyczne bądź nieznane historie niezwykłych ludzi.

Jak to na festiwalu – życie toczy się w salach kinowych oraz w bufetach i kawiarenkach położonych tuż przy nich. Wszyscy biegają z jednego pokazu na drugi i zachłannie pochłaniają kolejne historie. Rozmowy także dotyczą historii świata, Polski czy też poszczególnych osób. Ale są też zwykłe wieczorne Polaków rozmowy. Przy czym?

W tym roku bardzo smakowała wszystkim zupa rybna serwowana w nadmorskim Kontraście – restauracji położonej na plaży. W ogóle Gdynia ma to do siebie, że prosto z eleganckiego deptaku schodzi się na zadbaną plażę i w zasadzie w ciągu pięciu minut można zacząć odpoczywać, patrząc w morze i oglądając żaglówki na horyzoncie.

Co prawda, wieczorami do napojów zazwyczaj jadało się jakieś chipsy czy chrupki, ale za to na śniadanie bardzo smakowała wszystkim sałatka jajeczna.

Przepis jest bardzo prosty: jajka krojone w dość duże kawałki – na sześć albo osiem części, rzodkiewka, ogórek konserwowy krojony w drobną kostkę, szczypiorek lub zielona cebulka i majonez, właściwie to dużo majonezu.

Był to dobry podkład na wielogodzinne seanse i spotkania.

Jako że jesienią zalecamy jedzenie ciepłych, treściwych zup – to proponujemy włączyć do jadłospisu również zupę rybną.

Zupa rybna

• 35 dag szczupaka, suma, karpia lub innej ryby (jak są głowy i ogony, to można dodać do wywaru) • 20 dag włoszczyzny • 3 litry wody • 200 ml śmietany • łyżka mąki • liść laurowy • kilka ziaren ziela angielskiego • gałka muszkatołowa • sól, pieprz

Z włoszczyzny i ryby oraz przypraw ugotować wywar. Przecedzić, mięso z ryby obrać i odłożyć. Część wywaru odlać, lekko przestudzić, dodać mąkę i śmietanę, dokładnie wymieszać, dodać do reszty wywaru i zagotować. Podawać z pulpecikami rybnymi: odłożone mięso z ryby zmielić, dodać surowe jajko, namoczoną i odciśniętą bułkę, sól i pieprz do smaku, wyrobić kuleczki, obtoczyć w mące, wrzucać do gotującej się osolonej wody, gotować przez 5 min. Uwaga: drobno pokrojoną włoszczyznę można również dodać do zupy. ©℗

FOT. ADOBE STOCK (X2)

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Okulary, ostatni gest mody

Czterdzieści oprawek już przymierzonych, następnych 40 czeka w gablocie. Próbować jeszcze tamtych czy po prostu wziąć te pierwsze i uciec? Może one były najlepszym wyborem? Kupno nowych okularów to nie jest prosta sprawa. Nie pomoże najświatlejsza i najżyczliwsza konsultacja; każdy już przy 15. parze zaczyna mieć chaos w głowie.

A okulary ważna rzecz. Mówią o nas więcej niż ubranie, mówią, zanim otworzymy usta. Dyskretne czy ekstrawaganckie? Markowe, koniecznie z nazwą firmy na zauszniku? Duże, małe, z oprawką czy może same szkła? Lenonki czy oprawki à la Gomułka? Plastikowe, metalowe czy w ogóle bez ramki? A może biżuteryjne? Intelektualista czy artysta? W każdym razie dwie godziny męki u optyka warte są rezultatu. W końcu okulary stają się częścią twarzy, prześwietlają nas i wynik publikują na gębie. Stają się wersją nas samych, nawet gdy są tylko sprzętem optycznym, niemodnym dodatkiem. W filharmonii spotykałam prof. Michała Głowińskiego (zmarłego w zeszłym roku), który, jak sądzę, nie zastanawiał się nad kształtem swoich oprawek. I one, model z lat 70., właśnie to komunikowały.

Uderzyła mnie ostatnio skłonność do dużych, wyrazistych, mocnych oprawek, najczęściej czarnych. Ujawnia się szczególnie u osób w wieku dojrzałym. Oczywiście Andy

Warhol i najbardziej znana amerykańska fashionistka, staruszka Iris Apfel – u obojga okulary nie miały wartości korekcyjnej, lecz były trikiem na przyciągnięcie uwagi. Tak samo czerwone, jaskrawe u Owsiaka, który koniecznie chce udawać nastolatka. Ale np. Monika Jaruzelska czy Karolina Korwin-Piotrowska nie przesadziły z wielkością i wyraziste oprawki dobrze „siedzą" im na twarzy.

Zaczęłam się zastanawiać, czy to już trend i czy sama nie powinnam zamienić moich skromnych szylkretowych okularów na coś bardziej wyrazistego, bo może taka mocna oprawka nie tylko odwraca uwagę od zmarszczek, lecz także komunikuje jakąś powagę osoby. Czyżby? Nie zawsze, sądząc po Andym Warholu. Coś jest na rzeczy. Z pomocą przyszedł „New York Times", który, jak wiadomo, ma odpowiedzi na wszystkie pytania (uwaga: ironia). „Nastolatki wolą szkła kontaktowe – pisze Vanessa Friedmann, redaktorka »NYT«. – Nie jest cool nosić okulary. Dopiero w momencie, gdy wzrok się psuje, zaczynamy się nad tym zastanawiać. I wtedy w grę zaczynają wchodzić stereotypy i konwenanse". Tak, starsi się nie poddają. Nie noszą już modnych dżinsów, ale zostały im jeszcze okulary. ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Planeta płonie, a Księżyc stygnie

Za pandemii to co chwila byliśmy zaskakiwani rewelacjami co do niesamowitych skutków, które powoduje wiadomy wirus. Egzemplifikacją tego jest do dziś nierozstrzygnięty dylemat, czy wirus podwyższa czy obniża męskie libido.

Ale przychodzą nowe rewelacje, co dość dziwi. Dziwi, bo wyszukiwanie różnych pocovidowych subtelności przychodzić powinno dopiero wtedy, kiedy pryncypia są ustalone. A nie są. Nikt nie przeprowadził bilansu pandemii, jej powodów, zasięgu, racjonalności reakcji władz. Do dziś też nie jest wyjaśnione, co pływa w polskich żyłach po akcji z „najlepiej przebadaną szczepionką w historii", choć następne partie na n-ty wariant „grypy tysiąclecia" idą transportami do rządowych magazynów, a stamtąd do… zlewu.

Cóż więc wyszło ostatnio? Ano to, że przez tego wirusa – uwaga! uwaga! – spadła temperatura na Księżycu. Na początku myślałem, że to fejk, ale sprawdziłem: tak, naukowcy w Laboratorium Badań Fizycznych z Ahmadabadu w Indiach po pierwsze zdiagnozowali spadek temperatury na Księżycu, ale znaleźli jego przyczynę. Okazuje się, że to wszystko przez wirusa, a właściwie towarzyszący mu spadek aktywności człowieka, stymulowany przez lockdowny. Emitowaliśmy za mało ciepła, Księżyc zaś z tego powodu się schłodził. Brzmi logicznie, choć komicznie? Tak, ale ma to dowodzić niesamowitego wpływu działalności człowieka na klimat na poziomie – jak słyszymy – wręcz kosmicznym. Tak, COVID to był kosmos. „Księżycowa teza" zalatuje od razu klimatystyczną sektą – ta dawno utrzymuje, że jeśli nasza aktywność, a właściwie jej brak, za pandemii spowodowała efekty na skalę kosmiczną, to co dopiero, jak my tu smrodzimy i precz ze wszystkimi denialistami, którzy twierdzą, że nasz wpływ na klimat jest żaden. Jak to żaden, skoro nawet Luna nasza oziębła?

Taka teza rodzi wiele ciekawych konsekwencji. Pierwsza, taktyczna, jest z sekciarstwem klimatycznym sprzeczna. Skoro nasz COVID tak zmniejszył ziemską emisję ciepła, to skąd alarmistyczne ostrzeżenia, że planeta płonie? Ale strategicznie to pandemiczne schłodzenie naszego satelity potwierdza progresywny kierunek: żeby zmniejszyć nasze – jak widać – kosmiczne wpływy na jednak nagrzewanie się Ziemi, warto jednak ograniczać naszą aktywność, szczególnie przemysłową. I tu przoduje Europa, jak widzimy wszyscy. Jesteśmy więc „na ścieżce i kursie", co potwierdził nasz Księżyc właśnie. A przy takim podejściu każda następna pandemia będzie więc zjawiskiem błogosławionym dla planety. Aż tak błogosławionym, że gdybym był rozgrzanym (sic!) klimatystą… sam bym ją wywołał. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Terapia czy eutanazja

Kilka miesięcy temu opublikowano wytyczne dotyczące tzw. terapii daremnej. Wytyczne zostały poparte przez większość towarzystw naukowych. W powszechnym mniemaniu „terapia daremna" oznacza tyle co „uporczywa terapia". Ale czy terminy są tożsame? Po drugie, skoro dowiadujemy się, że większość towarzystw poparła, to znaczy, że ktoś protestował. Na przykład kardiolodzy uważają, że zbyt często chorzy wymagający intensywnego leczenia byli dyskwalifikowani bez wnikliwej oceny, a w stanach zagrożenia życia spóźnione wdrożenie intensywnego leczenia pogarsza rokowanie.

Grupa Robocza pod kierunkiem prof. Wojciecha Szczeklika przyjęła definicję opracowaną w 2008 r. Czytamy tam, że „terapia daremna" to „stosowanie procedur medycznych w celu podtrzymania funkcji życiowych nieuleczalnie chorego, które przedłuża jego umieranie, wiążąc się z nadmiernym cierpieniem lub naruszeniem godności pacjenta". Problem w tym, że jest to dokładnie definicja „terapii uporczywej", a w przypadku tej istniał konsensus.

Czy zamiana używanego dotychczas terminu i wytyczne mają rozszerzyć zakres przypadków, w których możliwe i zalecane jest niewdrożenie lub niezwiększanie intensywności stosowanej terapii lub odstąpienie od działań podtrzymujących funkcje życiowe (sztuczne wentylacja i odżywianie)?

Okazuje się, że tak. Autorzy przyznają, że potrzebna jest efektywna, przesiewowa ocena pacjentów w kierunku opieki paliatywnej w momencie przyjmowania do szpitala. W nowych wytycznych istnieją wskazówki, na kogo w takiej sytuacji należy zwrócić szczególną uwagę.

Są to osoby: u których spodziewany czas przeżycia wynosi poniżej 12 miesięcy; u których m.in.: występuje zaawansowana niewydolność serca, aktywna/rozsiana choroba nowotworowa, przewlekła choroba płuc w okresie domowej tlenoterapii, zaawansowane otępienie oraz inne choroby przewlekłe o krótkim przewidywanym czasie przeżycia; które były hospitalizowane więcej niż raz z powodu zaostrzenia zaawansowanej choroby przewlekłej w ciągu ostatnich 12 miesięcy; które wymagają stałej opieki innych osób; u których w ostatnich tygodniach nastąpiło nieodwracalne pogorszenie stanu ogólnego.

Niepokojących pytań jest wiele. Na przykład dlaczego w wytycznych wymiennie używane są pojęcia „choroba terminalna" i „choroba przewlekła"? Kto na izbie przyjęć będzie uprawniony stwierdzić, że spodziewany czas przeżycia wynosi poniżej 12 miesięcy? Pokolenie lat 50., gdy rocznie rodziło się 800 tys. dzieci, wchodzi w ósmą dekadę życia. Zatem wytyczne skrojone są pod nasze pokolenie. ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Popiskuje biedą...

Posłanka Platformy Kinga Gajewska przypomniała sobie, że dostała dom, i dopisała go ręcznie jako darowiznę do oświadczenia majątkowego nieco po czasie. Stop. Gajewska przypomniała też sobie, że dostała od męża 40 tys. zł, i dopisała je do oświadczenia majątkowego odręcznie nieco po czasie. Stop. Czy ktoś z państwa zapomniał ostatnio o prezencie z domu albo bilonie do kieszeni z 40 tys. zł od współmałżonka? Stop. Jeśli tak, to proszę zmienić leki i zacząć płacić podatki!

Arkadiusz Myrcha z Platformy, prywatnie mąż Kingi, a państwowo wiceminister sprawiedliwości, kupił do biura poselskiego cztery ekspresy do kawy. Stop. Cztery. Stop. Marek Jakubiak zakpił z biedaka, że może ów nie wie, iż każdy ekspres ma kilka przycisków do różnych kaw i nie trzeba od razu kupować czterech... Stop

Czy można z ministra rolnictwa zrobić chłopca na posyłki? Stop. Trudne pytanie, ale premierowi Tuskowi chyba trochę się udało, kiedy w czasie posiedzenia rządu obradującego o alkoholu w tubkach wypowiedział do Czesława Siekierskiego zaklęcie: „Czesław, proszę, żebyś teraz pojechał do resortu i sprawę rozstrzygnął". Stop. Czesław wstał i pojechał rozstrzygać. Stop. Bezlitośni internauci zaczęli więc bawić się tą frazą z różnymi wariacjami: „Czesław, kiełbasy mi kup", „Czesław, ze zmywarki wyjmij". Stop. Czesław nie zawsze jest jednak skory...

Pamiętają państwo konkret Tuska – 60 tys. zł wolne od podatku? Jeśli tak, to niech państwo zapomną. Stop. Nie ma o nim słowa w nowej strategii finansowej rządu. Stop. To była po prostu taka metafora, a teraz uśmiechamy się – szerzej, szerzej! – bo źle jest przyjmowany brak entuzjazmu, choć jeszcze nie zakazany.

Dziesięć tysięcy ludzi na 70 mln zł oszukać miał Palikot. Stop. Tworzył spółkę z Jakubem Wojewódzkim i „pozyskiwali inwestorów". Stop. Według prokuratury Palikot łaskawca oszukał jednak tylko połowę udziałowców, co bez wątpienia będzie okolicznością łagodzącą, a może nawet dostanie odszkodowanie. Stop. Palikota sąd aresztował, a Kuba Wojewódzki cieszy się wolnością, bo jako wspólnik nic nie wiedział o żadnych wyłudzeniach, oszustwach i naciąganiu naiwniaków. No bo niby skąd miał widzieć?

Olga Tokarczuk (to ta pani, która ma makaron na głowie) dostała 17 mln zł od Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości. Stop. Ale właściwie to nie ona, tylko jej spółka, w której są cztery osoby, i nie, że ot tak dostała, tylko ma stworzyć postacie do gry komputerowej. Stop. W sumie jak podzielić te 17 mln na cztery, to jednak popiskuje biedą... ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Małpy świętują

Z niezwykłą inicjatywą wystąpił właśnie rząd Hiszpanii. Polski portal internetowy o2 informuje o niej w artykule zatytułowanym triumfalnie „Wielki krok Hiszpanii. Chce nadać małpom prawa człowieka". Jak informuje hiszpański minister José Ramón Becerra, rząd rozpoczął właśnie etap konsultacji społecznych, poprzedzających wniesienie ustaw dotyczących ochrony małp człekokształtnych pod obrady hiszpańskiego parlamentu.

Zwolennicy projektu odwołują się do „wspólnego pochodzenia" człowieka i wielu gatunków małp, takich jak goryle, orangutany, szympansy i szympansy bonobo.

Beneficjentami nowego prawa ma być ok. 140 małp człekokształtnych przebywających obecnie w Hiszpanii. Będą one objęte ochroną, polegającą na zakazie jakichkolwiek eksperymentów i badań, które mogłyby małpom zaszkodzić. Zakazane mają zostać wszelkie występy, pokazy i przedsięwzięcia komercyjne z udziałem małp, uregulowana będzie kwestia własności, a raczej opieki nad zwierzętami, które otrzymać mają osobowość prawną.

Zdaniem hiszpańskich prawodawców uzasadnieniem nowego prawa są „genetyczna bliskość" człowieka z małpami oraz wypełnianie przez nie 15 kryteriów, które amerykański bioetyk, prof. Joseph Fletcher, uznał w 1975 r. za konstytuujące „człowieczeństwo". Są wśród nich m.in. „minimalna inteligencja", samoświadomość, samokontrola, poczucie czasu i umiejętność troszczenia się o innych. Warto dodać, że Joseph Fletcher był wykładowcą na prestiżowych uniwersytetach, autorem licznych książek, setek artykułów naukowych oraz wyświęconym kapłanem amerykańskiego Kościoła episkopalnego (w późniejszym okresie życia nazywał siebie ateistą). W roku 1974 Amerykańskie Towarzystwo Humanistyczne przyznało mu tytuł Humanisty Roku. Profesor Fletcher był też prezesem amerykańskich stowarzyszeń propagujących aborcję, eutanazję, dzieciobójstwo, eugenikę, dobrowolną sterylizację i klonowanie. Oto co inspirator hiszpańskich ustawodawców pisał o ludziach z syndromem Downa: „Rodzice ich nie muszą czuć się winni, jeśli usuną nosiciela zespołu Downa – wysyłając go do instytucji opiekuńczej lub usuwając w bardziej odpowiedzialny, śmiertelny (»lethal«) sposób. To smutne, lecz nie pociąga za sobą winy. Wina rodzi się z działań przeciw osobie, a nosiciel zespołu Downa nie jest osobą".

Aborcja w Hiszpanii dozwolona jest do 14. tygodnia ciąży, w szczególnych wypadkach do 22. tygodnia. O projekcie ustawy, przyznającej nienarodzonym dzieciom prawa choćby tak korzystne jak małpom, nic na razie w Hiszpanii nie słychać. ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Mrożku, dopadnie Cię Ireneo

JOANNA SIEDLECKA

Talent, wczesny sukces i rozgłos towarzyszący debiutanckim utworom Ireneusza Iredyńskiego („Dzień oszusta" i „Ukryty w słońcu"), zagraniczne przekłady oraz inscenizacje jego sztuk zaniepokoiły kolegów literatów, którzy dostrzegli w nim groźnego konkurenta. Zawiść i zazdrość, które go otoczyły, nie ominęły najwybitniejszych – Lema, Mrożka, którego wyprzedził w tłumaczeniach, „łóżkowym powodzeniu", popularności wśród młodych gniewnych, o której partyjny do 1964 r. Mrożek, pisujący długo o Nowej Hucie, nie mógł nawet marzyć. To podobno Lem i Mrożek, żeby go ośmieszyć, puścili o nim nieprawdziwą plotkę, jakoby – choć przeczą temu dokumenty – nazywał się Kapusto czy Kapustko, a w swoich listach pisali o młodszym rywalu, niby to żartem, w sumie jednak wyjątkowo okrutnie i niesprawiedliwie.

„Iredyński urósł fizycznie, rozrósł się i podwyższył, tak więc jest tego świństwa parę kilo więcej, materiał, masa, ciężar zła powiększyły się w sposób sprawdzalny laboratoryjnie" – pisał Mrożek 23 października 1960 r.

„Ireneo jest z twarzy obleśny, porządnie alkoholicznie obrzmiały, wydań mnóstwem zagranicznych się chlubi [...]. Twierdzi, że TRZY mu teraz filmy u nas kręcą, że pisze PROSTO dla zagranicy Utwory Prozą, które migiem tam tłumaczą, portkami trzęsąc z uciechy" – pisał Lem 29 października 1964 r. Nazywał go literackim karaluchem, łajdakiem, ostatnim kutasem, mikrognojem, bydlakiem minimalnego kalibru, chucpowatym gówniarzem, który ma w dupie, ekshibicjonistą, piszącym tylko o mordoobijaniu, naparzaniu, wpychaniu i wyciąganiu, cycek szczypaniu, gwałceniu.

Donosił też „drogiemu Sławkowi" o kolejnych ekscesach „Irenaty". Na przykład 1 kwietnia 1963 r. pisał, że „w Oborach rozbił po pijanemu naczynia, a gdy mu Zarząd Główny przedstawił rachunek za rozbite szkło, wykłócał się i mimo rzekomego zalania, pamiętał, ILE kieliszków stało na obrusie, który ściągnął (kierowniczka dopisała mu parę stłuczonych podczas ogólnej orgii)". „Zazdroszczę, i ja tak chciałbym. Cóż to za rozkosz tak sobie pogwałcić, popalić, pobić" – odpowiadał Mrożek.

Zawiść i zazdrość, które otoczyły Ireneusza Iredyńskiego, nie ominęły najwybitniejszych – Lema, Mrożka

Najczęściej jednak Lem ostrzegał go przed nadciagającym konkurentem. „Zwracam uwagę na Kolegę i Somsiada Waszego w »Dyalogu« Szalenie zdolnego Kurwipołcia, Jebura Ontologicznego, Super Maciornika, którego »Jasełka takie Moderne« przeczytałem wczoraj [...]. Pisze z jajami – z Biglem – fakt! Ostrzegam Was! Popędźcie Waszą Klaczkę Skrzydlatą, bo w przeciwnym wypadku Ireneo dopadnie ją z tyłu i szybko wyjebie [...]. Są tam partie doskonałe. Choć oczywiście moc tam taniochy [...]. Widzę doraźną potrzebę dojebania Iredyńskiemu za tę sztukę, ale na pewno będzie akurat na odwrót; zaraz cmokiery mu Zadek Genialny, Obliżą, Mu wlezą, że taki Zdolny (zdolny to on jest, ale rogowy, tj. szybciej daje na rogu, niż może), poza tym kto się odważy krytykować, gdy on Mordę Nabije, Chuja Wyrwie, roześmieje się i zaraz poleci do panienek zakochanych w jego Mocy Eudajmonicznej!?" – pisał 12 grudnia 1962 r.

„Najbardziej jednak przygnębia fakt, że dwie dorosłe osoby, takie jak my, tracą na niego tyle czasu. Najwyraźniej zakorzenił się w naszym życiu. Chwile poświęcone myśleniu o tym wszystkim nigdy nie zostaną nam zwrócone" – przyznawał Mrożek 19 grudnia 1962 r. „Okrutnie on Ci zalazł za skórę i wiem, że żadnym listem ani żadnymi artykułami (»Młot na Ireneusza«) nie odskórzy się go łatwo" – pocieszał go Lem (1 kwietnia 1963 r.). Tłumaczył mu, że Ireneo nie zniknie ani się nie zapije – jest na to zbyt ostrożny, powinni więc „poświęcać mu tyle uwagi, co innym dziwolągom, i móc spokojnie i ze szczyptą zwyczajnej złośliwości lub rozbawienia komentować jego czyny".

Niespodziewanie również dla nich Ireneo jednak zniknął. W grudniu 1965 r. Lem napisał do Mrożka, już emigranta, że „ich przyjaciel" „został posadzony za gwałt czy tylko jego usiłowanie". Choć być może, jak zresztą większość literackiej braci, cieszyli się, słowem tego nie komentowali.

Od razu było wiadomo, że to ubecka prowokacja, córka wysoko postawionego ubeka oskarżyła ich (Iredyński był z kolegą, wybitnym reżyserem Edwardem Żebrowskim) o próbę gwałtu. Mieli stać się symbolem moralnego zepsucia artystów. Dostali trzy lata ciężkiego więzienia. Po wyjściu Iredyński nie napisał już nic równie drapieżnego jak jego pierwsze utwory. ©℗

Korzystałam z „Listów Lema i Mrożka", WL, 2011.

eprasa.pl 031a5817fa

ELON

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Elon Musk urodził się w 1971 r. w RPA. Przed ukończeniem 18. roku życia wyemigrował do Kanady, ponieważ nie chciał popierać apartheidu poprzez obowiązkową służbę w armii RPA. Później apartheid upadł, zaczęły się prześladowania białych i masowa emigracja całych rodzin. Biali tracili dorobek życia, nie pozwalano im zabrać nawet pieniędzy z banku (wyjątek stanowiły opłaty na zagraniczne studia). W tamtych czasach i jeszcze do niedawna Elon Musk miał poglądy lewicowe. W Kanadzie pracował na farmie, przy czyszczeniu kotłów, przy wyrębie lasów. Studiował na kilku doskonałych uczelniach. Ma trzy obywatelstwa: RPA, kanadyjskie oraz amerykańskie. Gdy zamieszkał w USA, popierał demokratów.

Od roku 2021 jest najbogatszym człowiekiem świata. Kupił Twitter, wywalił cenzorów, wykasował algorytmy ograniczające zasięgi i dostęp do informacji, zmienił nazwę serwisu na X i przywrócił wolność słowa (w tym konto Donalda Trumpa).

Musk to geniusz i przedsiębiorca. Amerykański przemysł samochodowy upadł, a Musk stworzył pierwszą od dziesięcioleci nową fabrykę samochodów (Tesla) i odnosi sukcesy. Ma też fabrykę rakiet kosmicznych (SpaceX) i szykuje wyprawę na Marsa. Jego sieć satelitów Starlink zapewnia Internet w 105 krajach świata, w tym w miejscach, gdzie brak sieci naziemnej (front na Ukrainie, pustkowia Arizony, tereny zniszczone przez huragan Helen).

Po pierwszej próbie zamachu Musk oficjalnie poparł Trumpa. Elon nie jest naiwny i całe życie był liberałem, a jednak popiera Trumpa. Stwierdził, że Partia Demokratyczna proponuje teraz rzeczy obiektywnie złe, zmienia się w radykalną sektę komunistów, a dawne wartości demokratów reprezentuje aktualnie… ruch MAGA (Make America Great Again). Nie on jeden tak myśli. Od demokratów odwróciła się nawet elita z Doliny Krzemowej, czyli najbardziej liberalna grupa w USA.

***

5 października Trump wrócił na miejsce pierwszego zamachu na swoje życie – aby dokończyć przemówienie przerwane kulą z karabinu. Zaczął tak, jakby pomiędzy zdaniem wypowiedzianym w lipcu a pierwszym zdaniem wypowiedzianym teraz nie było żadnej przerwy: „Jak mówiłem…”. Publiczność wstała wiwatować! Takiego prezydenta chce mieć Ameryka. Takiego, który się nie poddaje i umie doprowadzić do końca to, co zaczął.

Na tym wiecu był też Elon Musk. Wszedł na scenę w czarnej czapce z haftowanym na czarno napisem „MAGA” (czarne na czarnym, czyli prawie nie widać). Te czapki to mem – symbol podobny do oporników noszonych w Polsce w czasie stanu wojennego. Symbol podziemnego oporu wobec komunistów. Musk miał też koszulkę z hasłem „OKUPACJA MARSA”. To kolejny mem – Ameryka była liderem podboju kosmosu i zdobyła Księżyc, a teraz Trump i Musk mają plany wobec Marsa.

Elon przemawiał tak:

„Jak widzicie, nie jestem MAGA, ale Mrocznym MAGA. Najpierw chcę powiedzieć, że to zaszczyt być tutaj. Prawdziwym sprawdzianem charakteru człowieka jest to, jak ten człowiek zachowa się pod ostrzałem. Mamy prezydenta (Biden), który nie potrafi wejść po schodach do samolotu. Mieliśmy też takiego (Trump), który wzniósł zaciśniętą pięść chwilę po tym, gdy został postrzelony: Walcz, walcz, walcz! Gdy krew płynie po twarzy.

Ameryka jest domem ludzi dzielnych. I nie ma bardziej wiarygodnego testu jak ten sprawdzający odwagę w obliczu śmierci. Kto zatem, według was, powinien reprezentować Amerykę? Bez wątpienia Donald Trump.

Myślę, że to najważniejsze wybory w naszym życiu. I one nie są zwyczajne. Druga strona chce pozbawić was wolności wypowiedzi. Chce wam też zabrać możliwość skutecznego głosowania. Aktualnie w 14 stanach nie wymagają, by podczas wyborów okazać dokument tożsamości! A Kalifornia przyjęła prawo… ZAKAZUJĄCE identyfikacji wyborcy podczas głosowania. Absurdalne, a jednak! Czy według was głosowanie, gdy nie sprawdza się tożsamości głosujących, jest prawidłowe? To przecież bez sensu.

Ponadto podstawą demokracji jest wolność słowa – bo jeśli ludzie nie mają pojęcia, co się dzieje, nie znają prawdy, to jak mogą dokonać właściwego wyboru? Demokracja wymaga wolności słowa – po to mamy pierwszą poprawkę do konstytucji. A druga poprawka [prawo do posiadania broni przez obywateli, a nie tylko przez organa władzy – przyp. WC] pozwala nam bronić tej pierwszej poprawki.

Prezydent Trump musi wygrać te wybory, żeby w Ameryce została ocalona wolność. Musi. To nasz obowiązek. Dlatego zwracam się do wszystkich tu zgromadzonych i do tych, którzy oglądają to wideo, i do tych, którzy śledzą nas w necie. Mam jedną, niezwykle ważną prośbę: zarejestrujcie się na wybory. I namówcie do tego wszystkich znajomych, a nawet tych, których nie znacie – niech też się zarejestrują. Wyślijcie ludziom SMS-y. Teraz! W tej chwili. A potem sprawdźcie, czy rzeczywiście wybierają się na głosowanie. Jeśli nie, to… to będą ostatnie wybory. Tak uważam. Nie ma nic ważniejszego. Absolutnie nic! Więc proszę wszystkich tu zgromadzonych, tych, którzy oglądają to wideo, i tych, którzy śledzą nas w sieci – musicie dotrzeć do WSZYSTKICH, których znacie; do członków rodziny, kolegów, grup na czacie czy w mediach społecznościowych. Musicie do nich dotrzeć i sprawić, żeby natychmiast się zarejestrowali na wybory. Rejestrujcie się!!!

Masa ludzi myśli, że ich głos się nie liczy. A liczy się KAŻDY! Można ocalić te wybory dzięki tysiącowi głosów, może dzięki pięciuset. Bardzo wąski margines. Niech zatem wszyscy wasi znajomi rejestrują się na rządowej stronie. I sprawdźcie potem, czy rejestracja została dokonana prawidłowo! Chodzi o to, by każdy, kogo znacie, zarejestrował się na wybory. To zdecyduje o wynikach. Bądźcie namolni wobec swoich kumpli, wobec ludzi na ulicy; gdzie tylko się da. Głosuj, głosuj, głosuj! Walcz, walcz, walcz! Głosuj, głosuj, głosuj!”. ©℗

eprasa.pl 031a5817fa

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

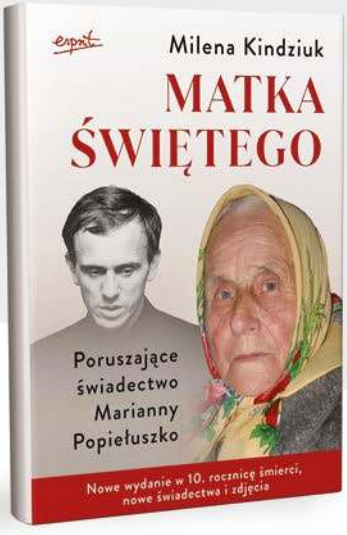

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MILENA KINDZIUK: „MATKA ŚWIĘTEGO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~509~~ ZŁ

232,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 277ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 031a5817fa

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

BIERUT – KRWAWY PIONEK STALINA

Gra przeciw Polsce – Bierut zrobił karierę w zaskakujących okolicznościach. Dla Stalina był dużo wygodniejszym narzędziem niż Gomułka

Czeski potop – Wielki bunt trawiący ziemie polskie zachęcił sąsiadów z południa do zorganizowania łupieżczej wyprawy. Polska stanęła wówczas na krawędzi zagłady

Hitler w okopach – Nie był ani tchórzem, ani herosem. Wojenna opowieść przyszłego Führera to w dużej części wytwór jego własnej wyobraźni

Z okładek „Vogue'a" do Dachau – Lee Miller wiodła kilka żyć. Najpierw zachwycała urodą, a później szokowała obrazami ukazującymi okrucieństwo wojny

Pogrom pod Cuszimą – Rosyjskie okręty były bez szans w starciu z japońską flotą. Klęska na Pacyfiku była dla Mikołaja II wyjątkowo bolesnym ciosem

Czytelnicy go kochali – Wańkowicz potrafił poruszyć czytelników i zyskać ich miłość. Przed nim był tylko Henryk Sienkiewicz. Po nim już nikt

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 031a5817fa